tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 17 (1372)
20-26.04.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Krzysztof Janik
ZSMP – organizacja powojennego wyżu

Sprawcy śmierci **Barbary Blidy** wciąż nieukarani

Kto jeszcze żyje w czarnobylskiej zonie

Ewa Płonka w mediolańskiej La Scali

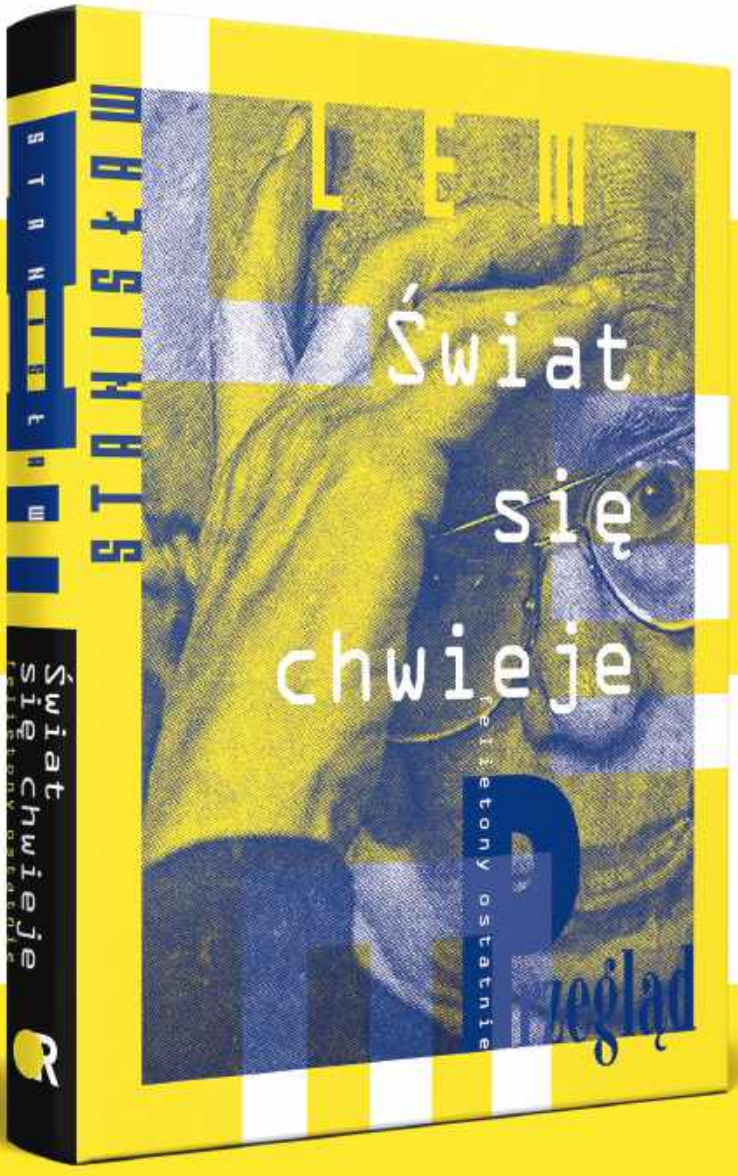


Posłuszni i bezwzględni
PROKURATORZY KACZYŃSKIEGO

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl c473

126 felietonów Stanisława Lema w „Przeglądzie”



Ostatni felieton zamieścił kilka tygodni przed śmiercią. Jego teksty nie straciły na aktualności. Wręcz przeciwnie – nabrały znaczenia w czasach, gdy Europa i świat muszą na nowo określić swoją przyszłość.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c473d62a4b



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Bezczelna obrona złodziei

Zbyt mocno nadmuchany balon może pęknąć. Z wielkim hukiem. Tak jak na Węgrzech. Idol polskiej prawicy przegrał z kretesem. Orbán tak sobie zbudował Fidesz, że obsadzając się w roli wodza absolutnego, mógł zrobić wszystko. I mając większość konstytucyjną – robił wszystko, by władzy raz zdobytej nie oddać. Mogło mu się udać. Gdyby nie ten ostatni bezpiecznik demokracji, czyli wolne wybory. Mimo manipulacji na wielką skalę i gigantycznej przewagi w środkach wydanych na kampanię, gdy w finale ok. 80% Węgrów stanęło z kartką za kotarą – mogło zrobić wszystko.

I zrobili. Pogonili Orbána. Przede wszystkim za to, jak im się teraz marnie żyje, czyli za złą sytuację gospodarczą. W przeciwieństwie do tego, jak się żyje oligarchom, biurokracji partyjnej i krewnym Orbána. Spadały płace realne i konsumpcja, a rosło na ogromną skalę złodziejstwo. Taki system może trwać tylko wtedy, gdy sparaliżuje się opozycję i media społecznościowe, a demokrację zawiesi na kołku. Orbán się na to nie zdecydował. Przekonany o własnej mocy, którą budował przez 16 lat zdecydowanych zwycięstw wyborczych. Miał przecież większość konstytucyjną, którą wykorzystał do zabetonowania praktycznie wszystkich najważniejszych instytucji w państwie i gospodarce.

To w te buty musi teraz wejść Péter Magyar i pomaszerować w przeciwnym kierunku. Nie będzie miał na to zbyt wiele czasu. Nadzieje i oczekiwania jego wyborców są ogromne. Choć nie zawsze spójne. Wiele elementów jego programu, który prezentował w kampanii dość oszczędnie, bardzo przypomina program Fideszu sprzed lat.

Wybory na Węgrzech to prawdziwy rollercoaster. Najpierw jeden wygrywa z przewagą dającą możliwość zmiany konstytucji, a teraz drugi. Co to mówi o samych Węgrach? Nad Dunajem zdecydowana większość poparła Partię Szacunku i Wolności. Te słowa są ważne, bo były wypowiadane miliony razy. Trafnie wybrane, były takie jak oczekiwania wyborców. Na polski użytek warto więc głębiej przeanalizować filozofię i zasady działania Tiszy, oddolnego ruchu społecznego. Masowego i różnorodnego.

Jak na jego tle wypada polska prawica? Z jej smętnawymi pielgrzymkami do Orbána? Z pogubionym Nawrockim, który wygłasza teksty pisane przez różnych ludzi? Zbyt wiele sensu w tym nie ma. Chciałby być jak Orbán. Wszechwładny i cwany. Jeszcze bardziej trumpowski i równie antyunijny. A jest żałosny. Dawno nie widziałem tak bezczelnej obrony złodziei i gangsterów z rynku kryptowalut. Co to jest? W najgorszym wariancie spłata jakichś zobowiązań kosztem bankructw tysięcy Polaków.

BĄKOWSKI



eprasa.pl c473d62a4b

W NUMERZE

KRAJ
8 **Prokuratorzy Kaczyńskiego**
Jeden pilnuje prezydenta, drugi Trybunału
12 **Masowa organizacja powojennego wyżu**
– rozmowa z dr. Krzysztofem Janikiem
15 **Tak milczy wstyd**
Winni śmierci Barbary Blidy nadal bez kary
18 **To nie węgiel zabija**
– rozmowa z dr. Jerzym Markowskim
20 **Dziurawy system kontroli niszczy polski rynek żywności**
Potrzebna jedna, silna instytucja
24 **Dajcie ludziom mieszkać**
Zmora najmu krótkoterminowego
34 **W internecie nic nie ginie**
Popierali Orbána, teraz im głupio
46 **Pandemia nas sprawdza**
Wspomnienia z epidemicznego 2020 r.

TECHNOLOGIE
26 **Kierunek na niezależność**
Co zamiast Microsoftu i Apple'a

ZAGRANICA
30 **Samosioły z zony**
Na ziemi skażonej, ale swojej
53 **Tak, ale nie u nas**
Nadużywanie gościnności Niemiec?

KULTURA
36 **Wszechświat zamknięty w dwóch godzinach**
– rozmowa z Janem Holoubkiem
40 **Polski sopran w sercu Mediolanu**
Ewa Płonka w La Scali
42 **Poza granice realizmu**
Nie taki skandalista Courbet
44 **Qulturalia**
66 **Ewa Kuryluk. Kangór w operze**

HISTORIA
50 **Krakowska krwawa wiosna**
Masakra semperitowców z marca 1936

SPORT
56 **Bawarskie arcydzieło**
Za co kibice nienawidzą sędziów

EKOLOGIA
58 **Namorzyny w tarapatach**
Najważniejszy ekosystem Ziemi

ZWIERZĘTA
60 **Szczery jak kot**
Mistrz komunikowania potrzeb

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Bezczelna obrona złodziei
23 **Jan Widacki**
Wielki książę Grzegorz Braun
35 **Roman Kurkiewicz**
19 kwietnia 1943, getto warszawskie
39 **Tomasz Jastrun**
Warszawa w Budapeszcie
45 **Wojciech Kuczok**
Opisy przyrody



30
ZAGRANICA

SAMOSIOŁY Z ZONY
Na ziemi skażonej, ale swojej



36
KULTURA

WSZECHŚWIAT ZAMKNIĘTY W DWÓCH GODZINACH
– rozmowa z Janem Holoubkiem



60
ZWIERZĘTA

SZCZERY JAK KOT
Mistrz komunikowania potrzeb

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

eprasa.pl c473d62a4b

Łgarstwa religii smoleńskiej



Do tragicznych zdarzeń w komunikacji dochodzi w wyniku błędów człowieka powstałych w trakcie produkcji lub użytkowania maszyny. Katastrofa Tu-154M z 10 kwietnia 2010 r. stała się od pierwszych chwil sprawą polityczną, czyli uwagę zwracano na kwestie dalszego planu, aż doszło do absurdu. Podważono raport komisji Millera i zaczęto szukać dziwnych teorii, mających uzasadnić inne przyczyny katastrofy, niż wskazała komisja.

Winę za powstanie „religii smoleńskiej" ponosi państwo, od organizacji pogrzebu prezydenta po brak prostych autorskich wyjaśnień przyczyn katastrofy niezależnie od wielu błędów w organizacji lotu, od opóźnionego wylotu do próby wylądowania w ciemno. Czym wyjaśnić fakt, że samolot schodzi poniżej poziomu drzew mimo ostrzeżeń systemu GPWS i wbrew wszelkim przepisom kontynuuje schodzenie poniżej wysokości 50-100 m bez widoczności ziemi? Świadczyć to może o dezorientacji przestrzennej załogi lub działaniu w silnym stresie. Jedyny artykuł analityczny o katastrofie ukazał się w czasopiśmie naukowym „Aeronautica Integra" wydawanym przez Politechnikę Rzeszowską. Jako główną przyczynę autor wskazuje „błędy w pilotażu oraz zejście poniżej minimalnej wysokości zniżania w ekstremalnie trudnych warunkach pogodowych". Dziwne, bo artykuł nie został zauważony w sferze publicznej, a czasopismo zginęło z bibliotek.

Trudno składać całą odpowiedzialność za katastrofę na nieżyjących członków załogi, bo wykonywali zadanie/rozkaz w warunkach przekraczających ich kompetencje. Przy okazji należy wspomnieć zdarzenia, których przyczyny zaakceptowaliśmy jako państwo i społeczeństwo. Są to: katastrofa gibraltarska z premierem Sikorskim, gdy „wyłączyły się jednocześnie" cztery silniki samolotu, a uratował się tylko kapitan (jedna osoba wyparowała), oraz wypadek śmigłowca z premierem Millerem, gdy „wyłączyły się jednocześnie" dwa silniki. Tu też można prowadzić analizy w kierunku zamachu, a jednak rezygnujemy z tego prawdopodobnie też z przyczyn politycznych. Hipotezy trudne do uzasadnienia i motywowane politycznie stawiane przez komisję Macierewicza są łakomym tematem dla ekspertów (technicznych, artystycznych, medialnych) i okazją do przekręcania dużych sum pieniędzy, mają też długi żywot. 15 lat trwania „religii smoleńskiej" świadczy o słabości intelektualnej państwa.

Zbigniew Milewski

•

Dużą winę ponosi Tusk, który brał na klatę bezsensowne oskarżenia, nie reagował, a wręcz przeciwnie. Rozdawał odszkodowania do piątego pokolenia, pozwolił PiS na rządzenie umysłami Polaków z silnym deficytem intelektualnym i szerzenie teorii spiskowych przez pisowskich szajbusów.

Barbara Szala

•

Bogu dzięki za Obywateli RP i za Lotną Brygadę, bardzo dzielnie przeciwstawiali się obchodom Kaczyńskiego na Placu Piłsudskiego. Powinni dostać odznaczenia państwowe!

Anna Zawadzka

ZDJĘCIE TYGODNIA



Jarosław Kaczyński po wystąpieniu Donalda Tuska usiłował dostać się na mównicę sejmową, tradycyjnie „bez żadnego trybu". Próba została zablokowana przez marszałka Czarzastego. 17 kwietnia 2026 r.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl c473d62a4b

Sejm nie odrzucił weta prezydenta Nawrockiego wobec rządowej ustawy regulującej rynek kryptowalut. Tym, którzy zaryzykowali i czekają na zwrot pieniędzy, pozostaje już tylko modlitwa.

•

Papież Leon XIV skrytykował Donalda Trumpa: „Dość bałwochwalstwa samego siebie i pieniądza! Dość epatowania siłą! Dość wojny". Trump odpowiedział w swoim stylu, że „Leon powinien się wziąć w garść jako papież".

•

Péter Magyar i Tisza przy rekordowej frekwencji wygrali wybory na Węgrzech, zyskując w nowym parlamencie większość konstytucyjną.

•

35,7 mld zł wyniosła strata NBP za 2025 r. W sam raz na SAFE 0% Nawrockiego i Glapińskiego.

•

Fotoradary zarejestrowały w 2025 r. aż **1,3 mln przypadków** przekroczenia prędkości oraz niestosowania się do sygnalizacji świetlnej.

•

Ponad 1,2 tys. żołnierzy i pracowników resortu obrony narodowej pełni służbę poza granicami kraju w polskich kontyngentach wojskowych. Najwięcej służy w Iraku, Jordanii, Katarze i Kuwejcie (do 350 żołnierzy), w Kosowie (do 300) i Libanie (do 250).

•

Politycy z otoczenia Mateusza Morawieckiego założyli **Stowarzyszenie Rozwój Plus**. Jest w nim już ok. 50 posłów, senatorów i europosłów z PiS. Zapowiada się podział w tej partii.

•

Po kilku miesiącach zwlekania prezydent Nawrocki podpisał 96 funkcjonariuszom nominacje na pierwszy stopień oficerski w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

•

Poseł PiS Łukasz Mejza jest drogowym bandytą, który zagraża wszystkim poruszającym się po drogach. Ma 168 pkt karnych za przekroczenie prędkości i ciągle jeździ.

•

Od nowego roku szkolnego edukacja zdrowotna będzie obowiązkowa, z wyjątkiem wiedzy seksualnej. Rodzice będą decydować, czy dziecko skorzysta także z tej wiedzy.

•

W powiecie pułtuskim PSL zawiązało koalicję z PiS. Do zarządu weszli syn Henryka Kowalczyka, skarbnika PiS i byłego wicepremiera, Paweł Kowalczyk, i Krzysztof Łachmański (też z PiS).

•

Najbardziej zanieczyszczone pestycydami są: szpinak, jarmuż, kapusta włoska, gorczyca, brzoskwinie, nektarynki, truskawki, wiśnie i jabłka **(raport Environmental Working Group; „Angora").**

•

90% szkół wprowadziło do statutów zasady dotyczące korzystania z telefonów. W ponad połowie obowiązuje całkowity zakaz używania telefonów na terenie szkoły.

•

Z aplikacji randkowych w Polsce korzysta na co dzień 2,5 mln ludzi między 18. a 44. rokiem życia.

•

23 parki narodowe i 1660 rezerwatów przyrody w Polsce obejmuje ok. 0,5% powierzchni kraju.

PRZEBŁYSKI



Od pornografii do władz SDP

Jak pogodzić radiomaryjne kazania z biznesem pornograficznym? Przed takim wyzwaniem stoi Jolanta Hajdasz, prezes pisowskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Od ponad pół roku szykuje odpowiedź na pytania OKO.press. Wredne są te pytania dotyczące Pawła Gąsiorskiego, od marca 2025 r. członka zarządu głównego SDP! A wcześniej rzutkiego króla serwisów pornograficznych. W szczycie miał ich ok. 400 i 210 domen, w tym porno.com.pl, jedną z największych. W czasie procesu ze wspólnikiem działacz SDP chwalił się, że bardzo dużo na tym zarobili.

Za OKO.press przypominamy prezes Hajdasz te pytania:

• Czy jako katolicka dziennikarka i szefowa konserwatywnego SDP pochwala taką działalność i przeszłość członka zarządu SDP?

• Czy prowadzenie ok. 210 stron porno/erotycznych to cenne i właściwe doświadczenie zawodowe dla członka zarządu organizacji dziennikarskiej?

Śmiało, pani Hajdasz. Prawda panią wyzwoli.



Ostatnia runda Andruszkiewicza

„Prezydent działa w oparciu o prawo". Któż tak bezczelnie kpi z Nawrockiego? Nikt z obozu władzy. Wydarzenia wokół Trybunału Konstytucyjnego komentuje Adam Andruszkiewicz. Syn ziemi grajewskiej. Specjalista od fałszowania na masową skalę podpisów na listach wyborczych. Ścigany przez prokuraturę. Skutecznie, bo wyłapanych fałszerstw były setki. Dla Nawrockiego umiejętności Andruszkiewicza są tak cenne, że powierzył mu funkcję wiceszefa Kancelarii Prezydenta RP. Ma człowieka, który gorliwie broni jego polityki. Nie zawiódł się. A co na to Polacy? Tylu przestępców na ważnych urzędach jeszcze nie widzieli. Zbliża się czas, by zobaczyli ich za kratami.

Z perspektywy Siedleckiej



„Czesiu połaszczył się na dolary", jęczy Asia w „Do Rzeczy". Czesiu to dla Asi Miłosz. Znamy, znamy. A Asia któż to? Joanna Siedlecka. Szukamy w pamięci. Kto był tak blisko Miłosza? Może to zapomniana kandydatka do literackiego Nobla? Albo pisarka znana z lektur szkolnych? Nic z tego. Siedlecka to dość typowa megalomanka. Robi to, co umie. Smędzi ku uciesze redakcji raz w miesiącu. Dowalając Miłoszowi, Iwaszkiewiczowi, Słonimskiemu, Brandysowi, Gałczyńskiemu, Broniewskiemu i wielu podobnym tuzom, przypomina mysz atakującą słonia.

eobuwie.pl Schrödingera

Portal Eobuwie robi wiele, by podpaść Rzecznikowi Praw Konsumenta. Klient kupił trzy pary butów w promocji. Zapłacił i czekał. Paczka nie dotarła – została uszkodzona. Firma napisała mejl. W ramach przeprosin dają 10% zniżki na dwa produkty w koszyku. Rabaty się nie łączą. Wyprzedaż tymczasem się skończyła, czyli za to samo klient zapłaci więcej. Ale najpierw musi poczekać na zwrot pieniędzy. Dostanie je, dopiero gdy Eobuwie otrzyma tę rozwaloną paczkę od przewoźnika… Głupota, korpooderwanie od rzeczywistości, a może świadome oszukiwanie klienta? Przecież można było wysłać te same buty jeszcze raz.

FOT. FACEBOOK, YOUTUBE, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c473d62a4b

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak przekonać ludzi do korzystania z systemu kaucyjnego?

MARCEL ANDINO VELEZ,
Fundacja Greenpeace Polska

Najskuteczniejszą metodą są zachęty finansowe, ponieważ realny pieniądz najlepiej przełamuje lenistwo i opory ideologiczne podsycane przez internetową dezinformację. Gdy ludzie zauważają, że puste opakowanie to konkretne pieniądze, ich podejście do segregacji diametralnie się zmienia. Odzyskana kaucja staje się miłą motywacją, a dodatkową korzyścią jest to, że znacznie mniej śmieci trafia do domowego pojemnika. Gdy jednak patrzeć szerzej na problem zanieczyszczenia plastikiem, sam system kaucyjny to zaledwie „plaster na raka". Choć pomaga on uporządkować odpady, niesie ryzyko greenwashingu, ekościemy – recykling jest bowiem procesem kosztownym i energochłonnym. Priorytetem powinno być ograniczenie produkcji plastiku.

EWA CHODKIEWICZ,
ekspertka ds. zrównoważonego rozwoju, ESG oraz strategii klimatycznych, Zero Waste Consulting

Społeczeństwa nie trzeba przekonywać do systemu kaucyjnego – jako konsumenci go potrzebujemy. Wyzwaniem jest to, by ludzi nie zniechęcać. Trudne początki, brak oznakowanych butelek i przepełnione automaty budują frustrację. Zabrakło rzetelnej komunikacji. Niezbędna jest przejrzystość oraz sprawozdawczość, abyśmy widzieli realne efekty naszych wysiłków. Jeśli szukamy najlepszego argumentu, jest nim wysokość kaucji. Im wyższa jej kwota, tym większa pewność, że surowiec trafi do recyklingu, a nie do lasu. Korzyści – od mniejszej ilości śmieci po oszczędności w budżetach gmin – odczujemy wszyscy. Sceptykom polecam bunt w najczystszej formie: picie kranówki zamiast kupowania napojów w plastiku. To rozwiązanie najlepiej służy planecie i domowym finansom.

AGNIESZKA WOŁYŃSKA,
psycholożka, socjolożka, psychoterapeutka systemowa, USWPS

Podstawą sukcesu systemu kaucyjnego jest wykreowanie „nowej normalności". Z perspektywy ekopsychologii bowiem najsilniejszym bodźcem jest mechanizm naśladowania. Jako gatunek kopiujemy zachowania innych, dlatego proces zwrotu musi być widoczny. Automaty powinny stać w punktach centralnych, by konsumenci mogli obserwować inne korzystające z nich osoby. Zamiast straszyć „tonięciem w plastiku", co wywołuje paraliż, budujmy pozytywne historie i nagradzajmy korzystających ze zwrotów. System ten uczy gospodarki obiegu zamkniętego i wymusza realną odpowiedzialność na producentach, którzy muszą zacząć rzetelnie kalkulować koszty środowiskowe swoich opakowań.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl c473d62a4b

PROKURATORZY KACZYŃSKIEGO

Jeden pilnuje prezydenta, a drugi Trybunału

Robert Walenciak

To nie Przemysław Czarnek jest dziś głównym nabojem Jarosława Kaczyńskiego. Wojna polityczna prowadzona z koalicją rządzącą toczy się na dwóch polach. Pierwsze to prezydent Nawrocki i jego kancelaria – weta, obstrukcja, odmowa nominacji i przeszkadzanie rządowi w każdy możliwy sposób. Drugie to Trybunał Konstytucyjny, który również może blokować rządzących, przeszkadzać, kwestionować w zasadzie wszystko, byle tylko sparaliżować Polskę.

W obu przypadkach mamy twarde boje. Taka jest intencja Kaczyńskiego – ani kroku do tyłu. To wynika i z charakteru prezesa PiS, wyżej stawiającego konflikt niż szukanie konsensusu, i z przekonania, że każdy gest „dobrej woli" wyborcy uznają za przejaw słabości, za przyznanie się do pomyłki. A na to w dzisiejszych warunkach nie można sobie pozwolić.

Jeżeli taką wojnę się prowadzi, potrzebni są odpowiedni wykonawcy rozkazów. Dyspozycyjni, oddani, walczący. I mamy ich – z ramienia Kancelarii Prezydenta boje z koalicją koordynuje szef kancelarii Zbigniew Bogucki. Z kolei w Trybunale Konstytucyjnym człowiekiem, który blokuje wszelkie zmiany, jest prezes Bogdan Święczkowski. Wspomaga go Stanisław Piotrowicz. Wszyscy trzej to byli prokuratorzy. Przypadek?

•

Zbigniew Bogucki ukończył prawo na Uniwersytecie Szczecińskim. Po studiach w latach 2009-2012 wykonywał zawód prokuratora. Potem uzyskał wpis na listę adwokatów. Ale szybko rzucił się w wir działalności politycznej. Już w 2014 r. kandydował z listy PiS do Rady Miasta Szczecina, a w latach 2015 i 2019 do Sejmu. Mandatu nie uzyskał.

Za to rozkwitała prokuratorska kariera jego żony, Julity Dziedzic-Boguckiej. Ona z kolei do 2017 r. pracowała w Prokuraturze Rejonowej Szczecin-Zachód, a potem awansowała od razu o dwa szczeble – delegowano ją do Prokuratury Krajowej, do Zachodniopomorskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji.

Była tam w grupie prowadzącej śledztwo w sprawie afery melioracyjnej, w której jednym z oskarżonych był Stanisław Gawłowski, były sekretarz generalny PO. Dziedzic-Bogucka prowadziła inny wątek dotyczący polityków PO. Mieliśmy ciekawą sytuację: w wyborach samorządowych w 2018 r. startował Bogucki, a żona jako prokurator prześwietlała jego przeciwników. Ostatecznie wycofała się z prowadzenia sprawy. A Bogucki zdobył mandat radnego wojewódzkiego.

Kolejnym krokiem w jego karierze był Strajk Kobiet. Manifestacje przeciwko zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego ogarnęły wówczas cały kraj, odbyły się też w Szczecinie. Bogucki przychodził na nie, nagrywał protestujące kobiety telefonem, prowokował je i obrażał. Dochodziło do awantur i interwencji policji.

W 2020 r. Bogucki został wojewodą zachodniopomorskim. Po zmianie władzy prokuratura analizowała wydatki urzędu wojewódzkiego w Szczecinie z lat 2021-2022. Między innymi zakupy gadżetów (kubki termiczne, torby itp.) z jego nazwiskiem: „Zbigniew Bogucki – Wojewoda Zachodniopomorski", za 141 tys. zł. Kupiono je… z funduszu przeciwdziałania COVID-19. „Nie złamałem prawa, bo każdy organ to konkretna osoba, która ma swoje imię i nazwisko", tłumaczył się z wydatków Bogucki.

W 2024 r. Zbigniew Bogucki był już ważną postacią w PiS. Z ramienia partii kandydował na stanowisko prezydenta Szczecina, no i był w gronie tych, których Jarosław Kaczyński rozważał jako kandydatów w wyborach prezydenckich.

Kaczyńskiemu potrzebni są odpowiedni wykonawcy – dyspozycyjni, oddani i walczący. To Zbigniew Bogucki, Bogdan Święczkowski i Stanisław Piotrowicz.

Po wygranych przez Karola Nawrockiego wyborach został szefem jego kancelarii. Nie miejmy złudzeń – to nie Karol Nawrocki go wybrał, lecz Jarosław Kaczyński. I to widać. Bogucki jeździ do siedziby PiS na Nowogrodzkiej w Warszawie, tam spotyka się z Kaczyńskim. Widzieliśmy go ostatnio za plecami prezesa, w grupie najbardziej zaufanych, w czasie rocznicy katastrofy smoleńskiej.

eprasa.pl c473d62a4b



Bogdan Święczkowski i Zbigniew Bogucki na posiedzeniu Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka oraz Komisji Ustawodawczej, gdzie omawiano kwestie orzecznictwa TK. Warszawa, 5 lutego 2025 r.

Dużo go też w mediach i w Sejmie, zajmuje się tam atakowaniem rządu i koalicji. Gdy Sejm głosował w sprawie prezydenckiego weta do tzw. ustawy łańcuchowej, Bogucki wszedł na mównicę i wołał do Donalda Tuska: „Gdybym chciał być złośliwy, to bym zapytał, na czyim pan był łańcuchu kilkanaście czy kilka lat temu. Na czyim łańcuchu pan wtedy był, kiedy nazywano pana »ich człowiekiem w Warszawie«; kiedy pan mówił, że będzie pilnował razem z Putinem, by nie sypać piachu w tryby? Po czyjej stronie pan był i na czyim pan był łańcuchu?”.

Mówił też do premiera: „Mógłbym zapytać dzisiaj: a co panu zawinili pacjenci, którzy nie mogą dostać się do lekarza? A co panu zawiniły dzieci, kobiety w ciąży, osoby starsze, których chce pan pozbawić większości darmowych leków? Co panu zawinili pańscy wyborcy, że pan nie potrafił spełnić swoich obietnic?”.

W lutym, gdy posłowie pracowali nad projektem uchwały w sprawie wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa, Bogucki poprosił o możliwość wystąpienia w trybie art. 186 regulaminu Sejmu, który stanowi, że „marszałek udziela głosu członkom Rady Ministrów, prezesowi Najwyższej Izby Kontroli, szefowi Kancelarii Prezydenta (…) poza kolejnością mówców zapisanych do głosu, ilekroć tego zażądają”.

Wystąpił więc i przemawiał 10 minut. Mówił, że uchwała, nad którą pracuje Sejm, jest „tyle warta, ile papier, na którym została wydrukowana”. I zaczął przypominać, że szef MSZ Radosław Sikorski wyszedł na papierosa z Siergiejem Ławrowem.

Występował również w Sejmie w debacie nad odrzuceniem weta prezydenta w sprawie kryptowalut. Wołał, że weto jest słuszne, że jeśli przyjmiemy rządową ustawę, kryptowaluciarze przeniosą się za granicę. I to będzie strata. Nie interesowało go, że w obecnym systemie prawnym dziesiątki tysięcy Polaków jest oszukiwanych.

Bogucki miał też swój czas, gdy Karol Nawrocki nie chciał zaprzysiąc czterech sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Mogliśmy więc wysłuchać rozmaitych uzasadnień prezydenckich działań. Fałszywych, gdyż konstytucja stanowi jednoznacznie, że prezydent nie ma żadnych prerogatyw, jeśli chodzi o wybór sędziów Trybunału. Nie może także odmówić przyjęcia ich ślubowania.

W „Oświadczeniu Kancelarii Prezydenta RP” z 9 kwietnia Zbigniew Bogucki pisał, że „sprawy dotyczące tych czterech osób nie zostały zakończone, lecz pozostają nadal w toku procedowania przez jedyny właściwy na tym etapie organ konstytucyjny, jakim jest Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej”. Powoływał się przy tym na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2015 r. i na słowa: „W pewnych wyjątkowych okolicznościach mogą zaistnieć takie sytuacje, które w sposób obiektywny będą nakazywały Prezydentowi chronić wyższą wartość – niż niezwłoczne wypełnienie obowiązku przyjęcia ślubowania – jaką stanowi nadrzędność Konstytucji”.

Ale, jak przypomniał mu portal Konkret24, pominął następne zdanie: „Nie rodzi to natomiast uprawnień do »recenzowania« działań innych organów”. I kolejne – że prezydent nie jest organem dokonującym wyboru sędziów. A jeżeli nie ma w przepisie terminu realizacji obowiązku odebrania ślubowania, ten obowiązek musi być zrealizowany bez zwłoki. Czyli w najkrótszym możliwym czasie.

Mamy zatem jak na dłoni interpretowanie przez Boguckiego prawa według własnego uznania – jedne przepisy szanuje, drugich nie dostrzega. Można powiedzieć: taka jego rola, bronić szefa. Rzecz jednak w tym, że robi to dość topornie. Starsi czytelnicy pamiętają na pewno prof. Lecha Falandysza, który rozmaitymi kruczkami rozszerzał uprawnienia Lecha Wałęsy. Na tle inteligentnego, imponującego wiedzą Falandysza Bogucki wypada słabo – jak niedouczony magister tupetem nadrabiający braki.

•

Magistrem jest też Bogdan Święczkowski. Pożałowania godne, bo pełni funkcję prezesa Trybunału Konstytucyjnego, a więc organu, który bada zgodność ustaw z konstytucją, co wymaga szczególnej, ponadprzeciętnej wiedzy prawniczej.

eprasa.pl c473d62a4b

Na pewno na poziomie wyższym niż poziom magistra.

Święczkowski, bliski kolega Zbigniewa Ziobry, ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w 1994 r., a następnie odbył aplikację prokuratorską i rozpoczął pracę w prokuraturze. Najpierw w rejonowej – w Sosnowcu, w latach 2001-2005 w okręgowej, w Katowicach. Potem rozpoczął pracę w Prokuraturze Krajowej.

W 2006 r. został szefem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Był w tym czasie zaangażowany w sprawę śmierci Barbary Blidy (więcej na ten temat na s. 15). W listopadzie 2007 r. został przywrócony na stanowisko prokuratora Prokuratury Krajowej, a później przeszedł w stan spoczynku.

W następnych latach w życiu Święczkowskiego miały miejsce kuriozalne wydarzenia, które kompromitują go jako prawnika. Otóż w 2010 r. został wybrany z listy PiS na radnego sejmiku województwa śląskiego. W 2011 r., również z listy PiS, dostał się do Sejmu. Wówczas generalnego. W 2022 r. zaś został wybrany na sędziego Trybunału Konstytucyjnego, a w 2024 r. zasiadł na fotelu prezesa TK.

Teraz są jego dni. To na nim spoczywa zadanie zatrzymania czwórki nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Robi to w swoim stylu – brutalnie i mało zręcznie. Już oświadczył, że nie dopuści ich do orzekania. Nie udostępnił im też pomieszczeń do pracy. Mogą więc do Trybunału przyjść i siedzieć w bibliotece albo na korytarzu. Profesorowie prawa mają tkwić na korytarzu, bo tak chce prezes prokurator.

Dlaczego tak? Otóż Święczkowski mówi, że nie może uznać, iż nawiązali oni stosunek służbowy sędziego TK, ponieważ nie został poinformowany przez prezydenta, „że złożyli ślubowanie wobec jego osoby". Czeka na list w tej sprawie od Karola Nawrockiego.

„Prezes czeka na coś, czego nie ma w prawie – zauważył sędzia Sądu Najwyższego, prof. Włodzimierz Wróbel, z rozmowie z Renatą Grochal. – Wymyślił sobie jakąś taką

Zbigniew Bogucki został szefem Kancelarii Prezydenta. Ale to nie Karol Nawrocki go wybrał, lecz Jarosław Kaczyński.

odmówił, jako wybrany poseł, zrzeczenia się funkcji prokuratora w stanie spoczynku. W takiej sytuacji marszałek Sejmu wygasił jego mandat poselski, ponieważ przepisy zakazują łączenia tych funkcji.

Równocześnie Święczkowski stał przed wyborem: mandat poselski czy mandat radnego sejmiku śląskiego. Wybrał Sejm. Sejmik zatem wygasił mu mandat radnego. Tymczasem Święczkowski, gdy okazało się, że nie ma mandatu poselskiego, próbował swoją rezygnację wycofać. Nadaremnie. W ten sposób, chociaż został wybrany na posła, nie tylko nie został posłem, ale i stracił mandat radnego.

Ta nieporadność prawnicza nie przeszkodziła mu w zostaniu w 2015 r. zastępcą Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości. W marcu 2016 r. powołano go na stanowisko prokuratora krajowego i pierwszego zastępcy prokuratora formułę jakiegoś pisma czy powiadomienia, ale podstawy prawnej dla takiego żądania kompletnie nie ma".

W tym kierunku poszły także dociekania czwórki niedopuszczanych do orzekania sędziów. W piśmie do Święczkowskiego zapytali o oczekiwany przez niego „list prezydenta", który rzekomo ma umożliwić pełnienie przez nich obowiązków służbowych. I poprosili o informację, „o jaki list, jakiej treści dokładnie chodzi i na jakiej podstawie prawnej list ten stanowi przesłankę do objęcia obowiązków przez sędziego Trybunału Konstytucyjnego, a także na jakiej podstawie prawnej jest wydawany i przesyłany do Trybunału Konstytucyjnego".

Bum! Wiadomo, że Bogdan Święczkowski takiej odpowiedzi nie udzieli, bo co ma napisać? Czego więc możemy się spodziewać? Milczenia. Nie uznaje i już.

Ale to milczenie będzie niosło określone skutki. Bo może oznaczać, że Święczkowski, uniemożliwiając sędziom nawiązanie stosunku pracy, nie przydzielając im spraw, łamie prawo. Zresztą jest zapowiedź, że sędziowie skierują w tej sprawie skargę do sądu pracy. Złożyli już zawiadomienie do prokuratury. To zawiadomienie może też dotyczyć urzędników pracujących w Trybunale, którzy są przecież zobowiązani do przestrzegania prawa, a których nie chroni immunitet.

Jak potoczą się wydarzenia? Nie wiemy. Wiemy za to, że sytuacja Trybunału jest coraz bardziej zagmatwana i że to wielka „zasługa" Bogdana Święczkowskiego. Ma blokować i blokuje. Wypełnia zadanie. Bo zawsze w swojej karierze zadania wypełniał.

•

Ta gra, by nie dopuścić czterech sędziów do orzekania, to również gra o los samego Święczkowskiego. Dlatego że wiszą nad nim zarzuty prokuratorskie.

We wrześniu 2025 r. do Trybunału Konstytucyjnego skierowany został wniosek prokuratora generalnego Waldemara Żurka o uchylenie Święczkowskiemu immunitetu. Wniosek sformułował Zespół Śledczy nr 3 Prokuratury Krajowej, który zajmuje się m.in. kwestią zasadności, legalności i prawidłowości wykorzystania oprogramowania Pegasus.

Otóż w czasie gdy Święczkowski kierował Prokuraturą Krajową, zlecił prokuratorowi Pawłowi Wilkoszewskiemu przeprowadzenie kontroli czynności operacyjno-rozpoznawczych zastosowanych przez CBA wobec mecenasa Romana Giertycha. Po co? Po to, jak podejrzewa prokuratura, żeby uzyskać informacje o życiu prywatnym i zawodowym Giertycha oraz o jego działalności politycznej. Ale także, siłą rzeczy, na temat klientów Giertycha, a jednym z nich była córka Donalda Tuska, Katarzyna Tusk-Cudna.

W połowie października 2025 r. Zgromadzenie Ogólne Trybunału Konstytucyjnego pod przewodnictwem wiceprezesa TK Bartłomieja Sochańskiego nie wyraziło zgody na pociągnięcie do odpowiedzialności

eprasa.pl c473d62a4b



Stanisław Piotrowicz dał się poznać jako sędzia, który wydaje zawsze „właściwe" orzeczenia.

karnej prezesa Święczkowskiego. Sprawa jednak na tym się nie kończy. Możemy sobie wyobrazić, że w bliskiej przyszłości w TK ukształtuje się inna większość. Wówczas Święczkowski może zostać pozbawiony immunitetu i odpowiadać przed sądem.

•

W walce o to, by Trybunał Konstytucyjny był pisowski, Święczkowski ma sojuszników. Najważniejszy to Stanisław Piotrowicz, sędzia TK, wcześniej poseł PiS, a jeszcze wcześniej wieloletni prokurator.

Piotrowicz skończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1976 r. i rozpoczął pracę w prokuraturze. Znakomicie w niej się znalazł, pokonując kolejne szczeble. Był członkiem egzekutywy PZPR w Prokuraturze Wojewódzkiej w Krośnie. W czasie stanu wojennego oskarżał m.in. kolportera podziemnych druków Antoniego Pikula. Tłumaczył się potem, że oskarżał go tak, żeby mu pomóc.

W 1984 r. przełożeni pisali o Piotrowiczu, że „jest pracownikiem pilnym i zdyscyplinowanym, ambitnym i wydajnym. Powierzone mu obowiązki wykonuje prawidłowo". Do III RP przeszedł suchą nogą. Pracował w Krośnie, potem w Prokuraturze Wojewódzkiej w Rzeszowie.

Sławę przyniosła mu konferencja prasowa w 2001 r., podczas której wyjaśniał powody umorzenia śledztwa w sprawie molestowania małoletnich przez proboszcza parafii w Tylawie. Mówił wtedy, że dzieci same pchały się do proboszcza. Że wkładanie ręki pod bluzki dziewczynek to nie pedofilia, lecz... wyjątkowe zdolności bioenergoterapeutyczne księdza oraz niewinne „gilganie". A dotyk „miał charakter leczniczy". Rzekome całowanie w usta było jedynie „dawaniem ciumka". Wyjaśniał też, że jeśli ksiądz miał wówczas wzwód, to jest to „normalny ludzki odruch", który duchowny ukrywał przed dziećmi. Decyzję o umorzeniu uchyliła wyższa instancja i ostatecznie proboszcz z Tylawy został skazany.

Ale Piotrowicz nie przyznał się do pomyłki, zresztą była ona poniekąd furtką do kariery politycznej. Został senatorem z ramienia PiS, potem posłem. Tam ścigał się z posłami PO, kto głośniej będzie krzyczał: „Precz z komuną!". A w 2019 r. posłowie PiS wysunęli jego kandydaturę na sędziego Trybunału Konstytucyjnego i ją przegłosowali.

Tu Piotrowicz dał się poznać jako sędzia, który wydaje zawsze „właściwe" orzeczenia. O czym zresztą świadczy jego ostatni wyczyn. Otóż przewodniczył on składowi TK, który 16 kwietnia wydał wyrok w sprawie procedur zgłaszania i weryfikacji kandydatur sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa.

I teraz uwaga! Te procedury wprowadziła ustawa z 2017 r., pisowska. Na ich podstawie wybrana została obecna KRS, ta, która te przepisy zaskarżyła, nazywana neo-KRS. A co najbardziej kuriozalne, w 2017 r. Piotrowicz był posłem sprawozdawcą tej właśnie ustawy o KRS. Przyszło mu więc oceniać zgodność z konstytucją ustawy, którą sam tworzył. I nie miał z tym kłopotów – zakwestionował kilka punktów.

Cała operacja ma oczywiście jeden cel: zatrzymać wybór nowej KRS. A gdyby rada została wybrana, stworzyć pretekst do jej nieuznawania – przez PiS i przez Nawrockiego. Tak, by prezydent mógł odmawiać nominacji sędziowskich. I żeby PiS, gdy wróci do władzy, mogło ją wyrzucić na śmietnik.

Mówił o tym zresztą otwarcie Bogdan Święczkowski: „Ewentualne przeprowadzenie wskazanej procedury wbrew skutkom wynikającym z niniejszego wyroku będzie prowadziło do jej wadliwości. To zaś z kolei może przełożyć się na wadliwość składu KRS ukształtowanej w wyniku postępowania przeprowadzonego z zastosowaniem przepisów uznanych przez TK w niniejszym wyroku za niezgodne z konstytucją".

W walce o to, by Trybunał Konstytucyjny był pisowski, Święczkowski ma sojuszników. Najważniejszy to Stanisław Piotrowicz, wieloletni prokurator.

Mamy zatem rozlewającą się wojnę o władzę sądowniczą. I widać, że Kaczyński jest zdecydowany rozwalić wszystkie jej instytucje. Zahamowań nie ma tu żadnych.

A jeżeli nie ma żadnych zahamowań, to musi dobrać ludzi, którzy też nie będą ich mieli. I dobrał. Trzech prokuratorów. Posłusznych i wiernych. Może niezbyt lotnych, jeśli chodzi o zawiłości prawne, ale przecież nie o lotność tu chodzi, lecz o wykonanie polecenia. A oni wykonają każde.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl c473d62a4b

MASOWA ORGANIZACJA POWOJENNEGO WYŻU

Moja generacja stworzyła ZSMP, teraz młodzi niech budują swoją Polskę

Rozmawia Paweł Dybicz

Czy powstanie Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej to pokłosie myślenia wielu członków ekipy Gierka, które wyrastało z czasów funkcjonowania jednej organizacji, ZMP, jako realizacji polityki jedności narodu?

– Na pewno było wtedy sporo doktryny ideologicznej. Obowiązywał wówczas pogląd, że oto Polska – podobnie jak inne kraje obozu – weszła w etap budowy rozwiniętego socjalizmu. Nikt za bardzo nie wiedział, co to takiego, generalnie uznawano, że przemiany społeczne, ekonomiczne i polityczne zaszły tak daleko, że stały się nieodwracalne. Dotyczyło to także świadomości społecznej. Wierzono, że istnieje powszechna akceptacja polityki PZPR, a w ślad za tym nastąpiła unifikacja wyznawanej hierarchii wartości. To zjawisko – tak naprawdę nieistniejące i dziś wiemy, że niemożliwe do osiągnięcia – nazywano jednością ideowo-moralną narodu.

Na tym tle rozpatrywać można postępującą unifikację ruchu młodzieżowego. Wszędzie dodawano słówko „socjalistyczny". Tak powstały Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, Związek Socjalistycznej Młodzieży Wiejskiej, Socjalistyczny Związek Młodzieży Wojskowej czy Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej. Ale trzeba pamiętać, że młodzież na ogół traktowała to jako niezbędny element scenograficzny. Nie zmieniano programów działania, nie zwiększano w nich dawki ideologii. Ot, taki obowiązkowy rytuał, cena za swobodę działania. Przyznasz, że dość niska.

Dla wielu nie był to jednak mało znaczący rytuał.

– Nie ma co ukrywać, że byli tacy; że niektórzy z nas – i było ich niemiało – wierzyli w te ideały. Tysiące z nas było świadkami awansu społecznego rodziców, wielu od dziadków wiedziało, jak wyglądała przedwojenna Polska. Ten socjalizm, szczególnie gierkowski, przemawiał do wyobraźni, a do tego wedle deklarowanych przez władze reguł projektowaliśmy własną przyszłość i kroiliśmy własne aspiracje.

Żyliśmy także mitem Związku Młodzieży Polskiej, o który pytasz. Masowy awans ze wsi do miasta, wielkie budowy socjalizmu, na których stała polska gospodarka w owym czasie – tak, to działało na wyobraźnię. Nie



DR KRZYSZTOF JANIK
– w latach 1965-1976 działał w Związku Młodzieży Wiejskiej, od 1976 do 1986 r. był aktywistą Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, w latach 1981--1986 zasiadał w zarządzie głównym jako sekretarz i zastępca przewodniczącego.

eprasa.pl c473d62a4b

chcieliśmy być gorsi od pokolenia naszych rodziców. Zwłaszcza że polityka Edwarda Gierka przypominała trochę minione lata. Te wielkie budowy socjalizmu – Huta Katowice, fabryka samochodów, nowe kopalnie, elektrownie, program budowy mieszkań – wszędzie byli potrzebni młodzi, chętni do roboty, bardziej niż kiedykolwiek i gdziekolwiek.

Młodych trzeba było mobilizować i angażować w te inwestycje. Stąd pomysł połączenia trzech organizacji i powołania ZSMP. My wszyscy: młodzież robotnicza, wiejska i wojskowa, mieliśmy tworzyć jednolite środowisko, bez podziału na lepszych i gorszych, na tych ze wsi i tych z miasta, bez kompleksu pochodzenia i zamieszkania. „Razem – naprzód", wykrzykiwano w 1976 r.

Ile w ZSMP było samodzielności, a ile podległości w stosunku do PZPR? Czy był to związek bezwolnych wykonawców partyjnych decyzji, jak myślą antykomuniści?

– Tutaj wszyscy błądzą w ocenie tamtego pokolenia. Błądzili towarzysze partyjni, którym marzył się polski Komsomoł. Kłamią także obecni historycy z instytutów propagandy narodowej, bo nie rozumieją owych czasów i kontekstu społecznego. Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej tworzyło pokolenie, które nie znało wojny, ale znało już trochę świat. Jeździło na „pociągi przyjaźni" do ZSRR, ale i coraz częściej na Zachód, gdzie obserwowało inne reguły gry społecznej. Widziało ten kolorowy Zachód w gierkowskiej telewizji, widziało te tysiące Maluchów i Polonezów i wedle tego kształtowało swoje aspiracje. Doceniało, że każdy miał pracę, choć, co zrozumiałe, chciało za to należytej zapłaty. Z jednej strony, korzystało z socjalizmu, a z drugiej – oferował on stanowczo za mało.

To będzie widać w sierpniu 1980 r. W fabrykach na czele protestów stanęli młodzi ludzie, niespełna 30-letni. Przemawiali, organizowali struktury, pisali postulaty. Nie wynieśli tych umiejętności z domu ani z kościoła, nauczyli się tego w ZSMP.

Dziś wielu z nich – nie wiem, czy większość – starannie to ukrywa.

– Ale na szczęście nie wszyscy. Bogdan Lis czy Zbyszek Bujak to emblematyczni reprezentanci tych, którzy byli w ZSMP.

Wiem za to, że większość zetesempowców postanowiła pozostać przy PZPR.

– I wiesz dobrze, że nie byli oni, szczególnie po 1980 r., już bezkrytycznymi wyznawcami kierowniczej roli partii. Wtedy w kierownictwie ZSMP dokonała się wymiana pokoleniowa. Niewątpliwie sympatycznych 40-latków zastąpili młodsi, wybierani bardzo demokratycznie, często po zaciekłej debacie, naznaczonej protestem przeciwko istniejącej sytuacji i polityce PZPR.

Ku zaskoczeniu tej ostatniej liderem ZSMP zostaje 30-letni uczony z UJ Jurek Jaskiernia. W kierownictwie pojawiają się ludzie, którzy z aparatem mają niewiele wspólnego, w dodatku autentycznie nie wiedzą, że powinni mieć jakąś rekomendację partyjną, a towarzysz inspektor z KC nie jest dla nich autorytetem.

Tysiące z nas było świadkami awansu społecznego rodziców. Ten socjalizm, szczególnie gierkowski, przemawiał do wyobraźni.

Boleśnie odczuje to kilka lat później Waldemar Świrgoń – naówczas sekretarz KC – kiedy jego decyzja, aby nie wybrać mnie na wiceprzewodniczącego związku, zostanie zlekceważona przez władze krajowe, składające się w zdecydowanej większości z członków PZPR.

Dodajmy, bo wielu pewnie nie wie, że Waldemar Świrgoń to wtedy niedawny przewodniczący ZMW.

– Co dodaje pikanterii całej sprawie. Takich wyborów, wbrew instancjom PZPR i jej działaczom, było wiele. Były wyraźnym sygnałem, że stare nie wróci, że ZSMP chce być samodzielną organizacją. Przyjazną partii, ale samodzielną. Rozumiał to gen. Jaruzelski, rozumiało wielu innych towarzyszy, choć daleko nie wszyscy. Gdy przyszedłem do pracy w KC PZPR, zaprosił mnie gen. Władysław Honkisz, wówczas kierownik Wydziału Kadr KC, i pokazał mi kilka grubych teczek. „Widzicie – powiedział – to są donosy towarzyszy i ogniw partyjnych na młodzież z ZSMP, która wygłasza poglądy sprzeczne z linią partii. Chce jakiejś demokracji, odmłodzenia władz partyjnych, nowoczesności". „No dobrze, towarzyszu generale – powiadam – i co z tym zrobicie?". „Jak to co? Wypieprzę do kosza!". Szło nowe.

W polityce historycznej Instytutu Pamięci Narodowej ZSMP prezentowany jest jako przybudówka PZPR. A gdyby przyszło ci napisać hasło do małej encyklopedii, to co byś w nim zawarł? Co byś pokazał jako rzeczywisty dorobek tej organizacji?

– Napisałbym tak: Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej – masowa organizacja pokolenia wyżu powojennego o lewicowej orientacji ideowej, której celem była socjalizacja młodzieży i wsparcie w zaspokajaniu jej potrzeb i aspiracji poprzez samoorganizację, liczne inicjatywy edukacyjne, kulturalne i zawodowe oraz mniej lub bardziej skuteczną reprezentację jej interesów pokoleniowych wobec władz państwa. Inicjatorka takich projektów jak Mieszkanie dla Młodych, Turniej Młodych Mistrzów Techniki czy Zespoły Młodych Rolników. Działała na rzecz zagospodarowania czasu wolnego młodzieży poprzez uczestnictwo w kulturze, rozwijanie sportu oraz rozmaitych form czynnego wypoczynku. Politycznie związana z PZPR, ale w latach 80. XX w. wykazywała pewną samodzielność w myśleniu i działaniu. Między innymi wydawała „Poprawki z historii", gdzie w latach 80. oficjalnie pisano prawdę o Katyniu. Pokolenie wychowane w ZSMP dobrze sobie poradziło w nowych realiach ustrojowych po 1989 r., a wielu jego działaczy aktywnie budowało III Rzeczpospolitą.

A gdyby przyszło ci napisać hasło nie do małej, ale do popularnej encyklopedii, to o co byś je rozszerzył?

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c473d62a4b

– Napisałbym o zaangażowaniu w rozwiązywanie problemów lokalnych środowisk, o czynach społecznych, w wyniku których powstawały nowe szkoły, drogi czy boiska. O licznych animatorach kultury, przeglądach piosenki młodzieżowej, Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy czy licznych wiejskich i osiedlowych klubach kultury. O biurze turystyki Juventur i dość dostępnych wycieczkach zagranicznych, dzięki czemu nie baliśmy się świata. O obozach, na których zrodziły się dozgonne przyjaźnie i niejedno małżeństwo. Wreszcie o licznych debatach politycznych, w których wykuwały się, nieprawomyślne z tamtego punktu widzenia, pomysły na przyszłość własną i Polski. O tym, że zanim Lech Wałęsa wezwał do brania spraw w swoje ręce, myśmy w ZSMP już to praktykowali.

Porozmawiajmy o kadrotwórczej roli ZSMP. Wyrosło z niego wielu nie tylko polityków, samorządowców, ale i ludzi z kadry technicznej.

– To jasne. Najbliżej mi do polityków, bo znam to środowisko od kilkudziesięciu lat. Gdy wszedłem w 1993 r. na zebranie Klubu Parlamentarnego SLD, znałem może jedną trzecią z ZSMP. Osiem lat później to była już połowa. Kilka dni temu byłem na Kongresie Samorządowym w Mikołajkach, co trzeci starszy człowiek podchodził i powoływał się na znajomość jeszcze z ZSMP. Podobnie było kilkanaście lat temu na jakimś spotkaniu w NOT, a nawet na spotkaniu w Centralnym Związku Kółek i Organizacji Rolniczych. Zawstydzenie życiorysami z czasów PRL mija, nie da się ludziom amputować pamięci, że jednak wtedy żyli, pracowali i działali. Zobacz zresztą, jak zmienia się, także dzięki „Przeglądowi", opinia o Polsce Ludowej. Już tylko w IPN uważają, że najważniejszą sprawą z tamtych lat jest SB.

Czym tłumaczysz tę zmianę opinii o PRL?

– Do głosu dochodzi rozwaga w ocenie naszej przeszłości, która nie zamazuje ciemnych plam, ale dostrzega też pewną satysfakcję, którą niosło nam życie w tamtym naszym państwie. Pomimo uwikłań geopolitycznych i ideologicznych Polska była państwem, w którym dało się żyć, realizować swoje cele i ambicje. Pewnie skromne, przykrojone do ówczesnych możliwości, ale zawsze. Inżynier, prawnik, lekarz, ale i robotnik, rolnik czy urzędnik mieli pewność jutra. Czuli się bezpieczniej życiowo niż dzisiejsza młodzież. Odbywało się to za cenę lojalności politycznej, ale nie zawsze i nie dla wszystkich jest ona najważniejsza.

Jaki był skład społeczny ZSMP?

– ZSMP miał być z założenia organizacją powszechną. Był otwarty dla wszystkich, którzy chcieli być aktywni. To nie mogło się udać, jednak prawie 2 mln młodych ludzi wytrwało w nim do 1989 r. Coś musiało być w tej organizacji, co przyciągało młodzież. Nie tylko więzi rówieśnicze. Także jakiś rys ideowy, przekonanie, że warto działać w grupie. Robić coś razem. Poza tym był pewien czynnik socjologiczny. W tym samym kolektywie byli robotnik i inżynier, rolnik i nauczyciel, początkujący pisarz amator i zawodowy artysta. Znajdowali jakąś płaszczyznę porozumienia, a może nawet więcej – poczucie pewnej równości w aspiracjach i równoprawności w schematach i procedurach organizacyjnych. Bez potrzeby składania deklaracji ideologicznych i spowiadania się z życia prywatnego.

Kiedyś, na spotkaniu w węższym gronie, powiedziałeś, że aktyw ZSMP był mniej rozrywkowy niż ten z SZSP/ZSP. Podtrzymujesz tę opinię?

– Specyfika środowiska. Jednak stan studencki jest okresem przejściowym gromadzącym ludzi w podobnym wieku, o podobnych aspiracjach. Myśmy w ZSMP mieli ludzi 15-letnich oraz 35-letnich, którzy na upartego mogli być rodzicami tych pierwszych. Ci pierwsi jeździli do Jarocina, a ja zachwycałem się Santaną. W ZSP tego nie było – dominowali rówieśnicy, często o podobnych obyczajach i zwyczajach, takich samych zainteresowaniach. To ułatwiało kontakty towarzyskie i skracało dystans. Ale jestem dziś pełen szacunku do ludzi z ZSP. Wielu z nich współdecydowało o kształcie III Rzeczypospolitej, było i jest solidnymi towarzyszami mojej życiowej drogi. Choć czasem taka studenckość mi dokuczała. Polityka to nie studia, nie kończy się za cztery lata.

3 grudnia 1980 r. ZMW ponownie zaczął samodzielną działalność, pod wpływem i za sprawą wielu działaczy PZPR i ZSL. Powstał też Związek Młodzieży Demokratycznej. ZSMP, powstały w 1976 r., jednak się nie rozpadł. Jak dawniej ZMP. Dlaczego nadal istniał, a nawet istnieje do tej pory?

– Jestem dość sceptyczny co do przyszłości starych struktur młodzieżowych. Stoję na stanowisku, że każde pokolenie powinno się organizować na swoją modłę, wedle własnych – zmieniających się – potrzeb i aspiracji. Chodzę na spotkania ZMW i niekiedy ZSMP, bo mnie zapraszają jako weterana. Ale poza paroma banałami o ojczyźnie niewiele mam im do powiedzenia. Moja generacja stworzyła ZSMP, a teraz Stowarzyszenia Pokolenia, które towarzyszyć nam będą aż do śmierci. I dobrze, tak trzeba. A młodzi niech budują swoją Polskę. Oby lepszą niż nasza.

Paweł Dybicz

SPOTKANIE KOLEŻEŃSKIE

Zarząd Mazowieckiego Stowarzyszenia POKOLENIA organizuje w Warszawie **„Spotkanie koleżeńskie po latach" z okazji 50-lecia ZSMP i swojego 35-lecia.**

Będzie stoisko „Przeglądu" z naszymi publikacjami, a red. Paweł Dybicz będzie podpisywał swoje książki.

Spotkanie odbędzie się 26 kwietnia (początek o godz. 12) w Hotelu Gromada (d. Dom Chłopa), Plac Powstańców Warszawy 2.

Warunki uczestnictwa i bliższe informacje można uzyskać, wysyłając mejl: **warszawskiepokolenia@gmail.com lub zdzgosk@wp.pl.**

eprasa.pl c473d62a4b

Tak milczy wstyd

25 kwietnia minie 19. rocznica tragicznej śmierci Barbary Blidy

Andrzej Sikorski

„Czy czuje się pan współodpowiedzialny za śmierć Barbary Blidy? Czy ma pan wyrzuty sumienia z powodu śmierci Barbary Blidy? Czy gdyby mógł pan cofnąć czas, zachowałby się pan inaczej, tj. nie zorganizował prowokacji wobec Barbary Blidy? Czy przeprosi pan rodzinę Barbary Blidy?", zapytałem Bogdana Święczkowskiego, teraz prezesa Trybunału Konstytucyjnego, a w pierwszym rządzie PiS szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Święczkowski nie odpowiedział. Na te same pytania nie odpowiedzieli były premier Jarosław Kaczyński ani były minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro. Takie zachowanie jest zaskakujące, bo panowie słyną z ciętego języka i besztania dziennikarzy zadających niewygodne pytania.

W każdym praworządnym państwie dygnitarze odpowiedzialni za wrobienie niewinnej osoby w przestępstwo, zastosowanie wobec niej prowokacji z udziałem służb specjalnych i prokuratury, co doprowadziło do tragicznej śmierci wrabianej osoby, musieliby za swoje czyny stanąć przed sądem. Ale państwo polskie nie sprostało tej próbie. Nad ludźmi, którzy, kierując się nienawiścią i doraźnym interesem politycznym, dopuścili się zbrodni, rozpostarło parasol ochronny. Partie demokratyczne były tak nieudolne, że mając większość w Sejmie, nie potrafiły postawić Zbigniewa Ziobry i Jarosława Kaczyńskiego przed Trybunałem Stanu. Pozwoliły, by ten pierwszy z nich kpił, że „są nieudacznikami w każdym calu, w każdej dziedzinie, w każdej sprawie".



Byłej posłance SLD Barbarze Blidzie chciano postawić sfabrykowane zarzuty.

Polowanie na czarownice

Dzisiaj dla Jarosława Kaczyńskiego i PiS śmiertelnymi wrogami są Donald Tusk, uchodźcy, środowiska LGBT, wyznawcy „lewackiej" ideologii, brukselskie elity i Niemcy. W 2007 r. głównym wrogiem był wszechobecny układ postkomunistyczny, który składał się z polityków SLD, urzędników, sędziów, biznesmenów, ludzi służb specjalnych i zblatowanych z nimi działaczy dawnej Solidarności. Zdaniem prezesa PiS układ sprawował nieformalną władzę w Polsce, nielegalnie się bogacił, ponadto blokował wszelkie reformy i modernizację kraju. To na fali walki z układem Lech Kaczyński został prezydentem Warszawy i prezydentem Polski, a PiS doszło do władzy w 2005 r. Taki mityczny wróg był idealny, bo można było na niego zrzucić winę za wszelkie niepowodzenia w rządzeniu.

Intrygę z wrobieniem w przestępstwo korupcyjne (udział w tzw. mafii węglowej) byłej posłanki SLD i minister budownictwa uknuli Bogdan Święczkowski i Zbigniew Ziobro przy pomocy zaufanych prokuratorów i funkcjonariuszy ABW. Przebywającej w areszcie przyjaciółce

FOT.JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, PAP/BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI

eprasa.pl c473d62a4b

Barbary Blidy, śląskiej bizneswoman Barbarze Kmiecik, która była podejrzana o przestępstwa korupcyjne, zaproponowano układ. Opuszczenie więziennych murów w zamian za obciążenie popularnej polityczki lewicy. Kmiecik przystała na to, a sąd uchylił jej areszt. Wkrótce po wyjściu z celi kobieta zaczęła składać zeznania obciążające Blidę.

Choć Kmiecik była przesłuchiwana aż 26 razy (w okresie od 25 maja 2006 r. do 20 kwietnia 2007 r.) przez funkcjonariuszy ABW i prokuratorów, jej zeznania nie były nic warte. Najpierw kategorycznie twierdziła, że Blida nie pomagała jej w procederze przestępczym, potem zmieniła zdanie, choć nie potrafiła powiedzieć niczego konkretnego i przekonującego, co dałoby się przełożyć na materiał dowodowy. Jej zeznania były chaotyczne i sprzeczne, a zajęły ledwie 30 wersów, czyli jedną stronę formatu A4.

Funta kłaków warte były też opowieści innego „świadka" prokuratury, byłego posła Stanisława Zająca, który gdzieś od kogoś coś słyszał o korupcji w świecie polityki i gospodarki związanej z obrotem węglem. Prokurator Jacek Krawczyk, widząc, że ma do czynienia z hucpą, powiedział, że „przy Blidzie nic na siłę nie będzie robił", „nie interesuje go polityka", „nie będzie podłączał się pod rozliczanie lewicy".

Skoro Krawczyk nie chciał działać na zlecenie polityczne, przygotowano w jego imieniu (sic!) absurdalne postanowienie o wszczęciu śledztwa w sprawie domniemanego przestępstwa płatnej protekcji, tj. udzielania przez Barbarę Kmiecik korzyści majątkowych osobom pełniącym funkcje publiczne. Wkrótce do sprawy przydzielono nowych prokuratorów: trzech niedoświadczonych asesorów, którymi można było łatwo sterować, co faktycznie miało miejsce.

Wszystko było ustalone

Jednocześnie temat Barbary Blidy był omawiany na szczytach władzy, podczas nieformalnych spotkań z udziałem m.in. Jarosława Kaczyńskiego, Zbigniewa Ziobry i Bogdana Święczkowskiego. Ten ostatni twierdził, że sprawa jest „hiciorem" i przez Blidę można wyjść na osoby z wierchuszki SLD, m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera. Jarosław Kaczyński miał być tym zachwycony i stwierdzić, że pokazanie tego układu wystarczy za wszystkie inne. Dwa dni przed zatrzymaniem Blidy doszło do kolejnego spotkania, w ośrodku ABW w Magdalence. Wzięli w nim udział m.in. Kaczyński, Ziobro i Święczkowski, który dysponował już zarzutami, jakie miała usłyszeć była posłanka SLD. Święczkowski mówił, że jeśli Blida zostanie aresztowana, to na pewno coś powie. Gdy pojawiła się wątpliwość, czy sąd zastosuje wobec niej areszt tymczasowy, szef ABW zapewnił: „Nie po to zmienialiśmy ludzi w sądzie, żeby teraz jej nie aresztowali".

Państwo polskie nie sprostało próbie. Rozpostarło parasol ochronny nad ludźmi, którzy dopuścili się zbrodni.

Święczkowski miał na myśli Monikę Śliwińską, swoją znajomą i żonę dyrektora delegatury ABW w Katowicach, która została prezesem Sądu Okręgowego w Katowicach. To Święczkowski polecił Zbigniewowi Ziobrze kandydaturę Śliwińskiej, a ten przedstawił ją śląskiemu zgromadzeniu sędziów. Janusz Kaczmarek, prokurator krajowy i szef MSWiA, zeznał przed sejmową komisją śledczą, że to Święczkowski zabiegał u Ziobry o awans dla Śliwińskiej. Właśnie po to, by zaklepała areszt dla Blidy. Po jednej z narad z Jarosławem Kaczyńskim, gdzie omawiano sprawę zatrzymania byłej posłanki, ówczesny szef policji Konrad Kornatowski zauważył, że z tak słabymi dowodami żaden sąd nie zgodzi się na tymczasowe aresztowanie. Na co Święczkowski odparł, „że w Katowicach wszystko jest ustalone". Czyli można domniemywać, że Śliwińska miała wywierać naciski na sędziego rozpatrującego wniosek o areszt, co oczywiście byłoby przestępstwem i niesłychanym skandalem.

Zarzut, który zamierzano postawić Blidzie, był kompletnie absurdalny. Otóż polityczka lewicy w nieustalonych dniach w okresie od 1 grudnia 1997 r. do 31 marca 1998 r. miała pośredniczyć w przekazaniu 80 tys. zł łapówki od Barbary Kmiecik dla Zbigniewa Baranowskiego, prezesa Rudzkiej Spółki Węglowej, w zamian za umorzenie odsetek naliczonych od długu firmy Kmiecik. Żeby było ciekawiej, Blida łapówkę prezesowi Baranowskiemu miała przekazać za pośrednictwem jeszcze jednej nieustalonej osoby. Tyle że żadnej łapówki nie przekazała, a prezes Baranowski nie umorzył odsetek, bo nie mógł tego zrobić. W takiej sytuacji Blida musiałaby oszukać Kmiecik, a pieniądze na łapówkę przywłaszczyć.

Ale Kmiecik nie czuła się oszukana, mimo że straciła pieniądze, za to po 10 latach nagle ją oświeciło i przypomniała sobie, że dała łapówkę, choć nie potrafiła sobie przypomnieć okoliczności, w jakich to się stało. W tak naciąganą historyjkę nie uwierzyłoby dziecko, ale dla Jarosława Kaczyńskiego, Zbigniewa Ziobry i Bogdana Święczkowskiego była ona bardzo wiarygodna.

Panowie postanowili urządzić show, a właściwie medialny lincz na niewinnej kobiecie. Zatrzymanie Blidy miała sfilmować ekipa ABW. Zaplanowano konferencję prasową z udziałem Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry. O akcji poinformowano nawet prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Usprawiedliwiona śmierć

Jak wiemy, plany PiS legły w gruzach, bo Barbara Blida zmarła w tragicznych okolicznościach. Według oficjalnej wersji, gdy funkcjonariusze ABW wtargnęli rankiem do jej domu w Siemianowicach Śląskich, poprosiła o możliwość skorzystania z toalety, wyjęła z szafki rewolwer i postrzeliła się z niego. Jednak sejmowa komisja śledcza ustaliła inny przebieg zdarzeń. Między Blidą a pilnującą jej funkcjonariuszką ABW

eprasa.pl c473d62a4b

prawdopodobnie doszło do szamotaniny. Ciało Blidy było nienaturalnie ułożone, co podważało wersję o samobójstwie. Wytarte zostały ślady odcisków palców z rewolweru. Na palcach zmarłej nie znaleziono odcisku języka spustowego lub kurka rewolweru, co wyklucza, by kobieta użyła broni. Na kurtce funkcjonariuszki ABW znaleziono proch z innej broni niż z rewolweru Blidy. Jak ustalono, agentka nie brała wcześniej udziału w zajęciach z wyszkolenia strzeleckiego ani w akcjach z użyciem broni, kurtka została więc podmieniona. Na kurtce nie było też śladów krwi Barbary Blidy, a być powinny, bo bardzo krwawiła, a funkcjonariuszka ABW ją reanimowała.

Okoliczności śmierci Barbary Blidy, a także prowadzonego wobec niej śledztwa wyjaśniała prokuratura pod rządami PO-PSL. Większość postępowań została umorzona i nikt nie poniósł odpowiedzialności karnej. Ani prokuratorzy, którzy chcieli postawić byłej posłance sfabrykowane zarzuty, ani ich przełożeni, którzy ręcznie sterowali śledztwem, tak aby zadowolić zwierzchników politycznych. Chodzi m.in. o Krzysztofa Sieraka, wówczas szefa Prokuratury Okręgowej w Katowicach i dyrektora Biura ds. Przestępczości Zorganizowanej Prokuratury Krajowej, który teraz jest zastępcą prokuratora generalnego i nie uznaje Waldemara Żurka.

W 2024 r. minister Adam Bodnar powołał zespół do zbadania śledztw podejmowanych przez prokuraturę w związku ze śmiercią Barbary Blidy. W raporcie przygotowanym przez doświadczonych prawników (prokuratorów Iwonę Palkę, Jarosława Onyszczuka, Andrzeja Janeckiego oraz adwokata Adama Rogalę-Lewickiego) stwierdzono, że „postępowania te były prowadzone z różnym poziomem wnikliwości i rzetelności, a sformułowane oceny, szczególnie w zakresie odnoszącym się do przedstawienia zarzutów Barbarze Blidzie, jak i politycznego wykorzystania



Bogdan Święczkowski przed sejmową komisją badającą okoliczności śmierci Barbary Blidy. Warszawa, 15 października 2010 r.

sprawy nie spotkały się z krytyczną oceną prowadzących je prokuratorów". I dalej: „Można zaobserwować tendencję do nadmiernego usprawiedliwiania funkcjonariuszy w zakresie wywiązywania się przez nich z obowiązków i korzystania z uprawnień. (…) Przedstawione w raporcie krytyczne uwagi dotyczące sposobu prowadzenia postępowań nie mogą przesądzić o podważeniu wydanych decyzji procesowych, albowiem wymagałoby to przeprowadzenia dodatkowych czynności dowodowych, które z perspektywy czasu, dostępu do materiałów dowodowych oraz percepcji określonych źródeł dowodowych nie przyniosłyby oczekiwanych rezultatów. Najistotniejszą jednak przyczyną tego, że brak jest jakichkolwiek przesłanek prawnych do podjęcia i kontynuowania tych postępowań, jest upływ terminu przedawnienia karalności".

Zaryzykuję tezę, że śledztwa te były tak prowadzone, aby rozpiąć parasol ochronny nad skompromitowanymi prokuratorami, funkcjonariuszami ABW i politykami PiS. W jedynej sprawie, która zakończyła się aktem oskarżenia, przed sądem stanął Grzegorz S., funkcjonariusz ABW dowodzący akcją zatrzymania Barbary Blidy. Został on oskarżony o to, że wbrew ciążącemu na nim obowiązkowi (miał informację o tym, że Barbara Blida może posiadać broń) nie polecił podwładnym, aby przeszukali dom, w tym sprawdzili łazienkę i zrewidowali udającą się do niej byłą posłankę. W 2013 r. Grzegorz S. co prawda został skazany na pół roku pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na dwa lata, ale kilka miesięcy później sąd przywrócił go do służby w ABW. Jesienią 2014 r. na wniosek obrońcy Grzegorza S. Sąd Okręgowy w Katowicach uchylił wyrok sądu pierwszej instancji i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia. W ponownym procesie jesienią 2015 r. sąd uniewinnił Grzegorza S. Prokuratura wniosła apelację, którą poparła rodzina Barbary Blidy.

Rozprawa odwoławcza odbyła się w czerwcu 2016 r., a więc kilka miesięcy po tym, jak PiS zmieniło ustawę o prokuraturze, a prokuratorem krajowym został Bogdan Święczkowski. Jakież było zdziwienie Jacka Blidy występującego w roli oskarżyciela posiłkowego i reprezentującej go mecenas Stanisławy Mizdry, gdy prokurator wycofał apelację, a sędzia błyskawicznie zakończył rozprawę. Apelacja została wycofana na polecenie dyrektora Departamentu Postępowania Sądowego Prokuratury Krajowej. Był nim Zbigniew Siejbik, zaufany człowiek Zbigniewa Ziobry. Według moich informacji prokurator Siejbik działał na polecenie Bogdana Święczkowskiego, który w ten sposób uratował przed odpowiedzialnością karną swojego byłego podwładnego.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl c473d62a4b

TO NIE WĘGIEL ZABIJA

Przekształcenie elektrowni węglowej w korzystającą z gazu sprowadzanego z Kataru to idiotyzm lub sabotaż

Rozmawia Mateusz Cieślak



DR JERZY MARKOWSKI
– były wiceminister gospodarki oraz przemysłu i handlu, senator dwóch kadencji z ramienia SLD. W latach 90. pełnomocnik rządu ds. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego. Za rządów PiS bezskutecznie zabiegał o zgodę na wybudowanie nowej kopalni w Suszcu (woj. śląskie). Dziś doradza rządom różnych państw w sprawach dotyczących górnictwa.

W Rybniku działają cztery kopalnie, tymczasem tamtejsza elektrownia węglowa jest wygaszana i zastępowana jednostką na gaz z Kataru.

– Na to nie ma logicznego wytłumaczenia. Ta inwestycja zaczęła się za rządów PiS. I kolejny rząd toleruje to, że mając do dyspozycji – w odległości kilkunastu kilometrów – zasoby surowca energetycznego, który nie jest obarczony dodatkowym ryzykiem, rezygnuje się z niego na rzecz innego, który trzeba kupić za granicą, dostarczyć z daleka, w dodatku trasą niepewną ze względów militarnych czy klimatycznych. Ta decyzja kwalifikuje się do kategorii klasycznych idiotyzmów, żeby nie nazwać tego sabotażem.

A co z ekologią?

– Efekty ekologiczne przy takich produktach jak gaz muszą być oceniane nie tylko w momencie spalania gazu, ale również np. w czasie transportu. A w tym przypadku mamy zużywać gaz płynący do Polski z odległości 20 tys. km. Myśląc o ekologii, musimy brać pod uwagę więcej czynników, a nie tylko to, co jest skutkiem spalin.

Żyjemy w czasach największego kryzysu energetycznego od lat 70. XX w. Wojna na Ukrainie, płonąca Zatoka Perska, niepewne dostawy. Czy w tej sytuacji odcinanie się od własnego węgla ma sens?

– Myśląc o tym, jak zdobyć energię, trzeba brać pod uwagę to, jak ją wytworzyć, z czego i gdzie znaleźć paliwo do jej wytworzenia. Obecny kryzys wykazał ponad wszelką wątpliwość, że najsłabszą stroną zaopatrzenia w energię jest transport. Teraz przecież to transport zawodzi, abstrahując od ekonomii, która na skutek blokad transportowych zupełnie rozmija się z ekonomią planowaną w czasie, kiedy decydowano się na takie, a nie inne paliwo. Mało kto zdaje sobie sprawę, ile złego stałoby się w gospodarce światowej, gdyby rzeczywiście doszło do apokaliptycznego zniszczenia cywilizacji w Iranie, co zapowiadał prezydent Trump. Byłoby to przede wszystkim wyeliminowanie irańskiego gazu z rynku, co spowodowałoby globalny wzrost cen tego surowca. A następnie wzrost cen wszystkiego, do czego potrzebny jest gaz.

Już dziś w Polsce ma on 18-procentowy udział w wytwarzaniu energii. A przecież gaz w 80% odpowiada za koszty produkcji nawozów sztucznych. Te są niezbędne do upraw, czyli mają wpływ na ceny żywności. Idąc dalej, gaz wykorzystujemy do produkcji aluminium i stali, w koksownictwie. Obecny kryzys to wielka lekcja. Bylibyśmy skończonymi idiotami, gdybyśmy z niej nie wyciągnęli wniosków. Trzeba sięgnąć po własne zasoby gazu ziemnego, które w Polsce mamy. Polska zużywa rocznie ok. 19 mld m sześc. gazu. Jesteśmy w stanie wydobyć ok. 4 mld. Kilku udokumentowanych złóż nie eksploatujemy ze względu na problemy o charakterze ekologicznym. Korzystajmy z gazu tam, gdzie nie ma dla niego alternatywy. Natomiast zastępowanie nim węgla jest błędem.

Ekologię zostawmy na boku. Pomyślmy o rachunkach, o ekonomii. Jaki sens ma wydobywanie węgla z głębokości kilometra? A tak jest w Polsce.

– To zależy, gdzie się go wydobywa i z jakiego złoża. Trzy lata temu wszystkie spółki węglowe i kopalnie miały zysk. Po wybuchu wojny na Ukrainie cena węgla energetycznego wzrosła o 250% i wynosiła 250 dol. za tonę. Cena węgla koksowego wynosiła 450 dol. za tonę. Wtedy nikt nie pytał o sens ekonomiczny. Mało tego, rząd obciążył Jastrzębską Spółkę Węglową nadzwyczajnymi

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl c473d62a4b

podatkami z tytułu ponadnormatywnych zysków. Przypomnę decyzję wicepremiera Sasina i kwotę 500 mln zł.

Wzrost ceny węgla był spowodowany strachem. I wreszcie się skończył, ale po drodze wydarzyło się coś bardzo niepokojącego. Okazało się, że górnictwo to obszar niezwykle wrażliwy politycznie, gdzie najwięcej do powiedzenia mają związki zawodowe i politycy. Na górnictwie wymuszono odejście od ekonomii. Przykładem jest wspomniana JSW. Jej pracownicy otrzymali 10-letnie gwarancje utrzymania poziomu wynagrodzeń. Nie znam drugiego takiego przykładu na świecie. Poza tym spadło wydobycie, a tym samym wydajność, o 30%, koszty zaś wzrosły o 60%. Takiej ekonomii nie wytrzyma nikt.

Ale nawet w tej sytuacji Polska jest przykładem, że da się z korzyścią wydobywać węgiel kamienny z dużej głębokości. Tak jest w podlubelskiej kopalni Bogdanka, która sama wydobywa prawie 9 mln ton węgla, czyli 80% tego, co cała JSW. Jest to węgiel energetyczny, czyli użyteczny w tym rejonie, gdzie Bogdanka istnieje. To kopalnia, która ma w tym roku zysk, podobnie jak w ubiegłym. Powinniśmy, co mówię jako Ślązak i górnik, zaniechać eksploatacji wielu kopalń na Śląsku, tych, które nie mają szansy na samodzielność ekonomiczną. I pozwolić inwestorom prywatnym, bo państwo tego nie zrobi, wybudować przynajmniej dwie kopalnie w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Przy 40-procentowym udziale węgla w produkcji energii elektrycznej to zabezpieczyłoby Polskę na najbliższe 30-40 lat.

Potrzebna byłaby wola polityczna. I to nie tylko w Warszawie.

– Tu potrzeba przede wszystkim wyobraźni. Politycy, mimo że stanowią prawo, nie czytają go. Nie rozumieją, że inwestor, właściciel kopalń, nie jest właścicielem węgla. On ma tylko prawo do wydobycia. Złoża węgla są własnością narodu. Tak stanowi prawo. I to państwo ustanawia w koncesji warunki dystrybucji węgla. Może zadecydować, ile tego węgla ma zostać w Polsce, a ile gdzie indziej. Z jaką łatwością dzisiaj państwo toleruje program likwidacji kopalń przy rosnącym imporcie węgla do Polski! To też charakterystyczne, prawda? Nie mówiąc o tym, że inwestowanie w górnictwo przez inwestorów zagranicznych jest najbardziej niepewnym modelem inwestowania, inwestycja w górnictwo ma bowiem tę cechę, że zostaje ona w tym miejscu. To nie jest fabryka samochodów, guzików czy piekarnia, którą da się przenieść. Mamy na to historyczny przykład. 80% kopalń na Śląsku wybudowali Niemcy. No i co? Niemców nie ma, ale kopalnie są.

Mówi pan o budowaniu nowych kopalń, ale panu na to nie pozwolono. Co ciekawe, działo się to za rządów PiS, które obiecywało bronić górnictwa.

– Pani Beata Szydło zasłużyła na szczególną „nagrodę” za swoją wypowiedź przed wyborami do parlamentu, kiedy na kopalni Makoszowy deklarowała, że żadna kopalnia w Polsce nie zostanie zamknięta. I właśnie ta kopalnia Makoszowy została zamknięta jako pierwsza, razem z kopalnią Krupiński. Ale tu trzeba dodać, że kopalnie do likwidacji wytypował jeszcze rząd Platformy Obywatelskiej. Przed rządami PiS. Ówczesny wiceminister gospodarki wysłał do Unii Europejskiej zestawienie kopalń przewidzianych do likwidacji, w którym znalazły się wspomniane zakłady. Nastąpiła zmiana rządu. I PiS realizowało dyspozycje Platformy Obywatelskiej. Likwidowało dokładnie te kopalnie, które wskazała PO. Można by powiedzieć, że nic tak w Polsce nie łączy polityków jak niechęć do górników. Obojętne, jaka opcja rządzi – każda likwiduje górnictwo.

Przypomnę początek kadencji tego parlamentu. Polska 2050 zapowiadała, że wydobycie węgla skończy się u nas w roku 2030, czyli za cztery lata. Bzdura. Partia ta się rozpadła, ale węgiel przetrwał. Lewica podobnie. Zresztą lewica już w ogóle odleciała, jeżeli chodzi o stosunek do górnictwa. To, co opowiadają politycy lewicy, zwłaszcza o skutkach używania węgla w gospodarce, to dramat. Słuchałem wypowiedzi posłanki, która mówiła, że co roku 100 tys. ludzi w Polsce umiera na skutek emisji dwutlenku węgla. Dwa tygodnie później pani wiceminister klimatu i środowiska mówiła, że 60 tys. Miesiąc później wiceminister klimatu – że 80 tys. Zdecydujcie się ile albo przestańcie kłamać.

Węgiel zabija ludzi?

– Podczas wydobycia czasami tak. Natomiast zanieczyszczenia spowodowane spalaniem węgla nie są dylematem górników. To problem techniczny, z którym można sobie poradzić. I świat sobie z tym radzi. Dzisiaj świat zgazowuje węgiel wydobyty z podziemi, żeby go używać w energetyce. I po zamianie na gaz do powietrza nie dostają się szkodliwe substancje. Robią tak Chińczycy, Hindusi, Amerykanie i Kanadyjczycy. Trzeba pamiętać, że również w Polsce poradziliśmy sobie z bardzo szkodliwym parametrem. 30 lat temu polskie elektrownie węglowe emitowały do atmosfery zanieczyszczenia, w których związki siarki o 600% przekraczały normy europejskie. Dziś siarki w powietrzu nie ma, a dzięki temu, że ją wychwytujemy, powstał olbrzymi przemysł anhydrytu, materiałów dodanych itd. Trzeba tylko mieć wolę polityczną i pozwolić specjalistom, by rozwiązali dylematy techniczne. A u nas: nie, bo nie. Najlepiej podjąć uchwałę, że zamykamy. ■

Górnictwo to obszar niezwykle wrażliwy, gdzie najwięcej do powiedzenia mają związki zawodowe i politycy.

80% kopalń na Śląsku wybudowali Niemcy. No i co? Niemców nie ma, ale kopalnie są.

eprasa.pl c473d62a4b



Dziurawy system kontroli niszczy polski rynek żywności



Rozproszone i niedofinansowane inspekcje nie mają siły przeciwstawić się wielkim sieciom handlowym i grupom przestępczym

Marek Czarkowski

W Broniszach, na największym w Polsce rynku hurtowej sprzedaży owoców, warzyw, artykułów spożywczych i kwiatów, wczesną wiosną można znaleźć kartony z pomidorami oznaczone: „Produkt polski". W rzeczywistości sprowadzono je z Afryki Północnej. Dlaczego dochodzi do takich oszustw? Bo pomidory z polskich szklarni są droższe od afrykańskich. I znacznie smaczniejsze.

W 2022 r. kupowaliśmy nieświadomie w sklepach chleb i bułki, które mogły być wypieczone z pochodzącej z Ukrainy pszenicy technicznej. Ówczesny rząd Mateusza Morawieckiego ewidentnie problem zlekceważył, a rolnicy, którym w skupach proponowano skandalicznie niskie ceny za pszenicę, rozpoczęli protesty. Z przerwami trwały one do roku 2024.

W tym samym roku wybuchła afera Berg + Schmidt Polska. Spółka do produkcji dodatków paszowych używała tłuszczów technicznych zamiast surowców spełniających normy spożywcze. Wśród jej klientów był największy w kraju producent drobiu, firma Cedrob. Wartość szkód szacowano na 170 mln zł. W 2024 r. ogłoszono upadłość firmy Berg + Schmidt Polska.

Regularnie opisywane przez media afery z importowanym zbożem czy podejrzanymi dodatkami paszowymi oraz widmo zalewu europejskiego rynku tanią żywnością z Ameryki Południowej to tylko część problemu. Polski system kontroli żywności pozostawia wiele do życzenia, a gdy ujawniane są nieprawidłowości, trudno znaleźć winnych.

Presja cenowa spółek zajmujących się produkcją pasz bądź wyrobami piekarniczymi oraz wielkich sieci supermarketów stworzyła idealne warunki do oszustw. Na to nałożyła się niska skuteczność kar za nieprzestrzeganie prawa. Efekt? Utrata zaufania do instytucji państwowych.

Czterech kucharzy w jednej kuchni

11 marca br. w sali Kina pod Kopułą w Gostyniu odczytano obszerny akt oskarżenia w głośnej sprawie „chrzczenia" mleka przez rolników i pracowników tamtejszej spółdzielni mleczarskiej. Mechanizm był prosty – do mleka dolewano wodę i fałszowano dokumentację, by osiągnąć dodatkowe zyski. Proceder miał miejsce w latach 2015-2019. Oszuści wpadli, bo podejrzeń nabrały władze spółdzielni, które zawiadomiły policję i prokuraturę, że coś jest nie tak. Po zainstalowaniu kamer jeden z kierowców został nagrany, jak manipuluje licznikiem, a dalsze kontrole (przy udziale

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c473d62a4b

kompetentnych organów) wykazały, że w kilku cysternach były przerobione zawory. W trakcie postępowania ujawniono szczegóły przestępczego procederu. Prokuratura oszacowała straty na kilka milionów złotych, a na ławie oskarżonych zasiadło łącznie 79 osób. A ponieważ w budynku Sądu Rejonowego w Gostyniu nie było sali mogącej pomieścić taką liczbę oskarżonych, ich obrońców, dziennikarzy oraz publiczność – wynajęto salę kinową.

Znamienne – skandalu nie wykryła żadna z czterech państwowych inspekcji powołanych do kontroli i nadzoru nad produkcją, przetwórstwem i handlem produktami spożywczymi. Chodzi tu o:

• Państwową Inspekcję Sanitarną (sanepid), podległą ministrowi zdrowia, która dba o bezpieczeństwo sanitarne żywności w sklepach i restauracjach, kontroluje jakość żywności niezwierzęcej na etapie produkcji, a także materiałów przeznaczonych do kontaktu z nią;

• Inspekcję Weterynaryjną (IW), podlegającą ministrowi rolnictwa i rozwoju wsi, a nadzorującą stan zdrowia zwierząt oraz bezpieczeństwo żywności pochodzenia zwierzęcego: mięsa, mleka, jaj, na wszystkich etapach produkcji, zanim trafią one na półki sklepowe; IW monitoruje też występowanie chorób zakaźnych zwierząt na terenie Polski;

• Inspekcję Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych (IJHARS), która także podlega ministrowi rolnictwa; tropi ona fałszerstwa i sprawdza, czy masło jest masłem, a skład na etykiecie puszki np. gulaszu angielskiego zgadza się z zawartością;

• Inspekcję Handlową (IH), działającą pod nadzorem niezależnego Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK), która kontroluje bezpieczeństwo, jakość i legalność produktów oraz prawidłowość oznakowania.

Tyle że w tym systemie jest sporo luk, na co od lat zwraca uwagę Najwyższa Izba Kontroli, wskazując brak koordynacji pomiędzy tymi organami i marnotrawstwo zasobów. Izba rekomendowała stworzenie jednej, potężnej agencji, na wzór działających w państwach Unii Europejskiej. W 2017 r. rząd PiS przyjął projekt ustawy o Państwowej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności (PIBŻ), która miała powstać z połączenia Inspekcji Weterynaryjnej, Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych oraz części Państwowej Inspekcji Ochrony Roślin i Nasiennictwa. Nowa inspekcja miała przejąć część zadań Państwowej Inspekcji Sanitarnej oraz Inspekcji Handlowej. Temat jednak upadł, gdyż Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi rozpoczęło wojnę podjazdową z Ministerstwem Zdrowia o to, kto będzie sprawował nadzór nad instytucją.

Dlatego w praktyce dochodzi do absurdów. Jogurt w lodówce sklepowej może podlegać jednocześnie kontroli sanepidu – ze względu na kwestie sanitarne, Inspekcji Weterynaryjnej – wszak powstał z mleka, oraz Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych, która może zainteresować się jego oznakowaniem. Właścicielom sklepów nie jest do śmiechu.

Zysk ponad wszystko

Gigantyczna skala współczesnego handlu detalicznego sprawia, że nawet drobne oszustwo związane z jednym produktem, powtórzone miliony razy, generuje olbrzymie dochody. Dlatego coraz powszechniejsze staje się fałszowanie żywności, niezagrożone bardzo wysokimi karami, a przynoszące solidne profity. Obok prostych metod, takich jak zastępowanie drogich składników tańszymi czy wstrzykiwanie wody do mięsa w celu zawyżenia jego wagi, coraz częściej pojawiają się bardziej wyrafinowane oszustwa.

W ubiegłym roku grecka policja rozbiła w Salonikach grupę, która „produkowała" oliwę extra virgin, odpowiednio aromatyzując i barwiąc olej słonecznikowy. Gotowy produkt rozlewano do plastikowych i metalowych kanistrów, ozdabiając etykietami z fikcyjną listą nagród przyznanych w różnego rodzaju konkursach za wysoką jakość.

W innym śledztwie greccy policjanci skonfiskowali ponad 20 tys. litrów olejów, dodatków barwiących i aromatów, które miały służyć do podrabiania oliwy.

Według danych Interpolu w Hiszpanii i we Włoszech takich firm fałszujących oliwę działają dziesiątki. Włosi, Grecy i Hiszpanie sprowadzają też ogromne ilości oliwy z Tunezji, Turcji i Maroka, którą sprzedają jako oryginalną włoską czy hiszpańską, podnosząc cenę tylko za zmianę etykiety. W ostatnich latach fałszowanie żywności na południu Europy stało się domeną zorganizowanych grup przestępczych, dla których jest to biznes o wysokiej stopie zwrotu i relatywnie niskim ryzyku.

W Gostyniu odczytano obszerny akt oskarżenia w głośnej sprawie „chrzczenia" mleka – dolewano do niego wodę, a dokumentację fałszowano.

Także w Polsce podejmowane są takie próby. W 2015 r. głośno było o karze ponad 1,4 mln zł nałożonej na firmę Masmal Dairy, która sprzedawała mieszankę tłuszczów roślinnych i mlecznych jako „Masło ekstra". Tymczasem nazwa masło jest prawnie zarezerwowana dla produktów w 100% z mleka. W konsekwencji skandalu z rynku zniknęły „Masło ekstra z Warlubia", „Masło extra", „Mało ekstra osełka" i „Amir", które okazały się wszystkim, tylko nie masłem.

W 2024 r. Polską wstrząsnęła informacja o rekordowej karze nałożonej przez Inspekcję Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych na firmę importującą zboże z Ukrainy. Przyszło jej zapłacić 1,5 mln zł za wprowadzenie na rynek ponad 3882 ton rzepaku technicznego jako konsumpcyjnego i ponad 7670 ton pszenicy paszowej jako konsumpcyjnej. Przekręt był podwójny – przy okazji jako kraj producencki wskazano Polskę, deklarując, że pszenica i rzepak pochodziły nie z Ukrainy,

eprasa.pl c473d62a4b

ale z żyznych mazowieckich i lubelskich pól.

W grudniu 2025 r. IJHARS w reakcji na sygnały konsumentów przeprowadziła kontrolę w 46 sklepach należących do sieci Lidl. Wykryto jeden przypadek umieszczenia logotypu „Produkt polski" na paczce wieprzowiny pochodzącej z Niemiec.

Był to odprysk poważniejszej sprawy – coraz częściej zdarzającego się oznaczania jako polskie tańszego mięsa wieprzowego sprowadzanego z Belgii, Holandii i Niemiec.

Nasze władze na razie wolą nie nadawać sprawie rozgłosu, dlatego w przypadku wykrycia nieprawidłowości urzędnicy mówią o „sklepach wielkopowierzchniowych" lub „dużych sieciach handlowych", unikając wskazywania konkretnych podmiotów. Nie ma czemu się dziwić – pogłowie trzody chlewnej w Polsce oscylowało w ostatnich latach w przedziale 9-10 mln, czyli było na poziomie z lat 50. XX w. Dla porównania, w latach 70. i 80., czyli w czasach gierkowskich i w stanie wojennym, hodowano w Polsce ok. 21-22 mln świń rocznie. A mięso było na kartki!

W ubiegłym roku wybuchł skandal, którego bohaterami byli duchowni i osoby związane z Kościołem Starokatolickim w RP. Okazało się, że żywność z unijnego programu „Fundusze Europejskie na Pomoc Żywnościową 2021-2027", którą ten Kościół miał za darmo rozdawać najuboższym, była na masową skalę sprzedawana w Polsce i za granicą, m.in. na Słowacji i w Gambii. Pikanterii sprawie dodawał fakt, że leżące na półkach sklepowych produkty były wyraźnie oznakowane jako „nieprzeznaczone do sprzedaży". Wielebnym przekazano 2,5 tys. ton żywności oraz środki na jej dystrybucję. Łączna wartość produktów i usług objętych umowami, które są przedmiotem śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Europejską i CBA, szacowana jest na 16-18 mln zł. Co najmniej sześciu osobom – w tym kilku duchownym – postawiono zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, oszustwa, fałszowania dokumentów oraz wyłudzenia środków z funduszy unijnych.

Globalny supermarket wjeżdża do Polski

Tym, co ostatnio budzi największe emocje wśród europejskich rolników – poza rosnącymi cenami benzyny i oleju napędowego – jest umowa handlowa Unii Europejskiej z krajami Mercosur – Brazylią, Argentyną, Paragwajem i Urugwajem. Negocjowano ją przez ponad dwie dekady. Porozumienie polityczne osiągnięto w grudniu 2024 r. w Montevideo. Formalnie podpisano dokument w styczniu 2026 r. w Asunción w Paragwaju, a już w lutym w fazę tymczasowej realizacji weszła część handlowa umowy. Mimo sprzeciwu kilku państw członkowskich, w tym Francji, Polski, Austrii, Irlandii i Węgier.

Coraz częściej odnotowuje się oznaczanie jako polskie tańszego mięsa wieprzowego sprowadzanego z Belgii, Holandii i Niemiec.

Jej zapisy są szczególnie groźne dla polskich producentów drobiu. Dziś nasz kraj jest europejskim liderem w produkcji mięsa drobiowego, ale wspomniana umowa otworzyła rynek dla 180 tys. ton mięsa, które państwa grupy Mercosur będą mogły bezcłowo sprzedać co roku w Unii. Opinię publiczną i rolników z państw zachodnich szczególnie niepokoją niskie normy dotyczące środków ochrony roślin, antybiotyków i dodatków paszowych, których stosowanie w państwach UE od dawna jest zabronione.

Spór ten idealnie wpisuje się w wieloletnią debatę o kontroli jakości żywności w Polsce, zaostrzoną przez kryzys związany z importowanym zbożem z Ukrainy. Dla europejskich rolników i konsumentów ważne jest zapewnienie równych warunków konkurencji i egzekwowanie identycznych standardów wobec produktów zarówno krajowych, jak i importowanych.

Doświadczenia te wzmacniają argumenty za uszczelnieniem kontroli granicznej, transparentnym systemem etykietowania informującym o kraju pochodzenia oraz stosowaniem tzw. klauzul lustrzanych, zobowiązujących importerów do spełniania norm identycznych lub równoważnych z unijnymi.

Dla sieci handlowych umowa z państwami grupy Mercosur oznacza dostęp do tańszych towarów, co może się przełożyć na niższe ceny na półkach – ale i większą presję na krajowych dostawców. Niższe ceny produktów dziś mogą zaś oznaczać mniej polskich gospodarstw jutro. Poza tym nasz system kontroli żywności jest niczym statek z wieloma kapitanami, płynący po wzburzonym morzu globalizacji. Rozproszone i niedofinansowane inspekcje nie mają siły przeciwstawić się potędze wielkich sieci handlowych ani zorganizowanym grupom przestępczym, dla których fałszowanie żywności to biznes jak każdy inny. Otwarcie polskiego rynku na import towarów produkowanych według niższych standardów będzie niszczyło rodzime gospodarstwa rolne.

Odbudowa zaufania konsumentów wymaga radykalnych i systemowych zmian. Po pierwsze, stworzenia silnej Państwowej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności, która zakończy chaos kompetencyjny. Po drugie, wprowadzenia odpowiedzialności karnej za fałszowanie żywności, tak by oszustwa przestały się opłacać. Po trzecie, uszczelnienia granic i wprowadzenia realnych mechanizmów weryfikacji standardów dla importowanej żywności – zarówno tej ze Wschodu, jak i z Ameryki Południowej.

Inaczej nadal będziemy karmieni kłamstwami. A na talerzach, zamiast bezpiecznej żywności, lądować będą cynizm, chciwość i kompromitacja instytucji państwowych.

Marek Czarkowski

eprasa.pl c473d62a4b



Z Galicji Jan Widacki

Wielki książę Grzegorz Braun

Konfederacja Korony Polskiej wybiera się do Wilna na organizowaną przez Związek Polaków na Litwie Paradę Polskości, która ma się odbyć 2 maja. W przeddzień w wileńskim Klasztorze Franciszkanów miało się jeszcze odbyć spotkanie z Grzegorzem Braunem. Miało, bo po interwencji władz duchownych franciszkanie wymówili Braunowi gościnę. Korona szuka więc innej sali na to wiekopomne wydarzenie. W końcu hasłem spotkania jest „Korona wspiera Polaków na Litwie".

Tego dnia od południa członkowie i sympatycy Konfederacji Korony Polskiej będą się zjeżdżać do Wilna, spacerować po Starym Mieście, posilać w licznych tam restauracjach, a później, już syci jadła, pomaszerują na wspomniane spotkanie z wodzem po strawę duchową. Na razie nie wiadomo, gdzie ono się odbędzie. Ubogaceni jego przebiegiem, udadzą się na spoczynek, by 2 maja od rana składać kwiaty na Cmentarzu na Rossie, skąd w grupkach przemieszczać się będą pod gmach litewskiego Sejmu, gdzie sformują pochód, który przejdzie ulicami Wilna aż pod Ostrą Bramę. Szczegółowy program imprezy dostępny jest na stronach internetowych Korony. Obawiam się jednak, że braunowcy mogą się w Wilnie pogubić, bo w programie wszystkie ulice noszą wyłącznie polskie, przedwojenne nazwy.

Parada Polskości odbywa się w Wilnie corocznie już od kilkunastu lat. W pewnym sensie nawiązuje do Parady Pułaskiego organizowanej w Nowym Jorku przez amerykańską Polonię. Jest to święto Polaków na Litwie. Z tym że oni w przeciwieństwie do Polonii amerykańskiej nie są imigrantami, tylko autochtonami. W samym Wilnie stanowią kilkanaście procent mieszkańców. W przyległych rejonach (powiatach) wileńskim i solecznickim są nawet większością.

Na Wileńszczyźnie działają szkoły z polskim językiem nauczania, w samym Wilnie są trzy polskie licea, działa filia Uniwersytetu w Białymstoku. Od ponad 30 lat nadaje w Wilnie polskie Radio Znad Wilii, a polskie instytucje społeczne i kulturalne liczone są w dziesiątkach. Polacy uczestniczą w życiu politycznym Litwy, są posłami na Sejm, zajmują wysokie stanowiska w administracji. Na przykład w obecnym rządzie ministrem spraw wewnętrznych jest Polak Władysław Kondratowicz, w poprzednim rządzie ministrem sprawiedliwości była Polka Ewelina Dobrowolska. Przez wiele lat funkcję wiceministra obrony piastował Polak Artur Płokszto.

Mają Polacy na Litwie prawo do swojego święta i mają prawo do swojej parady. Mają prawo pokazywać, że istnieją, że są obywatelami Litwy, ale równocześnie są Polakami. Mają prawo artykułować swoje postulaty do władz państwa litewskiego. Ale czego na tej paradzie szukają Grzegorz Braun i jego Konfederacja Korony Polskiej? Nawet tego nie kryją – jadą tam „wspierać Polaków na Litwie". W czym konkretnie wspierać? Znając poglądy Brauna i jego Korony, łatwo się domyślić. Nie wiem, na ile w awanturnictwo Brauna dadzą się wciągnąć litewscy Polacy. Na ile uda się Braunowi zrobić z Parady Polskości awanturę antylitewską. Na ile uda mu się swoją prorosyjskość sprzedać miejscowym Polakom, co przy aktualnym stanie nastrojów na Litwie jedynie pogłębi niechęć litewskiego społeczeństwa do nich. Na ile braunowe fobie, nastawienie antysemickie, antyeuropejskie, a już szczególnie antyniemieckie, zostaną odebrane jako typowe dla polskiej społeczności i jej przypisane.

Mają Polacy na Litwie prawo do swojego święta. Ale czego na ich paradzie szuka Braun i jego Konfederacja Korony Polskiej?

Wysiłkiem pokolenia, z udziałem wszystkich w zasadzie sił politycznych, Polska odzyskała suwerenność, stała się członkiem NATO i Unii Europejskiej. Miała przyjazne stosunki ze wszystkimi sąsiadami. I te osiągnięcia krok po kroku niszczy skrajna prawica. Mówi wprost o wyjściu z Unii Europejskiej, a na razie rozwala ją od środka, psuje jak tylko może i potrafi stosunki z Niemcami, z Ukrainą, a teraz jeszcze z Litwą. Pcha nas w objęcia Rosji! ■

Przegląd sklep.tygodnikprzeglad.pl ZAWSZE W ZASIĘGU RĘKI
KSIĄŻKI E-BOOKI PRENUMERATA SUBSKRYPCJA ZDANIE

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c473d62a4b

Dajcie ludziom mieszkać

Najem krótkoterminowy jest zmorą polskich miast. Mieszkania drożeją, mieszkańcy nie mogą spać, a rządzący boją się kategorycznych regulacji

Kornel Wawrzyniak

Polska jest dziś jednym z ostatnich państw Unii Europejskiej, które nie uregulowały najmu krótkoterminowego. Według szacunków rządowych obejmuje on już ok. 100 tys. mieszkań. I nic nie wskazuje, by ów trend miał wyhamować.

Brak przepisów otworzył drogę do nadużyć: lokale są masowo wykupywane pod biznes turystyczny, i to w budynkach, które nie są do tego przeznaczone. Konsekwencje ponoszą mieszkańcy – ofiary niekończącej się rotacji turystów. Nocne hałasy, niszczenie wspólnej przestrzeni i uciążliwe imprezy stały się ich codziennością. Życie w wielu kamienicach Krakowa, Warszawy czy Sopotu zostało podporządkowane interesom najmu krótkoterminowego, a państwo tylko biernie patrzy.

Polska – eldorado korporacji

W ciągu ostatniej dekady Airbnb wyrosło na jedną z największych alternatyw dla tradycyjnej bazy hotelowej. Platforma przyciągnęła użytkowników obietnicą niższych cen, większej swobody i czegoś, co firma nazywa „autentycznym doświadczeniem miasta". Miało to być szczególnie atrakcyjne dla rodzin, które potrzebują więcej niż jednego pokoju hotelowego. Miało też być taniej i wygodniej. Niestety, umasowienie najmu krótkoterminowego wpływa negatywnie na lokalne społeczności.

13 kwietnia przedstawiciele ruchów miejskich spotkali się z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz z Polski 2050, aby omówić projekt ustawy regulującej rynek najmu krótkoterminowego. 20 maja br. w całej Unii Europejskiej ma bowiem ruszyć obowiązkowy rejestr mieszkań, domów i pokoi wynajmowanych na krótki termin. To rozwiązanie, które Polska musi wdrożyć na mocy Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE 2024/1028 z 11 kwietnia 2024 r. Jest ono wymierzone w nieprawidłowości związane z funkcjonowaniem takich platform jak Airbnb i Booking.com.

W odpowiedzi na problem zamieniania mieszkań w parahotele politycy przygotowali dwie propozycje legislacyjne. Jedna pochodzi od Ministerstwa Sportu i Turystyki, drugą przygotowali posłowie.

„Kraków tonie w Airbnb. Stali mieszkańcy Kazimierza i okolic Rynku Głównego to ginący gatunek. Wystarczy jedno lub dwa mieszkania w budynku funkcjonujące jak hotele dla turystów, by uprzykrzyć życie całej wspólnocie. Przeanalizowaliśmy propozycje rządową i poselską i naszym zdaniem tylko projekt poselski oferuje realne narzędzia ochrony mieszkańców przed powodzią Airbnb. Wprowadza on dla wspólnot możliwość sprzeciwu dla wynajmu krótkoterminowego typu Airbnb, jeśli trwałby on dłużej niż trzy miesiące w roku, i oddaje duże kompetencje gminom. Projekt poselski zakłada też, że wspólnota może zwiększyć opłaty za lokal, w którym funkcjonuje najem krótkoterminowy (bo np. generuje znacznie więcej śmieci). Może też zupełnie nie zgodzić się na jego funkcjonowanie, np. w przypadku głośnych awantur", stwierdza w komunikacie prasowym stowarzyszenia Miasto Jest Nasze Maciej Fijak z Akcji Ratunkowej Dla Krakowa.

Polskie miasta, coraz boleśniej dotknięte niedostępnością mieszkań, pilnie potrzebują skutecznych narzędzi, by powstrzymać ekspansję rynku najmu krótkoterminowego. Po pierwsze, wypiera on stałych mieszkańców z centrów miast. Po drugie, wpływa na wzrost cen mieszkań, które są wykupywane pod najem.

Ostry kurs

W odpowiedzi na negatywne skutki najmu krótkoterminowego w miastach na całym świecie pojawiły się regulacje, które znacząco ograniczają, a niekiedy całkowicie eliminują ten proceder. Działania decydentów nad Wisłą wydają się na tym tle wyjątkowo opieszałe. „Musimy sobie jasno powiedzieć, że zamienianie lokalu mieszkalnego na de facto lokal usługowy poprzez wynajmowanie go na Airbnb, wpływa negatywnie na życie wszystkich mieszkańców budynku, a dziś nie mają oni nic do powiedzenia w tej sprawie. W Warszawie dużo mówi się o odpływie mieszkańców ze Śródmieścia, tymczasem pod względem planowania jest to idealna dzielnica do mieszkania – znajduje się tu wiele przedszkoli, szkół. Śródmieście jest doskonale skomunikowane. Cała ta infrastruktura marnuje się, bo to nie są usługi, których potrzebują w Warszawie

Kraków tonie w Airbnb. Stali mieszkańcy Kazimierza i okolic Rynku Głównego to ginący gatunek.

eprasa.pl c473d62a4b



„Mieszkania do mieszkania!" – Stowarzyszenie Miasto Jest Nasze protestowało przed Sejmem przeciw brakowi regulacji w sprawie Airbnb. Warszawa, 14 kwietnia 2026 r.

turyści. Wisienką na torcie jest oficjalna współpraca Warszawskiej Organizacji Turystycznej z Airbnb. Przypominam, że mówimy o organizacji, której program działań ustalany jest przez miasto. To pokazuje, że w Ratuszu panuje kompletna ignorancja w temacie Airbnb", podkreśla w cytowanym komunikacie prasowym Jan Mencwel z Miasto Jest Nasze.

Jednym z najbardziej wyrazistych przykładów destrukcyjnego wpływu najmu krótkoterminowego stała się Hiszpania. W regionach turystycznych znacząca część zasobów mieszkaniowych została przejęta przez podmioty traktujące Airbnb jako stały model biznesowy. To przełożyło się na gwałtowny wzrost cen najmu i pogłębienie problemów mieszkaniowych rodowitych mieszkańców.

Coraz więcej samorządów decyduje się na radykalne kroki wobec takich platform jak Airbnb. Ostry kurs obrała Barcelona: władze miasta zapowiedziały całkowite wygaszenie wynajmu krótkoterminowego do listopada 2028 r., licząc na powrót ok. 10 tys. mieszkań na rynek najmu długoterminowego. We Florencji miasto wstrzymało wydawanie nowych licencji na najem krótkoterminowy w historycznym centrum, aby przeciwdziałać pogłębiającemu się kryzysowi mieszkaniowemu. W Berlinie wynajem na krótki termin wymaga specjalnego zezwolenia, a nielegalna działalność może skutkować karami sięgającymi nawet pół miliona euro. Wiedeń od lipca 2024 r. wprowadził ograniczenie najmu krótkoterminowego do 90 dni rocznie w całym mieście.

Z najmem krótkoterminowym walczy się nawet w Malezji. Na wyspie Penang jest on możliwy tylko w zarejestrowanych lokalach i ograniczony do trzech dni (w ramach jednej rezerwacji), by zmniejszyć presję turystyczną na lokalny rynek mieszkaniowy. W Amsterdamie wynajem krótkoterminowy to maksymalnie 30 nocy w roku. W części dzielnic obowiązują jednak całkowite zakazy. W Montrealu przepisy zaostrzono po pożarze z marca 2023 r. W apartamencie wynajętym przez serwis Airbnb zginęło siedem osób. Obecnie każda oferta musi posiadać odpowiednie zezwolenie. Platformy oferujące najem ponoszą zaś współodpowiedzialność za naruszenia.

I nie myślcie, że amerykańska korporacja, jaką jest Airbnb, ma we własnym kraju pełną swobodę (jak dzieje się to w Polsce). W każdym stanie, a czasem nawet w różnych miastach, obowiązują odmienne przepisy, lecz widać, że Amerykanie również nie przepadają za najmem krótkoterminowym.

W Nowym Jorku już od września 2023 r. obowiązują regulacje, które niemal go wyeliminowały. Pobyt krótszy niż 30 dni jest tam możliwy wyłącznie w obecności gospodarza i maksymalnie dla dwóch gości. W Santa Monica dopuszczalne jest jedynie tzw. współdzielenie domu. Oznacza to, że gospodarz musi przebywać w lokalu razem z gośćmi. Wynajem całych mieszkań bez obecności właściciela jest zakazany. Także w Las Vegas dozwolony jest wynajem wyłącznie wtedy, kiedy w domu obecny jest właściciel. Dodatkowo wymagane są licencje, ubezpieczenie oraz ścisłe przestrzeganie ograniczenia liczby gości. Gospodarze Airbnb w Los Angeles mogą wynajmować swoje mieszkania maksymalnie na 120 nocy w roku, a za każdy dzień ponad limit naliczane są kary.

San Francisco, które ma bardzo restrykcyjne przepisy, uregulowało działanie Airbnb jako jedno z pierwszych miast w USA. Gospodarz musi zarejestrować działalność i dostać pozwolenie. Wystawić swoją ofertę mogą jednak tylko te osoby, które mieszkają w danym miejscu co najmniej 275 dni w roku. Gospodarz

FOT. ŁUKASZ WÓJCIK/REPORTER

eprasa.pl c473d62a4b

może wynająć wolny pokój na nieograniczoną liczbę nocy, o ile przebywa w obiekcie. Wynajęcie całego lokalu podczas jego nieobecności jest możliwe maksymalnie przez 90 dni w roku.

Politycy deliberują

15 kwietnia projekt Polski 2050 był po raz pierwszy czytany w Sejmie i wywołał małą burzę. Podzielili się nawet politycy koalicji rządzącej.

„Rynek najmu krótkoterminowego trzeba uregulować, ale ta ustawa jest przeregulowana. Oznacza ona, że regulowanie rynku przenosimy z poziomu państwa i samorządu na poziom relacji sąsiedzkich, które bywają trudne, emocjonalne i konfliktowe. Zamiast jasnych, klarownych zasad, które obowiązują wszystkich, projekt wprowadza regulacje, które pozwolą decydować o najmie krótkoterminowym na poziomie konkretnych wspólnot (mieszkaniowych)”, mówił w Sejmie Ryszard Petru.

Tu jeszcze jeden cytat z komunikatu prasowego ruchów miejskich, opinia Jakuba Janasa z wrocławskiego ruchu Akcja Miasto: „Takie miasta jak Barcelona, Amsterdam czy Berlin wprowadziły regulacje dla Airbnb już dawno temu, każde na swój sposób. Jest dla nas ważne, aby polskie miasta również miały możliwość wyboru rozwiązań. Rządowy projekt obdarza tą kompetencją marszałka województwa, co dla ruchów miejskich jest nieakceptowalne. Zostało to dużo lepiej przemyślane w projekcie poselskim. Rady miast mogą według tego projektu np. wprowadzić całkowity zakaz dla najmu krótkoterminowego na danym obszarze, ustalić minimalny metraż na osobę czy wprowadzić dodatkowe przepisy związane z bezpieczeństwem pożarowym”.

Marek Wesoły z PiS twierdzi tymczasem, że nie można ograniczać wolnego rynku, a jak sąsiadom jest za głośno, to trzeba wezwać policję. Ktoś powinien chyba pójść pod okna pana posła i zrobić solidną imprezę. Wówczas pan poseł będzie miał okazję sprawdzić, jak policja walczy z nocnym hałasem.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Kierunek na niezależność

Aby zerwać się ze smyczy amerykańskich gigantów cyfrowych, warto przejść na niezależny system operacyjny

Kornel Wawrzyniak

Tworząc zestaw sprzętowy niezależny od big techów, można się poczuć jak cyfrowy rebeliant. Przesiadka na pojedyncze usługi dostarczane przez europejskie firmy to jedno. Ale zmiana całego systemu operacyjnego? To już brzmi abstrakcyjnie. W praktyce jednak okazuje się bardzo proste. Największą przeszkodą nie jest wcale brak alternatywnych rozwiązań. W publikacjach z poprzednich dwóch tygodni ustaliliśmy już, że dla każdej amerykańskiej usługi znajdziemy kilka europejskich zamienników. Największą przeszkodą jesteśmy my sami – nasze nawyki i wygodnictwo.

Komputer najbardziej osobisty

W tym tygodniu postanowiliśmy pokazać, że można wyjść poza systemy dostarczane przez amerykańskie korporacje. To trudne ze względu na nasze przyzwyczajenia. Myśląc o komputerze, myślimy o systemie Windows, niektórzy alternatywę widzą w sprzęcie z nadgryzionym jabłkiem w logo. Tymczasem do zerwania się ze smyczy gigantów wystarczy pendrive i nasz dotychczasowy komputer. Na początku wyjaśnijmy jednak, skąd bierze się tak silnie ugruntowane przekonanie, że nie ma życia poza dwoma amerykańskimi systemami od Apple'a i Microsoftu.

Ze statystyk portalu StatCounter wynika, że udział rodziny systemów Windows w polskim rynku wynosi ok. 81%. W całej Europie różne odsłony Windowsa znaleźć można na niemal 70% komputerów. Dużym graczem jest też system macOS firmy Apple. W Polsce udział komputerów z tym systemem to ok. 15-16% rynku. W Europie ta wartość również jest bliska 16%. Produkty Apple'a jawią się wielu użytkownikom jako ta „cool” alternatywa dla komputerów opartych na systemie Windows. Ale to tylko wrażenie, zbudowane przez lata sprytnego marketingu firmy – przypomnijmy sobie reklamę odwołującą się do „Roku 1984” Orwella.

Apple należy do ścisłej czołówki amerykańskich big techów. Pierwszą piątkę najwyżej wycenianych firm technologicznych w marcu 2026 r. stanowiły: NVIDIA (ok. 4,45 bln dol.), Apple (ok. 3,85 bln dol.), Alphabet (właściciel Google'a, ok. 3,7 bln dol.), Microsoft (ok. 2,99 bln dol.) oraz Amazon (ok. 2,25 bln dol.). Narzędzia Apple'a mają tę wadę, że tworzą hermetyczny ekosystem. Przeciwnicy firmy mówią, że to dobrowolne zamknięcie się w rezerwacie.

System Microsoftu króluje na rynku komputerów osobistych od lat. Jego pozycja jest niezachwiana bynajmniej nie ze względu na niezawodność. W latach 90. Windows zyskał popularność dzięki swojej otwartości – można było go zainstalować praktycznie na każdym komputerze. Decydującym czynnikiem był jednak pakiet Microsoft Office. W biurach na całym świecie szybko stał się standardem. Firmy masowo wdrażały Windowsa właśnie dlatego,

eprasa.pl c473d62a4b



że pracownicy znali już takie narzędzia jak Word, Excel i PowerPoint. A skoro cały ekosystem był popularny na rynku pracy i coraz powszechniejszy w domach, to także szkoły zaczęły go traktować jako standard. Dziś większość użytkowników nie wyobraża sobie alternatywy, bo Windows jest wszędzie, a tzw. niebieskie ekrany śmierci (BSOD – Blue Screen of Death – komunikat o krytycznym błędzie systemu Windows, który wymusza restart komputera – przyp. red.) stały się wręcz elementem kulturowym.

Jak więc uciec przed hegemonią big techów, korzystając z komputera osobistego? Jedyną drogą jest dość niszowy wśród użytkowników Linux. To rodzina systemów operacyjnych tworzona od 1991 r. Większości przeciętnych użytkowników ta nazwa mówi niewiele. Według danych z początku 2026 r. Linux zyskał rekordowe wyniki popularności, osiągając… ok. 4% udziału w rynku komputerów osobistych. Jednocześnie jest to system popularny na rynku serwerów. Korzysta z niego także wielu zawodowców z branży IT. Co wcale nie oznacza, że jest stworzony wyłącznie dla profesjonalistów.

Wersji systemu z sympatycznym pingwinkiem w logo mamy bez liku. Kilka jest przeznaczonych dla komputerowych laików, a wygląd tych platform sprawia, że można się przesiąść na zamiennik wyglądający bardzo podobnie do systemu, z którego korzystamy obecnie – niezależnie od tego, czy mówimy o Windowsie, czy o macOS.

Do naszego rebelianckiego eksperymentu bycia poza głównymi systemami wybrałem popularną wersję Linux Mint Cinnamon Edition. Interfejs graficzny zaprojektowany jest tak, żeby każdy użytkownik Windowsa poczuł się jak w znajomym miejscu. Ta wersja powstała z myślą o użytkownikach, którzy wcześniej nie korzystali z Linuksa. Cinnamon Edition ma też tę zaletę, że od razu zawiera LibreOffice, czyli darmową alternatywę dla microsoftowego pakietu biurowych narzędzi Office.

Linux ma tyle odmian, że każdy znajdzie w nim coś dla siebie. Jest kilka darmowych, które możemy bez problemu pobrać z internetu. Są również wersje płatne, chociaż w porównaniu z cenami Windowsa (ok. 600-1000 zł) kwoty są raczej symboliczne.

Bardzo dobrą opcją dla osób, które oczekują właściwie bezobsługowego działania może być Zorin OS. Koszt najwyższej wersji to ok. 180-200 zł. Można w niej wybrać interfejsy graficzne dla systemu, które wyglądem będą do złudzenia przypominać Windowsa lub macOS. Ale Zorin ma także okrojoną darmową wersję, która i tak wystarczy większości użytkowników.

Zaletą najpopularniejszych i często darmowych wersji Linuksa, takich jak Mint czy Ubuntu, jest fakt, że nawet jeśli w tych systemach operacyjnych coś nam nie zadziała (podobnie jak potrafi nie działać na Windowsie czy macOS), to w sieci bez problemu znajdziemy odpowiedź na dręczące nas pytanie. Prawdopodobnie nawet szybciej niż w przypadku produktów pochodzących od gigantów technologicznych, ponieważ społeczność zbudowana wokół Linuksa jest bardzo oddana swojej sprawie.

Wiedźmin na tym pójdzie?

Część osób wytknie, że Linux nie ma oprogramowania dla pracowników branży kreatywnej. Nie da się zaprzeczyć, że jest to problem. Jednak przeciętny użytkownik stawiający na prywatność i niezależność przesiądzie się na ten system bez bólu. Mogą się na to zdecydować także wszyscy, którzy zechcą mieć tzw. bezpieczny komputer do prywatnego użytku.

Poleasingowy laptop z niezłymi parametrami dla typowego przeglądacza internetu to koszt od 800 zł do 1,5 tys. Dlaczego kupować sprzęt używany? To kolejny element cyfrowej rebelii. Giganci na „używce" nie zarobią. Dodatkowo przedłużanie życia urządzeniom elektronicznym to zawsze jakaś forma dbania

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c473d62a4b

o środowisko. Linux jest systemem lekkim, na którym starszy komputer i tak pożyje ładnych parę lat.

Dla wybrednych pozostaje nowy komputer lub autorska konfiguracja, jeśli mowa o jednostce stacjonarnej. Niezależnie od tego, czy weźmiemy nowy, czy używany, komputer bez systemu będzie tańszy niż z zainstalowanym Windowsem. Można rozważyć, czy jako cyfrowi rebelianci chcemy inwestować w sprzęt od amerykańskiej korporacji. Być może postawienie na innych producentów zaoszczędzi nam ewentualnych kłopotów np. w sytuacji, gdyby Donald Trump postanowił jednak odłączyć Europejczykom wtyczkę od usług cyfrowych. Nigdy nie wiadomo, jak daleko może iść ingerencja w działanie sprzętu, który nie funkcjonuje na zasadach ustalanych na kanwie europejskiego prawa. Jak to mówią, lepiej dmuchać na zimne, niż później nie czuć smaku ulubionej zupy.

Komputer to często również sprzęt do gier. Fani takiej rozrywki mogą mieć wątpliwości, czy Linux sobie poradzi. Okazuje się, że system z pingwinem jako zamiennik Windowsa i tu radzi sobie bardzo dobrze. Jest kilka wersji Linuksa zaprojektowanych specjalnie pod gry. Mowa tu o Bazzite (najprostszy do oswojenia), CachyOS, Nobara Project, Pop!_OS czy Manjaro. Te dwa ostatnie konfigurują automatycznie karty graficzne firmy NVIDIA, która dominuje na rynku procesorów graficznych.

Główne platformy do grania, takie jak Steam, działają z Linuksem bez mrugnięcia okiem. Gracze mogą mieć pewność, że przenosząc się na ten system, odpalą swoje ulubione tytuły. Warto jednak pamiętać, że Steam to kolejna amerykańska firma. Gry kupione na platformie działają na podstawie DRM (Digital Rights Management – Cyfrowe Zarządzanie Prawami). Opiera się to na zasadzie licencji – użytkownik nie kupuje produktu na własność, lecz nabywa ograniczoną licencję na korzystanie. Oznacza to, że wydawca decyduje o warunkach korzystania z zakupionego materiału, np. ogranicza działanie gry do jednego konta. Jedynym popularnym dystrybutorem, który nie używa DRM, jest serwis GOG (dawniej Good Old Games). Platformę stworzyła w 2008 r. rodzima ekipa z CD Projekt. Obecnie GOG należy w 100% do współzałożyciela CD Projekt, Michała Kicińskiego.

Komórka

Czytelnicy mogą się zastanawiać: no dobrze, mądralo, to z czego korzystasz, skoro tak nas zachęcasz do przesiadki z dobrze nam znanych systemów? Odpowiadam więc: sprawdziłem wszystko na własnej skórze. Zainstalowałem jedną z prostszych w obsłudze wersji Linuksa, czyli Mint Cinnamon. Tekst, który teraz czytacie, napisałem w programie Apostrophe, który musiał mi zastąpić używanego na Macu Ulyssesa. Jeśli chodzi o komputer, to wyciągnąłem z czeluści redakcyjnych szuflad zasłużonego weterana – laptopa z serii ThinkPad. Dlaczego ten model? Powód jest prozaiczny. Mam słabość do klawiatur w tych komputerach, a ich moc obliczeniowa wystarcza do prowadzenia researchu. Poszło nad wyraz gładko. Gdzie jest więc haczyk? Problemem nie jest obecnie zmiana komputera (która najczęściej ogranicza się do wgrania niezależnego od big techów systemu), ale wymiana smartfona.

Jeśli chodzi o rynek smartfonów, to od lat działa na nim duopol systemów od Google'a i Apple'a. Android posiada ok. 70% całego rynku, iOS funkcjonuje z udziałem na poziomie 29%. A to oznacza, że wszystkie możliwe alternatywy mieszczą się dosłownie w 1% rynku. Dlatego znalezienie telefonu, który byłby w pełni niezależny od Google'a i Apple'a wydaje się absolutnie niemożliwe. Okazuje się jednak, że jest kilka opcji. Szczególnie jeśli nad chęć posiadania najnowszego gadżetu przedłożymy prywatność danych.

Najgłośniejszy, o ile można tak powiedzieć o niszowym produkcie, jest Jolla Phone. Reklamowany przez twórców jako europejski telefon „Do It Together", pracuje na Linuksie (Sailfish OS). Jest sprytnie pomyślany, ponieważ działają na nim aplikacje z Androida. Równocześnie jest wolny od wszystkiego, co związane z firmą Google. Są dwa modele: Jolla C2 w cenie 349 euro oraz Jolla Phone, którego wysyłka ruszy we wrześniu 2026 r. Na razie są na niego zapisy z zaliczką 99 euro. Finalna cena wyniesie 649 euro.

Inną opcją jest zamiana systemu operacyjnego w telefonie z Androidem. Tutaj pojawia się jednak problem, bo różne systemy współpracują zazwyczaj tylko z kilkoma konkretnymi urządzeniami. Jednym z takich systemów jest GrapheneOS. Daje kompatybilność z aplikacjami Androida, ale bez google'owskiego śledzenia. Jest projektem non profit z otwartym kodem źródłowym. System nawet na etapie przeglądania internetu we wbudowanej przeglądarce stara się chronić prywatność użytkowników. Paradoksem jest to, że GrapheneOS działa właściwie wyłącznie na produkowanych przez Google'a telefonach Pixel. Wymiana systemu robi jednak ogromną robotę w kwestiach bezpieczeństwa. Koszt? System jest darmowy. Używany Pixel 8a kosztuje ok. 1 tys. zł. Nowy – ok. 2 tys. zł.

Większe możliwości podmiany systemu daje LineageOS, na którego liście urządzeń wspierających znajdziemy starsze Samsungi, Motorole, LG, Pixele czy słuchawki od OnePlus, modnego ostatnio Nothing Phone'a, a nawet popularne w Polsce Xiaomi. Lista tych modeli jest jednak ograniczona. Twórcy systemu chwalą się, że użytkownik jest zawsze i bardzo dokładnie informowany, w jaki sposób udostępnia

Jak uciec przed hegemonią big techów, korzystając z komputera osobistego? Jedyną drogą jest dość niszowy system Linux.

eprasa.pl c473d62a4b

się jego dane. Warto zauważyć, że smartfony, chociaż można je potraktować jak bardzo małe komputery, sprawiają bardzo dużo problemów, kiedy chcemy zmienić używany w nich system. Wynika to z polityki producentów, którzy zapewniają swoim urządzeniom ograniczony czas wsparcia, tak aby zarabiać na nowych modelach. Koszt takiej podmiany? Jeśli masz telefon z listy, to 0 zł. I najwyżej trochę nerwów przy instalacji systemu.

Główną przeszkodą przy ewentualnej wymianie telefonu na alternatywny jest rzecz bardzo prozaiczna. Takich smarfonów jak Jolla, Librem czy PinePhone nie znajdziemy w ofercie sieci komórkowych, a tu zakup od zawsze pozwalał na rozłożenie kosztów telefonu na raty doliczane do miesięcznego abonamentu. Trudno też szukać wspomnianych modeli w sklepie z elektroniką. Jedyną opcją pozostaje zakup za gotówkę, co znacząco podnosi jednorazowy koszt takiej przesiadki. To jednak wcale nie musi być aż tak dużym problemem. Według badania Kantar zleconego przez portal Swappie 53% ankietowanych kupiło w 2022 r. telefon właśnie za gotówkę. Co czwarty Polak kupuje zaś telefon w abonamencie u operatora. Tylko 9% osób odpowiedziało, że kupiło telefon na raty, ale bez abonamentu.

Kiedy wygramy?

Kluczem do cyfrowej suwerenności jest porzucenie przyzwyczajeń. Chodzi nie tylko o pojedynczych użytkowników, ale również o zmianę rozwiązań instytucjonalnych. W kontekście niestabilności geopolitycznej Europa chce się pozbyć systemów od Microsoftu.

Pierwsze kroki w tym kierunku zaczęła stawiać już Francja. Rząd w Paryżu ogłosił w kwietniu, że część komputerów administracji publicznej przesiada się na Linuksa. Francuska żandarmeria pracuje na tym systemie od lat. Podobnie część hiszpańskich regionów, jak również cała – choć to akurat nie przykład z Europy – administracja brazylijska. Wyobraźmy sobie, ile mogłyby zaoszczędzić wszystkie instytucje publiczne korzystające z darmowego otwartego oprogramowania.

Uwolnienie się od amerykańskiej infrastruktury cyfrowej daje pewność, że Europa nie stanie się zakładnikiem polityki innego państwa. Przypomnijmy reakcję Donalda Trumpa na działania Międzynarodowego Trybunału Karnego. Nałożone na instytucję sankcje poważnie utrudniły jej działalność. Członkom MTK zamrożono aktywa, które posiadali w USA. Zakazano im też wjazdu do Ameryki Północnej. Oznacza to, że każdy kraj uznany za nieprawomyślny może zostać przez Trumpa odcięty od wszystkiego, co amerykańskie, w tym od technologii.

Mamy tu, na Starym Kontynencie, narzędzia, aby zacząć się odłączać od amerykańskich wpływów technologicznych. Musimy jednak wszyscy trochę się wysilić.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl c473d62a4b

Samosioły z zony

Niech tam będzie niebezpiecznie, ale przynajmniej umrę pod swoim kawałkiem nieba – mówili ludzie z Czarnobylskiej Strefy Wykluczenia

Krystian Machnik

W nocy z 25 na 26 kwietnia 1986 r. Wasyl Antipowicz Ławrienko wybrał się na ryby ze swoim przyjacielem, strażakiem. Kiedy je łowili, nagle zobaczyli błysk, potem drugi, jakby coś wybuchło w elektrowni jądrowej. Zaraz po tym usłyszeli huk. W linii prostej od obiektu dzieliło ich 10 km, więc szczegółów nie widzieli, a żadnego alarmu wciąż nie było słychać. Ot, huknęło coś i wróciła nocna cisza. Jeszcze nie rozumieli, co się stało.

– Wróciliśmy do łowienia – powie mi Wasyl wiele lat później. – Jechało potem dużo zastępów straży pożarnej na sygnale, ale wciąż nie spodziewaliśmy się, że wydarzyło się coś naprawdę groźnego. To był duży zakład; co chwilę coś się tam działo. Nałapaliśmy ryb, połów okazał się całkiem zadowalający. Po chwili przybiegł ktoś po mojego kumpla strażaka. Niemal tuż po wyjściu z jeziora włożył mundur i pojechał na akcję do elektrowni.

Minęło dobrych kilka dni, zanim Wasyl dowiedział się, że nie chodziło o ćwiczenia. Że jego życie razem z tymi dwoma wybuchami właśnie wywróciło się o 180 stopni i nigdy już nie będzie takie samo. Że będzie musiał opuścić na kilka lat swój własny dom i że potem będzie do niego wracał nielegalnie – a wszystko to przez te dwa z pozoru niewinne wybuchy.

Wasyl jest dziś jednym z samosiołów – i jedną z najbliższych mi osób na terenie zony. (…)

•

Ewakuację wiosek wokół Czarnobyla rozpoczęto w maju 1986 r. – ale równolegle z nią zaczęły się pierwsze powroty. I pojawiło się słowo, które normalnie oznacza zboże rozsiewające się bez kontroli i udziału człowieka: samosioł. Właśnie tak bardzo szybko zaczęto nazywać wracających do zony. Byli to bardzo dzielni ludzie, te pierwsze samosioły. Żeby wrócić do swoich wiosek, musieli iść przez lasy i bagna. Zazwyczaj szli na piechotę, forsując ogrodzenia, nieraz ze zwierzętami na postronku. Olga Juszczenko, jak wielokrotnie mi opowiadała, by wrócić do Łubianki, przełaziła przez jakieś mokradła i przez druty kolczaste; pokonywała po dwadzieścia kilka kilometrów sama przez las. I tak po wielokroć. W dodatku razem ze swoją krową żywicielką.

Ewakuację wiosek wokół Czarnobyla rozpoczęto w maju 1986 r. – ale równolegle z nią zaczęły się pierwsze powroty.

Potem do chatki Olgi przyjeżdżała milicja, żeby ją wyrzucić, ona płakała, ale cóż było robić – z władzą nie wygrasz, a przynajmniej nie na krótką metę. Jednak gdy tylko radzieccy milicjanci tracili ją z oczu, Olga wracała. Aż pewnego razu już nie przyjechali – upór babuszki ich przekonał. Nie było sensu tracić czasu i energii na użeranie się ze starszą kobietą. Niech sobie żyje w tej upadłej wsi, skoro już musi. A że nie zapowiada się, że to będzie długie życie? To już jej problem.

Dziadek Iwan Kuzmicz Rajenok zadanie miał ułatwione, bowiem mieszkał w wiosce Teremci, która leży nad Dnieprem. Rzeka wyznaczała granicę strefy zamkniętej, dlatego wystarczyło pod osłoną nocy przepłynąć ją łódką, żeby już być w domu.

W 1986 roku z okolic Czarnobyla, z tak zwanej strefy zamkniętej, ewakuowano 165 tys. ludzi. W ciągu pierwszego roku po katastrofie wróciło od 1,6 tys. do 3 tys. z nich. Dane są rozbieżne, bo nikt nie miał nad tym kontroli.

•

Z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę powiedzieć, że pierwszą samosiołką była babuszka Hania Iwanowna Czała – silna, niezależna kobieta, również z Teremci. A mówię to z taką pewnością dlatego, że Hania, kiedy ewakuowano jej wieś, nawet nie dotarła do miejsca, dokąd ją wieziono razem z innymi mieszkańcami, tylko prysnęła po drodze z autobusu. Uciekła prosto do swojego malowniczego, drewnianego domku.

Zawsze, jak podkreślała i ona, i jej sąsiedzi, była bardzo niezależna. Dość szybko do wioski docierali kolejni. Hania opowiadała mi, jak na znak, że zbliża się milicja, mieszkańcy zamykali się w domach na kłódkę i udawali, że ich nie ma, lub chowali się w lesie, za wioską. Funkcjonariusze szybko zrozumieli, że przy takim uporze miejscowych nic nie wskórają – będą tracić czas, żeby się z nimi ganiać po lasach, a ci i tak wrócą. Samosiołów od początku było za dużo, żeby wszystkich aresztować za niesubordynację – albo chociaż skutecznie przepędzić.

Hania Czała przyszła na świat w czasie II wojny światowej, na wschodzie zwanej wielką wojną ojczyźnianą. W tym czasie Niemcy spalili jej wioskę, która leżała nieopodal miejsca, gdzie przeprawiali się przez Dniepr, więc lata wojenne były

eprasa.pl c473d62a4b



97. urodziny samosiołki babuszki Marii Uljanownej Czały (nz. z autorem reportażu Krystianem Machnikiem).

traumatyczne dla wszystkich mieszkańców tej miejscowości.

Ale ciężkie czasy nie minęły z końcem wojny. Położona urokliwie, ale pośrodku niczego wioska znajdowała się na marginesie zainteresowań każdej władzy. Teremci długo nie mogło stanąć na nogi, odbudowywało się bardzo wolno. Zamiast sanek i zabaw na śniegu Hanna zapamiętała zimy spędzane w ziemiance, która przez pierwsze lata jej życia zastępowała spalony dom. (…)

W latach 50. życie nabrało jakichś pozorów normalności, a rodzina Hani miała już dom. Niedługo potem kobieta wyszła za mąż i urodziła dzieci. A jeszcze później przyszła katastrofa w postaci awarii w pobliskiej elektrowni. Całkowicie przeorało to życie mieszkańców wsi – dokładnie tak, jak 40 lat wcześniej niemieckie wojsko, a może nawet bardziej, bo po przejściu Niemców w Teremci dało się jednak mieszkać.

Niestety, nie była to ostatnia katastrofa w życiu babuszki Hani Czały. Kilka lat później zmarł jej mąż. Syn został zabity przez własną żonę w bardzo okrutny sposób – uderzeniem siekiery w szyję.

– Pora już umierać. W moim życiu nigdy nie było niczego dobrego.

Życie nie oszczędzało babuszki Hani; stała się więc jedną z tych starszych pań, które wiele razy powtarzały, że chcą już umrzeć – nie widziała nic, co sugerowałoby jakiekolwiek zmiany na lepsze. Kiedyś powiedziałem jej, żeby się nie martwiła, bo sprawy się jakoś ułożą. Spojrzała na mnie jak na szalonego.

– Krystian – powiedziała – co się ułoży? Jestem coraz starsza, mam coraz mniej siły. Jestem sama w niemal całkiem opuszczonej wsi. Co się może jeszcze w moim życiu ułożyć? (…)

Kiedy po raz pierwszy przyjechaliśmy do niej z pomocą, a było to w roku 2017, zadaliśmy jej głupie pytanie, czy inni turyści, tacy jak my, ją odwiedzają.

– Turyści to jeżdżą do Wasyla, nie do mnie – odparła od razu. I dobrze wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Wasyl, również mieszkaniec Teremci, miał gadane, a także lekką rękę do nalewania trunków. Był towarzyski jak diabli. Hania czuła się tak zmęczona życiem, że nie znajdowała w sobie siły na żadną z tych rzeczy.

Z Wasylem też wiąże się wiele ciekawych historii: on lubił gadać, ale nie o przeszłości, choć bez wątpienia wiele widział. Kiedy tylko jego żony nie było w okolicy, język od razu mu się wyostrzał. Lubił zakląć. Lubił się pośmiać i zaprosić nawet po 30 osób do swojego domu na zakrapianą imprezę.

Zdarzało się to dość rzadko – rzadko przecież przyjezdni w ogóle trafiali do samosiołów. W pierwszych latach mojej działalności prawie w ogóle do nich nie jeździli. Wszyscy tylko Prypeć i elektrownia. (…)

•

Spędzaliśmy z miejscowymi już na tyle dużo czasu, przyglądając się przy okazji ich życiu i przysłuchując ich rozmowom, że zaczęliśmy powoli orientować się w panujących w wioskach stosunkach. I tu zauważyłem coś ciekawego: o Hani Czale, pierwszej samosiołce, inne babuszki z Teremci wypowiadały się dość powściągliwie, choć z niemożliwą do ukrycia niechęcią. Ona nie rozmawiała z nimi, one nie miały do czynienia z nią. W ostatnich latach jedynie Halina, córka mieszkającej niedaleko babuszki Tatiany, i Wasyl co jakiś czas wpadali do jej chatki z jakimiś produktami, wodą ze studni lub żeby jej narąbać drewna – sama nie była już w stanie. Ale bywało, że przez długie miesiące nikt do niej nie zaglądał.

W 1986 r. z okolic Czarnobyla, z tzw. strefy zamkniętej, wysiedlono 165 tys. ludzi.

Nie wiem, co takiego zrobiła Hania innym babciom, że została objęta cichą, wioskową anatemą. Może chodziło po prostu o jej lekko zadziorne, niespokojne usposobienie? Może czymś się naraziła? A może – jak to bywa w wiosce – nikt już tego nie pamiętał, ale dawna zadra została w ludziach i żyła swoim życiem? Podobno za młodu Hanna miała trudny charakter, ale kiedy to było? Pół wieku temu? Przez 30 lat samotności, która wdarła się do życia kobiety po odejściu męża i po śmierci syna, po cichu zakradała się też do niej depresja. I to taki rodzaj depresji, o jakiej żadne z nas nie ma pojęcia – podszyta osamotnieniem, zaprawiona niczym żółcią wielokrotnie

eprasa.pl c473d62a4b

powtarzaną przez Hanię myślą, że życie jej się nie udało.

Że jej życie to pasmo ciągłych katastrof: wojna, awaria, ewakuacja, śmierć męża, pogarszające się zdrowie psychiczne i fizyczne. A na koniec kolejna wojna. W tych wspomnieniach Hani towarzyszyły zawsze jej wiekowy kot i pies, z którymi mieszkała w Teremci – jedyne stałe punkty w jej życiu. Podczas każdego z wyjazdów nalegałem, żeby odwiedzić właśnie jej chatkę, bo wiedziałem, że jeśli my nie przyjedziemy, to nie przyjedzie też nikt inny.

Zjawiliśmy się któregoś razu sporą grupą, w domu zrobił się gwar. Hania może nie była gadatliwa, ale to nie oznaczało, że nie lubiła gości. Jeśli ktoś ją o coś zapytał, zawsze chętnie odpowiadała; obecność drugiego człowieka sprawiała jej przyjemność. (…)

Obok zawsze leżały też książki i okulary; z braku innych zajęć kobieta czytała po kilka razy te same tytuły. W końcu zacząłem jej przywozić kupione w Iwankowie lokalne gazety. Czytała zatem książki i gazety, a u jej boku mruczał kot. (…)

Któregoś razu Hania przewróciła się w chacie, przez wiele godzin leżała, nie mogąc się podnieść. Uratowało ją przyjście Wasyla – zupełnie przypadkiem wpadł akurat tego dnia. Gdyby zajrzał do niej kilka dni później, mógłby zastać trupa.

Kilka razy wypadek się powtórzył, aż zabrano ją do szpitala w Iwankowie. Tam przeleżała dwa tygodnie. A potem – zniknęła nam z radaru. Było to dla mnie duże zmartwienie. Bardzo ją polubiłem, więc chciałem wiedzieć, co się stało. (…) Pytałem i ludzi w jej wiosce, i ludzi w administracji, ale bardzo długo nikt nie wiedział, co się stało z Hanią Czałą i gdzie może być. (…)

•

Dlaczego ludzie wracali do swoich domów? Dodajmy – domów, które często położone były na jakimś zupełnym wygwizdowie, z dala od wszystkiego i często zapadały się już wtedy ze starości. Co ich pchało, żeby po raz wtóry i jeszcze kolejny przełazić przez płoty, awanturować się z milicją i z godnym podziwu uporem powtarzać, że chce się umrzeć tam, gdzie się urodziło? Powodów, dla których ludzie wracali do swoich wiosek, było mnóstwo. Tak naprawdę było ich tyle, ile powracających tam osób. Ale oczywiście można wśród nich znaleźć kilka najważniejszych, powtarzających się najczęściej.



Kopuła nad czwartym reaktorem w Czarnobylu.

Powrót ludzi do zony trwa – oczywiście na dużo mniejszą skalę – nieprzerwanie właściwie do dziś.

Kiedy pytałem o to bezpośrednio samosioły, najczęściej tłumaczyły z prostotą, że to ich ojcowizna, a swojej ziemi się nie opuszcza. Najbardziej typowa historia to oczywiście: „Tu się urodziłam(-łem) i tu umrę". Ludzi wywożono do różnych miejsc, ale w żadnym nie traktowano ich zbyt dobrze. Początkowe współczucie i chęć pomocy szybko zastępował strach przed nieznanym. Wszyscy w całym Związku Radzieckim wiedzieli, co się wydarzyło w Czarnobylu. I obawiano się, że ewakuowani rozniosą skażenie, a razem z nim – choroby i śmierć.

W nowych miejscach ludzie często nie chcieli mieć kontaktu z przesiedlonymi. Tymi skażonymi. Bali się ich. Dochodziło do wielu przykrych sytuacji. Jedna pani opowiadała mi, jak poszła z dzieckiem na plac zabaw. I nagle, gdy tylko się tam zjawili, inny rodzic zawołał swoje dzieci tekstem: „Nie baw się z nimi. Są z Czarnobyla". Lokalni mieszkańcy nie chcieli mieć żadnego kontaktu z ludźmi z zony. To tylko pogłębiało ból i tęsknotę za swoim domem, swoją wioską, w której wszyscy się znali i nikt nikomu nie wadził. Bardzo szybko przesiedleni zapragnęli wrócić do siebie.

– Niech tam będzie niebezpiecznie, niech będzie to promieniowanie, ale przynajmniej umrę pod swoim kawałkiem nieba – mówili. I wracali.

Ci ludzie nie potrafili się odnaleźć w innych miejscowościach. Oni tak kochali tę swoją wioskę, tak rzadko z tej wioski wyjeżdżali, że w ogóle nie brali pod uwagę, że mogą sobie ułożyć życie gdzieś indziej. To była ich mała ojczyzna. Mniej czuli się obywatelami Związku Radzieckiego, a bardziej obywatelami na przykład wioski Łubianka – i wyrzucenie ich z Łubianki odbierali jak wypędzenie z kraju; jak biblijny Exodus. (…)

Poza tym gdzie w nowym miejscu iść na grzyby? Gdzie znaleźć tak samo dobrą jabłoń jak ta z własnego sadu? Zabrani ze swoich domów przypominali drzewa wyrwane z długo zapuszczanymi korzeniami. Nigdzie indziej nie umieli ich zapuścić. Najtrudniej pewnie mieli ci, którzy podejmowali te decyzje jako pierwsi

eprasa.pl c473d62a4b

– oni naprawdę musieli iść przez las, forsować zasieki, użerać się z milicją. Potem, jak komuś się udało, to reszta miała łatwiej.

Ale byli i tacy, którzy początkowo dali się przekonać do przeprowadzki do nowo wybudowanych wiosek, ale – zobaczywszy lęgnący się grzyb w wykonanych na chybcika budynkach – wracali tam, skąd ich wywieziono. Takich wiosek zastępczych – Nowe Opacziczi dla ewakuowanych ze „starych" Opacziczi, Nowa Łubianka dla ludzi z Łubianki – budowano całkiem sporo. Sposób ich wykonania jednak pozostawiał sporo do życzenia. Tak samo jak stosunek reszty społeczeństwa do przesiedleńców z Czarnobylskiej Strefy Wykluczenia. Ci byli traktowani jak trędowaci. Jak ludzie drugiej kategorii. Nieraz na widok człowieka ewakuowanego z zony, a nawet na widok likwidatora, ludzie przechodzili na drugą stronę ulicy.

Mieszkańcy Prypeci, choć byli nowocześni i wydawałoby się, że nie powinni mieć problemów z asymilacją, spotykali się z opluwaniem tak samo często jak mieszkańcy wiosek. Jako – rzekomo – skażonych radioaktywnym pyłem, wyzywano ich od „mutantów". Nie pomogło to, że w Kijowie na mieszkanie czekało się wtedy około dziesięciu lat – a przesiedleni z zony dostawali je od ręki. Cóż z tego, że utracili wszystko. Ludzie w walącym się kraju mieli wiele problemów – i bardzo mało przestrzeni na empatię.

Część osób wciąż była potrzebna przy czarnobylskiej elektrowni. Na początku cały czas działały tam trzy inne reaktory; budowano też sarkofag mający zabezpieczyć to, co zostało po reaktorze, który wybuchł. Na tej podstawie podjęto decyzję o budowie Sławutycza, najmłodszego miasta w całym Związku Radzieckim. Stało się jasne, że przesiedleńcy z Prypeci nigdy do niej nie wrócą i trzeba szukać dla nich innego miejsca, gdzie mogliby się zadomowić.

Największa fala powrotów samosiołów do ojcowizny nadeszła w roku 1987, rok po katastrofie. To się działo wręcz lawinowo. Wracając, ludzie udowadniali sobie i kolejnym, że powrót, choć nielegalny, jest możliwy.

Powrót ludzi do zony trwa – oczywiście na dużo mniejszą skalę – nieprzerwanie właściwie do dziś. Znam ludzi, którzy zdecydowali się na zamieszkanie pod Czarnobylem kilkanaście lat po wybuchu reaktora, na przykład dopiero w roku 2000. (…) Bo musisz wiedzieć, że to nie było tak, że tych ludzi po prostu wywalono z ich dotychczasowych mieszkań i kazano im sobie radzić. Związek Radziecki wydał na to mnóstwo pieniędzy, ale wszyscy przesiedleni dostali odszkodowania, a oprócz tego nowe lokum. Dla tych ludzi budowano od podstaw całe wioski bądź rozbudowywano stare. Zakładano, że odbuduje się ich życie sprzed katastrofy. Może nawet by się to udało, gdyby nie fakt, że tłem całej tej sytuacji był rozpad Związku Radzieckiego – a kiedy ZSRR upadł, wszystkie te procesy zostały wstrzymane.

Nie można ukrywać, że wielu eksmitowanym ludziom standard życia się podwyższył; pamiętajmy, że wróciło nie więcej niż 3 tys. osób z prawie 165 tys. wysiedlonych. Reszta jakoś się urządziła i względnie sobie poradziła. (…)

Babuszka Olga Sapura mieszkała w jednej z takich nowo wybudowanych miejscowości, w jednym z nowo wybudowanych domów i chyba nawet nieźle jej się wiodło. Ale popełniła błąd: przepisała to podarowane przez państwo lokum na członka rodziny. Potem, jak to czasami bywa w niektórych rodzinach, przyszły konflikty. I okazało się, że kobieta nie jest już w tym domu mile widziana.

Nie chcę tu używać dużych słów, bo nie wiem, czy ją wygonili, czy sama postanowiła się wyprowadzić, bo jej życie z nimi stało się nieznośne, ale jedno jest pewne: Olga Sapura wróciła do swojego domu w wiosce Kupowate pod Czarnobylem bardzo późno, bo w okolicach roku 2000. Jeszcze przez ileś lat czasami odwiedzała ją rodzina, ale krewni niespecjalnie o nią dbali. Zawsze płakała, kiedy o tym wspominała. (…)

•

Ilu dokładnie było samosiołów? Tego nie wie nikt, ale zapewne w szczytowym momencie można mówić o liczbie nie większej niż wspomniane już 3000. Gdyby zapytać o oficjalne, państwowe wyliczenia, okazałoby się, że ukraiński rząd jest w tej sytuacji bezradny. Muszę tu jednak stanąć w obronie ukraińskiego państwa i powiedzieć, że same samosioły nie ułatwiają mu zadania. Część osób, która mieszka w zonie, nigdy nie wyrobiła sobie oficjalnego statusu samosioła.

Wszyscy w całym Związku Radzieckim wiedzieli, co się wydarzyło w Czarnobylu. I obawiano się, że ewakuowani rozniosą skażenie.

Ludzie ci żyją trochę poza ramami prawnymi – normalnie funkcjonują, ale żeby na przykład odebrać emeryturę, muszą jechać poza strefę. Nie ma ich więc w żadnych państwowych dokumentach, choć de facto całe życie spędzają w swojej dawnej wiosce.

Z drugiej strony, jest grupa ludzi, którzy wyrobili sobie status samosioła i przysługuje im prawo do zamieszkiwania na terenie zony – ale po jakimś czasie doszli do wniosku, że stan zdrowia lub inne czynniki nie pozwalają im w niej mieszkać. I choć oficjalnie są zarejestrowani jako samosioły, to jednak żyją w innym miejscu. To całkiem spora grupa. Wielu ludzi wróciło na fali entuzjazmu, kiedy na początku lat 90. nastąpiło lekkie rozprężenie i łatwiej było się przenieść w okolice Czarnobyla. Ale potem równie szybko zrozumieli oni, że na terenie zony nigdy już nie będzie normalnego życia jak kiedyś. (…)



Fragmenty książki Krystiana Machnika *Ostatni ludzie Czarnobyla*, Notatnik Reportera, Warszawa 2025

FOT. NAPROMIENIOWANI.PL/MACIEJ BOGACZYK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c473d62a4b

W INTERNECIE NIC NIE GINIE



Po ogłoszeniu wyników węgierskich wyborów PiS zaczęło wycofywać się rakiem z bezwarunkowego poparcia dla Orbána i Fideszu. Tobiasz Bocheński stwierdził, że polityka wschodnia Orbána była całkowicie rozbieżna ze stanowiskiem PiS, Przemysława Czarnka wygrana Tiszy nie absorbuje, bo ważniejsze są sprawy krajowe, a Karol Nawrocki uważa już, że rolą prezydenta Polski nie jest komentowanie wyborów. W prawicowych mediach poszedł przekaz, że Węgry to nieduży i mało znaczący kraj. W TV Republika Michał Rachoń oznajmił, że na Węgrzech władzę stracił… Donald Tusk.

Jednak w internecie nic nie ginie. Jest choćby zdjęcie Michała Wójcika z posłankami i posłami PiS pod pomnikiem gen. Bema, z podpisem: „Budapeszt, wspieramy Viktora Orbána". Także w mediach społecznościowych członków PiS było wiele postów wspierających węgierskiego premiera. *(rp)*







FOT. YOUTUBE, FACEBOOK (2), PLATFORMAX

eprasa.pl c473d62a4b



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

19 kwietnia 1943, getto warszawskie

„Lista ta, nazywana przeze mnie londyńską, spisana została w listopadzie 1943 przez przywódców ŻOB-u ocalałych z powstania kwietniowego i przesłana do polskich władz państwowych na emigracji. Listę przytaczam zgodnie z oryginałem z zachowaniem wszystkich pomyłek”, pisze Hanka Grupińska, autorka książki „Odczytanie Listy. Opowieści o warszawskich powstańcach Żydowskiej Organizacji Bojowej”.

Lista poległych w obronie getta warszawskiego zawiera przynależność organizacyjną opisaną następującymi oznaczeniami: Sz – Haszomer Hacair, D – Dror, A – Akiba, G – Gordonja, B – Bund, PP – Poalej Syjon Prawica, PL – Poalej Syjon Lewica, HH – Hanoar Hacijoni, L – Lewica.

Anielewicz Mordchaj /Sz/, Altman Tosia /Sz/, Aleksandrowicz Jakób /Sz/, Asz Eliezer /HH/, Arsztajn Zachariasz /D/, Altenberg Estera /D/, Alterman Szlomo /D/, Arbuz Chaim /Sz/, Bresler Szmul /Sz/, Błones Mejlach /Sz/, Berman Franka /L/, Baum Mosze /HH/, Błones Icchak /HH/, Brojde Berl /D/, Biegelman Menachem /D/, Blausztajn Icchak /D/, Bartmesser Nute /D/, Baran Dwora /D/, Błones Jurek /B/, Błones Guta /B/, Błones Lusiek /B/, Brylantsztejn Stasiek /B/, Brzezińska Zocha /L/, Blank Marek /G/, Baczyński Szloma /Sz/, Chadasz Icchak / Sz/, Chmielnicki Nachum /B/, Cukier Nesia /D/, Cygler Mosze /D/, Chrzanowicz Icchak /D/, Cebularz Tosia /L/, Libeskind Dolek /A/, Drenger Szymek /A/, Drajer Abram /D/, Drezner Abram /D/, Dobuchno Szaul /D/, Dawidowicz Tauba /B/, Duński Sewek /B/, Dembiński Icchak /L/, Dembińska Dorka /L/, Diamant Abram / PL/, Elek /Sz/, Edelsztejn Cwi /D/, Erlichman Sujka /G/, Einsdorf Miriam /Sz/, Eiger Abram /B/, Fajner Abram /B/, Finkelsztejn Majorek /D/, Fass Józef /L/, Frenkiel Toba /Sz/, Farber Józef /Sz/, Finkelsztejn Motek /D/, Furmanowicz Pesia /D/, Folman Marek /D/, Futerman Ignac /B/, Finkelsztajn Cyla /D/, Frydrych Zalman /B/, Fajgenblat Jakób, Blum Abram [Abrasza] /B/, Finkelsztejn Abram /D/, Fidelzajd Symcha /PP/, Fidelzajd Pola /PP/, Goldsztejn Izaak /B/, Granatsztejn Sara /D/, Gutrajman Kuba /L/, Gold Wulf /L/, Grauman Chana /Sz/, Guterman /D/, Grynbaum Icchak /D/, Gutsztat Cypora /D/, Gutman Henoch /D/, Gerszuni Gedalia /D/, Grauzalc Lejb /B/, Grynszpan Jurek /L/, Gertner Israel /B/, Górny Jechiel /PL/, Gertner Aba /Sz/, Grzęda Szoszana /D/, Holand Zalman /A/, Hajman Ruth /Sz/, Heller Szymon /Sz/, Halzband Aron /D/, Hochberg Adolf /D/, Hochberg Dawid /D/, Hejman Itka /L/, Himelfarb Adek /G/, Icuś /A/, Izbicka Mira /Sz/, Jasiński Lejb /B/, Jankielewicz Adek /B/, Juszkiewicz Efraim /B,/ Igła Zygmunt /B/, Jakubowicz Szoszana /D/, Kapłan Josef /Sz/, Kamień Salka /L/, Karliner Arje /Sz/, Kerenbrum Alma /Sz/, Kirszner Sigi /D/, Klepfisz Icchak /D/, Kirszenbaum Rachel /D/, Kac Jankiel /D/, Koziebrodzka Lońka /D/, Klepfisz Michał /B/, Klejnman Ziuta /L/, Kawa Heniek /L/, Klajnman Sara /L/, Koński Jehuda /G/, Korn Leja /G/, Klejnwajs Heniek /G/, Katowicz Szoszana /D/, Kacenelson Cwi /D/, Kożuch Hela /D/, Landau Margalith /Sz/, Lejbowicz Lejb [Laban] /D/, Liteski /PP/, Lerer Cypora /D/, Lewental Szymon /G/, Litman Josef /PL/, Lewin Gina /D/, Liliensztejn Moniek /B/, Lewski Izio /L/, Lent Szanan /PL/, Libert Chaim /D/, Lewender Jaffa /D/, Mordkowicz Basia /D/, Manfred /D/, Mittelman Izrael /B/, Maselman Rysiek /L/, Manulak Bronka /PL/, Morgenlender Icek /Sz/, Morgensztern Jochanan /PP/, Majufes /L/, Meirowicz Marek /PP/, Nulman Sewek /L/, Nowodworski Dawid /Sz/, Nożyce Icchak /D/, Niemiecka Renia /L/, Ochron Wanda /L/, Oszerowski Michał /Sz/, Obersztyn Josef /D/, Orwacz Abraham /Sz/, Pelc Boruch /B/, Perelsztajn Leja /D/, Pachoł Chawa /D/, Pasamanik Rebeka /A/, Praszkier /HH/, Perelman Mejlech /B/, Putermilch Jakób /G/, Papier Zygmunt /PL/, Płotnicka Chańcia /D/, Rozowski Izrael-Wolf /B/, Rozental Chaim /D/, Romanowicz Israel /B/, Rozowski Israel /B/, Rozowski Lejb /B/, Rudnicki Lew /L/, Rozenfeld Różka /L/, Rozen Stefa /PL/, Rotman Cwi /Sz/, Rysia /D/, Rutman Gedalia /A/, Rotblat Lutek /A/, Rotblit Chil /Sz/, Rozenberg Jardena /Sz/, Rubin Mosze /D/, Rozencweig Rachel /D/, Rapoport Lejb /D/, Rabow Fejcze /D/, Rajngewirc Moniek /D/, Rubeńczyk Mosze /D/, Szlubowska Sara /D/, Szwarc Szlomo /B/, Sznajdmil Abram [Berek] /B/, Szyfman Miriam /B/, Szwarc Meir /B/, Szuszkowska Szulamith /Sz/, Szwarcsztejn Faek /D/, Sztengel Moniek /D/, Sznaderman Tema [Wanda] /D/, Sylman Suja /D/, Szulman Dawid /D/, Symplak Icchak /D/, Sufit Szalom /A/, Szpancer Szaja /L/, Sarnak Jerzyk /L/, Simson Zygfryda /L/, Szwarcfus Janek /L/, Sarenka /Sz/, Sukienik Icchak [Koza] /Sz/, Szajngot Tuwia [Tadek] /Sz/, Szafirsztejn Rebeka [Julia] /Sz/, Szarfsztajn Moszek /D/, Sobol Szmul /D/, Szulman Gienia /D/, Szerman Majorek /D/, Skulska Chana /D/, Szuster Szlamek /D/, Sylman Batia /D/, Szklar Ruth /D/, Szyfman Lea /D/, Troks Lejb /D/, Tenenbaum Szlamek /L/, Tajchler Guta /L/, Wortman Zef /Sz/, Winogron Szloma /Sz/, Wald Benjamin /B/, Bartowicz Heniek /L/, Waksfeld Mojsze /L/, Wartowicz Olek /L/, Wichter Icchak /PL/, Wilner Arje [Jurek] / Sz/, Wengrowicz Jehuda /Sz/, Zajfman Aron /PP/, Zimak Naftali /D/, Zając Herman /D/, Zylberberg Heniek /L/, Zagiel Sara /L/, Zimak Lilka /D/, Zylbersztajn Moszek /L/, Zelcer Israel /G/, Stolak Abram /PL/, Zolotow /L/, Papierówna /PL/, Zylberman Izrael /D/.

Po tej części Warszawy, która była gettem, chodzę inaczej, ciszej i delikatniej stawiam kroki. Czuję, że stąpam po podziemnej rzece krwi, cierpienia, zapomnienia. By pod warszawskim niebem wybrzmiały imiona – odczytuję je w ciszy.

Czesław Miłosz „Campo di Fiori”: „I ci ginący, samotni, / Już zapomniani od świata, / Język nasz stał się im obcy. / Jak język dawnej planety. / Aż wszystko będzie legendą”.

eprasa.pl c473d62a4b

Wszechświat zamknięty w dwóch godzinach

Scenariusz i aktor – to punkt wyjścia do tworzenia opowieści. Reszta to budowanie atmosfery



JAN HOLOUBEK
– reżyser filmowy i teatralny

Jan Holoubek – (ur. w 1978 r.) absolwent wydziału operatorskiego łódzkiej Filmówki (2001). Autor zdjęć do filmów m.in. Juliusza Machulskiego, Krzysztofa Zanussiego i Jerzego Stuhra. Jako reżyser debiutował dokumentem „Słońce i cień" (2007) o Gustawie Holoubku. Po kilkunastu latach na planie w roli operatora zaliczył głośny pełnometrażowy debiut reżyserski „Sprawa Tomka Komendy" (2020); obraz ten przyniósł mu nagrodę na 45. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Zasłynął jako reżyser głośnych seriali: „Rojst" (2018), „Wielka woda" (2022) i „Heweliusz" (2025). W ubiegłym roku zadebiutował jako reżyser w Teatrze Telewizji sztuką Maxa Frischa „Biedermann i podpalacze" z Andrzejem Sewerynem w roli głównej. Za ten spektakl wyróżniony został Nagrodą im. Stefana Treugutta polskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyki Teatralnej.

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Spadł na pana ostatnio deszcz nagród, zwłaszcza za podziwianego „Heweliusza". Został pan również laureatem Nagrody im. Stefana Treugutta, przyznawanej przez krytyków za wybitne osiągnięcia w Teatrze Telewizji, za spektakl „Biedermann i podpalacze". Zaskoczyło to pana?

– Jestem niezwykle zaskoczony tą prestiżową nagrodą i uznaniem, że to ja, człowiek właściwie niezwiązany z teatrem, raczej uciekający od teatru i unikający go, mogłem się sprawdzić w tej dziedzinie. I jakoś mi to wyszło.

Pisano, że to właściwie pański debiut w Teatrze Telewizji, choć wcześniej bywał pan operatorem spektakli telewizyjnych, a więc już się pan otrzaskał z warsztatem telewizyjnego teatru.

– Traktuję „Biedermanna…" jako debiut w Teatrze TVP, bo jednak praca jako autora zdjęć to inna materia niż reżyseria. To było dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Zupełnie nowe. Inne od tego w teatrze żywego planu, gdzie najwięcej zdarza się podczas prób stolikowych, kiedy szuka się dopiero klucza interpretacyjnego. Tak więc było to wejście w nową dla mnie materię.

Dlaczego sięgnął pan po tekst Maxa Frischa, opowieść metaforę o konformiście, który sam podaje zapałki podpalaczom swojego domu?

– Mogę tylko powiedzieć, że jestem ogromnym szczęściarzem, bo zafrapował mnie ten tekst, który trafił do mnie z redakcji Teatru TVP. To nie jest tak, że sam ten tekst znalazłem;

eprasa.pl c473d62a4b

dostałem trzy teksty do wyboru. W przypadku pozostałych nie byłem w stanie przebrnąć przez pierwsze trzy strony. A tekst Frischa od razu mnie zaskoczył, ze względu na jego siłę i współczesność.

Nie jestem człowiekiem teatru na co dzień. Szukałem czegoś, co będzie w moim odczuciu łatwe. „Biedermann…" jest tekstem łatwym, ponieważ jest świetnie napisany, co automatycznie staje się dla realizatorów łatwe w każdym sensie.

A co to były za teksty, które tak szybko pan zdyskwalifikował?

– Już nie pamiętam. Jeden był chyba Chmielewskiej, ale trzeba było jeszcze zrobić adaptację książki, a drugi nie zostawił we mnie żadnego śladu.

Na czym polegała praca nad wybranym tekstem? Na analizie intelektualnej czy intuicji?

– Jeśli miałbym to jakoś zważyć, to w 75% kieruję się intuicją, a w 25% analizą, choć trudno to traktować osobno. Analiza tekstu dokonuje się u mnie w pewnym sensie automatycznie. Mówiąc najprościej, unikam tekstów, które wydają mi się nieciekawe, nudne.

Przy filmie jednak decyduje o wyborze obraz?

– Nie, także tekst. Obraz wynika ze słowa. Zawsze realizuję scenariusze, które widać, które od razu są widoczne w wyobraźni. To są w mojej opinii dobre scenariusze, takie właśnie, które od razu się wizualizują. Związek między dramaturgią, dialogiem i formą wizualną jest dla mnie integralny, ja tego nie rozdzielam. To wszystko powstaje w formie partytury.

W pańskich ocenach rozmaitych tekstów i form, nawet przed chwilą, często pojawia się kategoria nudy. Powtarza pan przy różnych okazjach, że teatr pana nudzi. Naprawdę?

– To trochę z mojej strony kokieteria. Jak już pójdę do teatru, na ogół jestem zadowolony.

A jednak. W takim razie jak to się stało, że syn takich rodziców, tak bardzo teatralnych, tak z teatrem związanych (choć przecież silnie obecnych w kinie), wybrał film, a nie teatr?

– Od samego początku, odkąd pamiętam, najbardziej interesował mnie obraz. Przyciągała mnie kamera jako medium spojrzenia na świat. Ekscytowała mnie możliwość spojrzenia na świat z różnych punktów widzenia, możliwość kadrowania, łączenia różnych kadrów. Wiadomo, że teatr może robić podobne rzeczy, ale mnie ekscytowała sama forma opowiadania historii. Bo wszystko jedno, spektakl czy film jest zawsze jakąś formą opowiadania historii. Jeden to robi w teatrze, drugi w kinie. Jeden maluje, drugi robi filmy, ale wszyscy mamy ten sam cel na widoku.

Wielu sławnych reżyserów filmowych łączyło lub łączy swoje pasje filmowe i teatralne, reżyserują filmy i spektakle. Dość wspomnieć Andrzeja Wajdę, którego twórczość na te dwie części była podzielona, albo właśnie niepodzielnie złożona z tych dwóch części. Czy panu to nie może się zdarzyć?

– Mogę sobie wyobrazić, że wyreżyseruję w przyszłości spektakl teatralny. Ale czegoś takiego, że siedziałbym miesiącami w teatrze i wciąż pilnował tego samego spektaklu, żeby się nie rozleciał, nie mogę sobie wyobrazić. To przerasta moją wyobraźnię i cierpliwość. Już samo przesiadywanie na próbach może człowieka wykończyć.

Ale na planie filmowym przesiaduje pan cierpliwie.

– To coś zupełnie innego.

Inna adrenalina?

– Myślę, że zdecydowanie większa adrenalina.

W wywiadzie rzece „Między światłem a cieniem" powtarza pan wielokrotnie, że robi filmy z myślą o publiczności. W przypadku teatru ma się możliwość wnoszenia korekt – właśnie w wyniku spotkania z publicznością. Z filmem jest inaczej. Gdy jest skończony, kończą się możliwości ingerencji reżyserskiej. Czy z tego punktu widzenia – porozumienia z publicznością – teatr nie byłby dla pana większą pokusą od filmu?

– To prawda, w teatrze jest inaczej, można sterować spektaklem po premierze przez kolejne przedstawienia. Ale to by mnie zniszczyło psychicznie, gdybym przychodził do teatru i oglądał następne przedstawienia i je ulepszał. Znam takich reżyserów. Przychodzą na każde przedstawienie, po każdym przedstawieniu spotykają się z aktorami i nadal z nimi pracują. Wydaje mi się, że ja bym tak nie potrafił. Na samą myśl, że w następny wtorek czy czwartek musiałbym pójść na swoje przedstawienie, obejrzeć je i nadal nad nim pracować, robi mi się słabo. W filmie mam inny rytm. Trzeba coś zrobić, skończyć, odstawić i iść dalej. To lubię, nowe wyzwania.

Ludzie mają większą potrzebę pójścia do teatru niż do kina. Warto o tym pamiętać. Opieram się na twardych danych.

Wygląda na to, że drugim po tekście filarem pańskiej pracy jest aktor, odpowiedni dobór obsady. To bodaj najstarsza formuła sukcesu w teatrze i filmie: postawić na aktora.

JAN HOLOUBEK O KRĘCENIU FILMÓW

Robienie filmów to tworzenie nowej rzeczywistości. To jest cudowne. Bo możesz uciec od zwyczajności i codzienności. Masz możliwość stworzenia własnego świata. Alternatywy dla tego, co widzisz za oknem. To czysta, dziecięca radość, jak wtedy, gdy budowałeś domy z piasku i ulice z klocków Lego. Tworzysz świat, rządzisz jego prawami. Dajesz i odbierasz życie swoim bohaterom, kierujesz ich losem. Jasne, czasem film ma misję. Może coś zmieniać, wpływać na rzeczywistość. Ale na samym dnie potrzeby tworzenia jest jedno: chęć pokazania ludziom własnej wizji świata.

Jan Holoubek, Cezary Łazarewicz, *Między światłem a cieniem*, Agora, Warszawa 2025

eprasa.pl c473d62a4b



Jan Holoubek z ekipą spektaklu „Biedermann i podpalacze" w Teatrze Telewizji.

– Absolutnie tak, aktor to jest podstawa.

Jednak te dwa filary do czegoś służą, bo chodzi panu nie tyle o opowiadanie historii, aczkolwiek tego nie wolno lekceważyć, ile o stworzenie – jak pan to określa – świata, wiarygodnego świata. Na czym to polega?

– Już na etapie czytania ten świat rodzi się w głowie, ma swoją konkretną aurę, najlepiej to oddaje słowo atmosfera. Tak więc najpierw świat się rodzi w głowie, a potem, przy współpracy innych twórców: scenografa, muzyka, operatora, oczywiście wszystkich aktorów, przybiera materialny kształt. Jaki jest to świat, jaka jest jego jakość, decyduje także światło, wszystko, co nas otacza. Wydaje mi się, że tak właśnie powstaje spójny świat, który jednych pociąga, a drugich odpycha. Jeżeli ten świat jest wystarczająco magnetyczny, ludzie go po prostu oglądają. Decyduje nie tylko performans aktorski czy jakość tekstu. To musi być wszechświat zamknięty w dwóch godzinach filmu czy spektaklu. Integralny wszechświat, który istnieje, w który wierzymy. Nie umiem tego inaczej nazwać.

Zawsze realizuję scenariusze, które od razu są widoczne w wyobraźni.

Nie wspomniał pan o wielkiej różnicy między magią kina a magią teatru, czyli o zasięgu tych dziedzin, skali odbioru.

– Bo to niekoniecznie jest prawda. Po kilku polskich premierach filmowych okazało się, że ich widownia w pierwszym tygodniu nie przekraczała 3-5 tys., a nie chcę tu odwoływać się do kosztów przygotowania takich produkcji, nieporównanie wyższych od kosztów produkcji spektakli teatralnych. Nierzadko teatry potrafią sprzedać znacznie więcej biletów. Mówię nie tylko o teatrze ambitnym, z wysokiej półki, ale także o spektaklach komercyjnych, które jeżdżą po Polsce, na które widzowie walą drzwiami i oknami. Kto wie, czy ludzie nie chodzą do teatru częściej niż do kina. Odnoszę wrażenie, że mają większą potrzebę pójścia do teatru niż do kina. Warto o tym pamiętać. Opieram się na twardych danych.

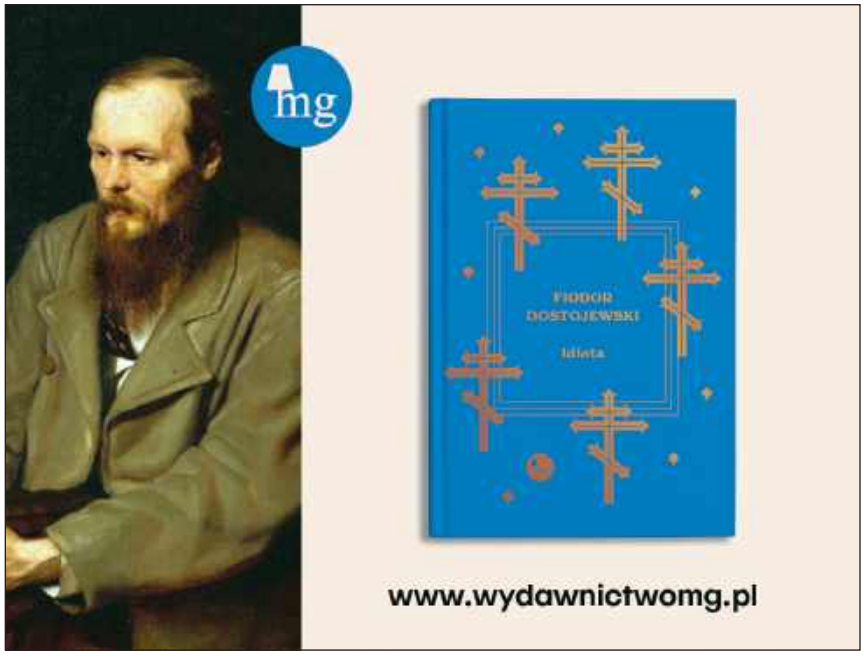
Jest więc jeszcze jakaś przyszłość przed nami.

– To znaczy przed wami: krytykami, widzami, ludźmi teatru.

Nie udało się podstępem wciągnąć pana w świat teatru, ale coś czuję, że „Biedermann i podpalacze" w Teatrze Telewizji to nie był tylko incydent, jeśli chodzi o pańską drogę reżyserską. A może trafi się na niej jakaś produkcja dla młodszych widzów?

– Rzeczywiście, dostaję takie propozycje. Także od moich dzieci, które pytają, kiedy wreszcie zrobię coś takiego, co one będą mogły obejrzeć.

Tomasz Miłkowski



FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE TVP

eprasa.pl c473d62a4b



Oko w oko Tomasz Jastrun

Warszawa w Budapeszcie

Dwa dobre dni w Krakowie, jeden zimny, drugi bardziej łaskawy. Mieszkamy w Szarej Kamienicy przy Rynku, tuż obok Kościoła Mariackiego. Właścicielką kamienicy, gdzie znajduje się elegancka restauracja i ma siedzibę wiele firm, jest Krystyna A. Mieszka w Sztokholmie, ale część czasu spędza w Krakowie, doglądając swojej nieruchomości. Mówi, że to ogromnie stresujące zajęcie, ale myślę, że jeśli to dramat, to jednak luksusowy. Krystyna ma pokoje gościnne, więc nas ugościła. Nigdy nie myślałem, że będę mieszkał na krakowskim Rynku. Wernisaż w pięknym Pałacu Sztuki na Placu Szczepańskim. Trójka artystów, w tym Danusia Jaworska, też ze Sztokholmu, ma domek w pobliskiej Lanckoronie. Tytuł wystawy zaczerpnięty z mojego wiersza „Co po mnie zostanie". Krótki wiersz, jak krótkie jest życie.

•

Wojtek Ornat stworzył niezwykłe wydawnictwo, specjalizuje się w tematyce żydowskiej, ale wydaje wiele innych książek, też czysto literackich. Opublikowałem u niego tomik poetycki „Epoka wymierania". Austeria ma w dorobku ponad 300 tytułów oraz księgarnię na Sycylii, w Syrakuzach, a od niedawna w muzeum Polin. Wydawnictwo ma siedzibę w dawnej synagodze przy Szerokiej, ładny placyk na starym Kazimierzu. W liczącym klika wieków zabytkowym budynku, który jest własnością Ornata, mieszczą się oprócz wydawnictwa księgarnia i piękna restauracja. Naszedłem wydawcę bez uprzedzenia, czego teraz broń boże się nie robi. Nie miałem wyjścia. Ma przecież wydać eseje mojego ojca. Wojtek to cudowny człowiek, ale nie odbiera telefonów. Za to, jak widać, przyjmuje niezapowiedziane wizyty. Bardzo serdeczne spotkanie i obiad. Niewesołe jednak rozmowy o świecie, który zwariował. Księgarnia Wojtka w Syrakuzach ma kłopoty. Włosi są tradycyjnie lewicowi, a lewica na całym świecie potępia Izrael, co już przybiera formy antysemickie, więc księgarnia jest bojkotowana.

•

Wokół krakowskiego Rynku nieznośne tłumy. Słysząc język polski, człowiek ogląda się za siebie zdziwiony, przeważa angielski. Czasami dobrze nie znać polskiego. Przy murach Wawelu po polsku bredzi manifestacja, nawet po twarzach widać, że to sekta smoleńska, rocznica katastrofy, czyli, jak chce sekta, zamachu. Przeważają starzy ludzie. Niewielu ich, z latami obłęd topnieje.

Jak zwykle kiedy jestem w Krakowie, zaglądam do muzeum w Sukiennicach, lubię to muzeum o pięknych wnętrzach. Zachodzimy też do Mangghi – budynku zaprojektowanego przez japońskiego architekta Aratę Isozakiego. To muzeum to pomysł Andrzeja Wajdy i jego żony Krysi Zachwatowicz. Manggha stoi po lewej stronie Wisły, naprzeciw Wawelu. Trudno o większe wyzwanie dla architekta. Japończyk chyba nie poniósł porażki. Czuję jednak zawód, byłem pewien, że jest stała ekspozycja słynnej kolekcji sztuki japońskiej Feliksa Jasieńskiego, która zainspirowała Wajdę do tego pomysłu, ale są tylko wystawy czasowe. Na pociechę jemy tam obiad w japońskiej restauracji, z niebywałym widokiem przez gałęzie kwitnących wiśni na Wawel i na biały Kościół na Skałce. Na jego wysokości budowana jest kolejna kładka dla pieszych. Topnieje we mnie złość, że w muzeum nie ma starych japońskich grafik. Z reklamacją do Zachwatowicz; onieśmielił mnie jej wiek, ma 95 lat i dosyć dawno nie mieliśmy kontaktu.

•

Magyar upiekł psa w mikrofalówce oraz bił byłą żonę – oświadczył prezes, który przeżył klęskę Orbána bardzo osobiście. Obłęd. Też stąd skala naszej radości. I od jakiegoś czasu żyjemy na kurczącej się wyspie demokracji liberalnej, a jest nam wspólna i granice państw nie są tu ważne, oddychamy nią, bez niej się dusimy, a ona teraz jest zagrożona. Postrzegamy to jak walkę światła z mrokiem, zdrowego rozsądku z tą prawicową bandą obłąkańców. Wygraliśmy więc wszyscy.

Wielka radość, że przyjaciel Nawrockiego, Trumpa i Putina odchodzi w niesławie.

Orbán stworzył demokrację hybrydową, pokraczną mieszankę demokracji i dyktatury. Otumanił demokrację, ale jej nie zabił. Telewizja Republika najpierw ogłosiła wielkie zwycięstwo Orbána, a potem nie byli w stanie transmitować wystąpienia Magyara, słuchacze mogliby dostać zawału, a kanały kłamstwa tej stacji mogły się zapchać. Goebbelsiki pisowskie są niezawodne. Pamiętam z dzieciństwa, jak w 1956 r. rodzice i znajomi chodzili oddawać krew dla Węgrów, nie wiedziałem, jak wygląda to oddawanie krwi, i byłem tym bardzo przejęty. A teraz wielka radość, że przyjaciel Nawrockiego, Trumpa i Putina odchodzi w niesławie. To zastrzyk energii dla całego liberalnego świata. Dawno nie odczuwałem takiej radości, która pozwala nie skupiać się tylko na sobie, ale żyć też życiem innych, dalekich, a bliskich. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c473d62a4b



Polski sopran w sercu Mediolanu

Ewa Płonka w La Scali udowadnia, że talent i determinacja mogą zaprowadzić na sam szczyt

Bronisław Tumiłowicz

Media obiegła sensacyjna wiadomość, że polska śpiewaczka Ewa Płonka kilkakrotnie wystąpi w kwietniu br. w mediolańskiej La Scali (ostatni występ 24 kwietnia) w operze Giacoma Pucciniego w tytułowej roli księżniczki Turandot. Znawcy opery wiedzą, że dla głosu sopranowego jest to pokonanie co najmniej dwóch potężnych barier.

Po pierwsze, w teatrze operowym La Scala, który uchodzi za świątynię włoskich śpiewaków, publiczność, a także krytycy reagują niezwykle żywiołowo, zwłaszcza na obcokrajowców, ponieważ od pokoleń perfekcyjnie znają się na sztuce belcanta. W samym teatrze nawet garderobiane przygotowujące solistki do występu doskonale śpiewają. Znane są przypadki wybuczenia lub wygwizdywania nawet renomowanych solistów, jeśli w ich głosie dało się wychwycić zmęczenie, jakiś lekki przydźwięk czy deformację. Zdobycie uznania słuchaczy jest więc ogromnym sukcesem.

Drugą potężną barierą, którą śpiewaczka musi pokonać, jest sama rola Turandot, ekstremalnie trudna i dająca się przyzwoicie wykonać tylko sopranom o specyficznym gatunku głosu. Musi on mieć wielką siłę, a przy tym ciemną, a nie jasną (piskliwą), barwę. Musi wytrzymać na jednym oddechu całą przewidzianą przez kompozytora frazę, która wspina się po dźwiękach aż do legendarnego wysokiego c. Zwyczajowo taki typ głosu nazywa się sopranem dramatycznym, bo w odróżnieniu od sopranu lirycznego musi epatować, praktycznie powalać siłą. W roli Turandot występują czasami soprany mniej dynamiczne, ale wtedy cała ta partia nie robi tak ogromnego wrażenia.

Księżniczka bowiem jest właśnie okrutną, bezwzględną władczynią, która każdego zalotnika po prostu pozbawia głowy, gdyż nienawidzi mężczyzn. Kluczową sceną opery jest zatem mordercza aria „In questa Reggia" i następująca po niej sesja zagadek, które księżniczka, za zgodą ojca, chińskiego cesarza, zadaje kolejnemu kandydatowi. Każda zagadka musi brzmieć maksymalnie dramatycznie, być czymś na granicy życia i śmierci.

I tu pojawia się właśnie nasza solistka Ewa Płonka, urodzona w Prudniku na Śląsku, wspinająca się po szczeblach kariery na świecie. Jak czytamy z jej życiorysu, początkowo doskonaliła się w sztuce pianistycznej. Pracowała nawet w Akademii Muzycznej w Poznaniu jako pianistka korepetytorka i za granicą, na uniwersytecie w Salt Lake City, obroniła doktorat z tej dziedziny. Dopiero później podjęła lekcje śpiewu operowego i ukończyła renomowaną Juilliard School of Music w Nowym Jorku. To otworzyło przed nią, wcześniej uważaną za mezzosopran, a więc wolumen niższy, sceny różnych teatrów operowych – głos ludzki potrafi jednak się doskonalić i rozwijać, a dzięki ćwiczeniom wspinać.

Ewa Płonka zaczęła wykonywać czołowe partie sopranowe na różnych scenach Niemiec, Austrii, Włoch, USA i Kanady. Stąd do mediolańskiej La Scali był już tylko krok,

eprasa.pl c473d62a4b







Ewa Płonka w partii Turandot w mediolańskiej La Scali.

ale partia Turandot, najtrudniejsza, jeszcze w jej repertuarze się nie pojawiała. Artystka w warszawskim Teatrze Wielkim-Operze Narodowej wystąpiła rok temu jako Aida i takie samo zadanie czekało ją w Operze Krakowskiej. Tutaj z niejasnych przyczyn doszło do zamieszania i na premierze zamiast Ewy Płonki wystąpiła w tej roli bardzo dobra Ukrainka Oksana Nosatova. Czy to był skandal, czy raczej umiejętne budowanie napięcia i zaznaczenie własnej pozycji w świecie sztuki? Być może też powiedzenie: „Sami nie wiecie, co posiadacie".

Po wykluczeniu z premierowej obsady Ewa Płonka napisała w mediach społecznościowych: „Jestem zdrowa, nic mi nie jest, wczoraj śpiewałam próbę generalną z orkiestrą z udziałem Publiczności – z wielką radością, że wreszcie mam okazję śpiewać w mojej Ojczyźnie, dla Rodaków. Dziś też chciałam śpiewać, dla Was, przecież tak miało być. A jednak, zamiast na scenie, jestem w hotelu...".

Podobno zdarzenia na granicy konfliktu pojawiały się też w Warszawie, co wytłumaczyć można zapewne specyficznym podejściem w końcu światowej już gwiazdy do quasidemokratycznych obyczajów w samym teatrze, gdzie formalnie „wszyscy są równi". Artystka zdecydowała się nawet wysłać sprostowanie do redakcji „Ruchu Muzycznego", dementując uwagi dziennikarza, że robiła jakieś „dąsy" albo „strzelała focha".

Pozostaje nam tylko cieszyć się, że Polka, mimo drobnych niedogodności w kraju, dosięga śpiewaczego szczytu, i czekać na pierwsze recenzje z Mediolanu. Jej występ w La Scali potwierdza, że polscy artyści należą dziś do ścisłej światowej czołówki śpiewaków.

Warto również zauważyć, że w roli Turandot Ewa Płonka ma już silne konkurentki. A w każdym razie inną Ewę – Vesin z Wrocławia, która jedno przedstawienie za drugim obsadza a to w La Monnaie w Brukseli, a to w Národní divadlo w Pradze, a to w Opera di Roma, a to w Teatro Massimo w Palermo na Sycylii.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BRESCIA E AMISANO/MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl c473d62a4b

POZA GRANICE REALIZMU

Courbet, choć zapamiętany głównie za przyczyną skandalizującego obrazu, otworzył świat na impresjonizm, ekspresjonizm i kubizm



Wiejska dziewczyna z koźlęciem

Daniel Wójtowicz

W Wiedniu, w Muzeum Leopoldów, trwa wystawa malarstwa Gustave'a Courbeta. Przeciętnym bywalcom muzeów ten francuski malarz z XIX w. (1819-1877) nie jest chyba zbyt dobrze znany. W Polsce nie było żadnej monograficznej prezentacji jego dorobku, ale przez znawców określany jest jako artysta, który całkowicie przeobraził światowe malarstwo, otwierając je na wszystko, co dziś nazywamy nowoczesnym. Stało się to dla mnie wielką zachętą do odwiedzenia tej wystawy, okrzykniętej jednym z najważniejszych wydarzeń artystycznych roku w Unii Europejskiej.

Ekspozycję zorganizowano we współpracy z Muzeum d'Orsay w Paryżu i Muzeum Folkwang w Essen, pod patronatem honorowym aż trzech prezydentów państw: Austrii, Niemiec i Francji. Dobitnie podkreśla to uznanie wyjątkowego znaczenia tego twórcy dla dorobku artystycznego całej naszej Europy. Na czym zatem polegają niezwykłe dokonania Courbeta?

Pytanie budzi szczególne, nieco pikantne skojarzenia. Na plakacie wystawy wyeksponowany został bowiem dokładny, wręcz fotograficzny wizerunek kobiecego łona. Nie jest to raczej widok pornograficzny, choć nietrudno zrozumieć, że na przestrzeni minionych 160 lat wielokrotnie był za taki uznawany. Do lat 60. minionego stulecia przetrwał w ukryciu domowym u prywatnych kolekcjonerów, prezentowany znajomym jak owoc zakazany. I tak zdobywał rozgłos. Gdy wreszcie trafił do zbiorów publicznych, szybko zyskał status jednego z najcenniejszych i najbardziej kontrowersyjnych obrazów XIX w. Stało się tak głównie za sprawą intencji artystycznych autora, objawionych w tytule: „Pochodzenie świata" („L'Origine du monde", 1866).



Pochodzenie świata

W tym kontekście (choć nie do końca wiadomo, czy narzuconym przez samego malarza, czy przez późniejszych cichych posiadaczy) dziełu doklejono – stosownie do atmosfery naszych czasów – wymiar manifestu feministycznego. Sądzę, że to dla niego właśnie na wystawę w Wiedniu dociera tak wielu zainteresowanych. Przy takim nastawieniu czeka ich tam jednak srogi zawód: „feministyczna" myśl nie znajduje szerszego rozwinięcia w innych prezentowanych pracach. „Pochodzenie świata" odzwierciedla natomiast bezkompromisowy, a w tym wypadku prowokacyjny realizm autora, uznanego za twórcę realizmu w malarstwie.

Wystawa – obejmująca ponad 100 prac i zajmująca wiele sal – na pierwszy rzut nieprofesjonalnego oka nie wydaje się specjalnie porywająca. Zdominowana jest przez obrazy wyglądające tradycyjnie, utrzymane w klasycznych, zgaszonych barwach. Trzeba dłuższej chwili i dogłębnego wczytania się w podane objaśnienia, aby wejść na ścieżkę zrozumienia fenomenu tego artysty w kontekście jego epoki.

Duże płótno z kilkoma postaciami zasiadającymi za stołem w jakiejś wiejskiej gospodzie wyraźnie nawiązuje do warsztatu mistrzów hiszpańskich i holenderskich. Dzieła w takim formacie zwyczajowo były przez nich zarezerwowane do ukazywania bóstw niebiańskich lub możnych tego świata. U Gustave'a Courbeta bohaterami „Po kolacji w Ornans" („L'Après-dînée à Ornans", 1845) są zaś jego bliscy i znajomi z rodzinnego miasteczka we Francji.

FOT. DOMENA PUBLICZNA (2), DANIEL WÓJTOWICZ

eprasa.pl c473d62a4b



Zachód słońca

Takie złamanie warsztatowego konwenansu było dla ówczesnego malarskiego świata Paryża przyczyną szoku i oburzenia. Ostatecznie jednak dzieło znalazło się na paryskim Salonie i nawet nagrodzono je medalem. Zostało ono, jako pierwsza praca tego autora, zakupione przez państwo francuskie. Ośmielony malarz zwykłym ludziom z prowincji poświęcił kolejne prace, czym zapewnił sobie ważne miejsce w historii sztuki.

Podobnym w wymowie obrazem na wiedeńskiej wystawie są „Kamieniarze" („Les Casseurs de pierres", 1849): dwaj chłopi uderzają w ogromnym trudzie młotami w oporną materię skały, niosąc porażającą (lub odrażającą) dla widza z arystokratycznych salonów prawdę o bezlitosnym ciężarze pracy zwykłych ludzi. Dziś, zwłaszcza po socrealizmie, raczej nie robi to już na nas wrażenia – ani artystycznego, ani tematycznego. Wtedy miało jednak dosyć niecodzienny wydźwięk i moc. I rodziło oburzenie współczesnych, że oto dziwny malarz wynosi na piedestał ciemny lud.

Szczególnie rozbawił mnie zatem w Muzeum Leopoldów przekorny obraz „Wiejska dziewczyna z koźlęciem" („La Villageoise au chevreau", 1860), będący prawdopodobnie swojską parafrazą słynnego portretu pędzla Leonarda da Vinci, a przedstawiający krzepką wiejską dziewczynę trzymającą na rękach czarno-białe koźlę.

Gustave Courbet uważał, że misją malarstwa musi być ukazywanie prawdy o człowieku i jego życiu, tego, co istnieje realnie, bez względu na estetykę czy piękno. „Pokażcie mi anioła, to wtedy go namaluję", żartował, odmawiając malowania religijnej fikcji. Jako realiście przypisano mu zatem sprowadzenie malarstwa europejskiego z obłoków na ziemię.

Jego specyficzny realizm wpisywał się pewnie w rozchwianie porządku politycznego i społecznego we Francji w okresie zmian i tworzenia „cesarstwa liberalnego". Sam Courbet miał poglądy lewicowe, które ostatecznie włączyły go w wydarzenia Komuny Paryskiej, za co zapłacił więzieniem i wygnaniem. W malarstwie ów realizm oznaczał odwagę złamania konwencji, porzucenia mitologicznych czy religijnych fikcji i szerszego spojrzenia artystów na realny świat. Odejście od przymusu malowania piękna mitycznego na rzecz ukazywania rzeczywistości takiej, jaka jest, tworzyło grunt do pojawienia się chwilę później impresjonizmu. Znawcy mówią, że nie byłoby go bez Courbeta.

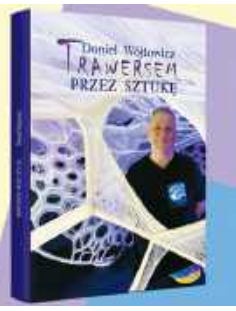
Gruntem dla impresjonizmu był także widoczny u artysty zachwyt pejzażami, które uważał za syntezę realności. Największe wrażenie z prac tego typu pokazanych na wystawie „Gustave Courbet. Realista i buntownik" wywarł na mnie szary obraz „Trąba wodna" („La trombe marine", 1867) ukazujący oberwanie chmury nad morską tonią. Groźne, szalone strumienie ulewy ewidentnie oddają nie tyle samo zjawisko, ile porażające ludzkie emocje. Okazuje się tutaj, że realizm przestaje być prostym odwzorowaniem rzeczywistości, stając się odbiciem ludzkiej wrażliwości. Jak daleko stąd do mającego się niedługo pojawić ekspresjonizmu?

Uważne oko znawców zwraca uwagę – co wynika z komentarzy na wystawie – na szczególną modyfikację obrazu gór czy skał w pejzażach Courbeta. Dokonywał w nich uproszczeń idących w stronę geometryzacji przedstawianych kształtów. Oddziaływało to na innych francuskich malarzy, w tym na pozostającego pod jego wpływem Paula Cézanne'a. Podchwycił on tę nową ekspresję realności i rozwinął do poziomu nowej struktury malarskiej, co stało się podwaliną kubizmu.

Szeroki przegląd dzieł największego realisty uświadomić może, zgodnie z założeniami kuratorów wiedeńskiej wystawy, jego znaczący wpływ na przeobrażenia światowego malarstwa i złożoność procesu przechodzenia w sztuce do nowości. Nie dziwi zatem hołd, jaki składa Europa temu niespecjalnie dzisiaj popularnemu artyście.

Gustave Courbet. Realist and Rebel
Muzeum Leopoldów w Wiedeniu
do 21 czerwca

TRAWERSEM PRZEZ SZTUKĘ
– pięknie ilustrowany album Daniela Wójtowicza
125 zł
200 stron relacji z najważniejszych wystaw
malarstwa współczesnego w Polsce i w Europie
Zamów na: **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. **Wysyłka GRATIS**



eprasa.pl c473d62a4b

KURTYNA W GÓRĘ



Nihil novi

Stanisław Chludziński przeniósł na scenę Teatru Nowego w Poznaniu rzadko wystawianą w Polsce szekspirowską tragedię. Niemal trzygodzinne przedstawienie dość wiernie oddaje najważniejsze wątki dramatu. Rozgrywa się w surowej i monumentalnej przestrzeni, typowej dla wyobrażeń rzymskich przestrzeni władzy. Poznajemy losy Koriolana (Adam Machalica), znakomitego wodza, który po sukcesach kampanii przeciwko Wolskom, dowodzonym przez jego zajadłego wroga Aufidiusza, wraca do Rzymu, by zostać konsulem. Z uwagi na swoją wyniosłość nie zyskuje miłości ludu – w tej roli sprytnie obsadzono poznańską publiczność. W efekcie działań trybunów ludowych zostaje wygnany, po czym sprzymierzony z dawnymi wrogami wraca, by w akcie zemsty spustoszyć Rzym. Tyle z Szekspira. Chludziński wraz z dramaturgiem Bartoszem Cwalińskim odrobinę uwspółcześniają tę opowieść – tarczę i miecz zastępują efektownie zwizualizowane rakiety i drony. Koriolan upozowany jest na gwiazdę alt-rightu w typie Elona Muska, trybuni zaś przywodzą na myśl lumpenlewicowy prekariat. Ale to w gruncie rzeczy kosmetyka. W programie czytamy o Rzymie, w którym przeglądać się ma technofeudalna współczesność amerykańskich oligarchów i więdnąca zachodnia demokracja. Nie odnajdujemy jednak w spektaklu niczego ponad tych kilka oczywistych prawd, które Szekspir odkrył wieki temu. Lud jest prosty, głupi i sterowalny, elity zepsute i cyniczne, a duma władców kroczy przed upadkiem.

Michał Centkowski

William Szekspir, „Koriolan", przekład Stanisław Barańczak, reżyseria Stanisław Chludziński, Teatr Nowy w Poznaniu, premiera 13 listopada 2025

ZASŁUCHAJ SIĘ

Melissa Aldana, Gonzalo Rubalcaba, Peter Washington, Kush Abadey

Filin

Blue Note

Nagranie albumu z jazzowymi balladami pochodząca z Chile saksofonistka tenorowa zawsze miała w planach. A gdy zaprosiła do współpracy jednego ze swoich muzycznych bohaterów, kubańskiego pianistę i kompozytora Gonzala Rubalcabę, ten podsunął jako temat gatunek z ojczyzny. Filin – od feeling, uczucie – łączący tradycyjną trovę, bolero i jazz, popularny był między końcówką lat 40. a początkiem 60. I okazał się teraz idealnym wyborem. Osiem kompozycji w aranżacjach Rubalcaby (w tym dwie brazylijskie) uwodzi delikatnością, ciepłem i wdziękiem. Szczególnie zapadły mi w serce finałowy „No Pidas Imposibles" i „Las Rosas No Hablan", jeden z dwóch kawałków zaśpiewanych przez zaprzyjaźnioną z Aldaną Cécile McLorin Salvant, zwykle śmiało eksperymentującą z wokalem, tu jednak wpasowującą się znakomicie w nastrój.



Aleksandra Pańko

Sztuka jak plaster



Paradoksalnie to nawet nie jest szczególnie dobra sztuka. Bardziej przeciętna niż wybitna, choć zręcznie napisana. Ale z rozwiązaniami do przewidzenia – na koniec dobro musi być na wierzchu, a strachy pokonane. A jednak ta obyczajowa opowieść o późnych obrachunkach ze swoim życiem i próbach jego naprawy prezentuje się w naszym grajdołku niemal rewolucyjnie. Bo kto tu, nad Wisłą, opowiada o seksie po sześćdziesiątce? Albo o podstarzałym geju, który boi się coming outu przed 90-letnim ojcem? Albo o zagubieniu po śmierci żony, która okazała się niewierną partnerką? Magdalena Środa wyliczyła w programie teatralnym aż siedem przekroczeń polskiej normy moralnej, z którymi mamy do czynienia w dramacie „Co po Grace?".

To wystarczający powód, aby poddać się tej opowieści o emerytowanym owdowiałym prawniku, znawcy praw człowieka (Krzysztof Dracz), wziętej terapeutce i rozwódce (Hanna Śleszyńska) i byłym bejsboliście, wciąż zakochanym geju (Andrzej Zieliński). Jeszcze mają szansę na szczęście, skoro – jak mawiał rabin Nachman z Bracławia – „Dopóki płonie twa świeca / Wszystko jeszcze da się naprawić".

A poza tym, a może przede wszystkim, jak oni koncertowo grają, tworząc bohaterów z krwi i kości, wciągając widzów w ich życiowe klęski i nadzieje. To aktorskiej maestrii idealnie zestrojonej przez reżysera (w tej roli także Krzysztof Dracz) sztuka zawdzięcza siłę i gwarancję długotrwałego powodzenia.

Tomasz Miłkowski

Carey Crim, „Co po Grace?", przekład Bogusława Plisz-Góral, reżyseria Krzysztof Dracz, Teatr Polonia, premiera 15 marca 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. PRZEMYSŁAW KACZMAREK, KATARZYNA KURAL-SADOWSKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c473d62a4b

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Opisy przyrody

W zbiorze esejów, a raczej wykładów literaturoznawczych Jamesa Wooda, wydanym niedawno przez Ossolineum w przekładzie Magdy Heydel i jej studentek, autor tłumaczy żarliwie tytułową kwestię „Jak działa literatura". Czyni to z perspektywy analitycznej, teoretycznej, nie jest to na szczęście podręcznik dla początkujących pisarzy, choć chwilami Woodowi trudno ukryć, że uważa książki za mądrzejsze od ich autorów, ba – wnikliwą lekturę zdaje się mieć za umiejętność rzędu wyższego niż władanie piórem.

Przypominają mi się warsztaty translatorskie z udziałem Magdy, w których miałem uczestniczyć jako autor powieści branej na warsztat przez tłumaczy, ale już na pierwszym spotkaniu z młodzieżą akademicką nie byłem w stanie odpowiedzieć na jej dociekliwe pytania, np. komu narrator opowiada swoją historię. Kiedy tłumaczyłem, że nigdym się nad tym nie zastanawiał, bo pisząc, kieruję się intuicją, nie byli nasyceni. Ja nawet nie wiedziałem, co mam zamiar napisać, pisałem, żeby się dowiedzieć, co też takiego się wydarzy w świecie moich bohaterów. Uznaliśmy zatem polubownie, że autor jest trzeciorzędnym kontekstem dzieła literackiego i spokojnie można bez jego udziału w zajęciach się obejść.

Cała nauka o literaturze stoi na fundamentalnym, acz pochopnym przekonaniu, że pisarz podczas pracy wie, dokąd zmierza. Tak czy owak, nierzadko mądrej głowie udaje się przeczytać książkę ciekawiej, niż została napisana. Uniwersytet Śląski ma swojego Ryszarda Koziołka, Uniwersytet Harvarda ma Jamesa Wooda, obydwu pisanie o czytaniu jest frapujące.

Mamy tu prawdziwą feerię ulubionych cytatów profesora, którymi umaja kolejne zagadnienia, np. jako doskonałe wprowadzenie bohatera do tekstu przywołuje zdanie z opowiadania Maupassanta „Królowa Hortensja": „Był to astmatyczny grubas, który wszędzie wchodził pierwszy". Zaiste, mamy tu mistrzostwo szkicowej, a zarazem precyzyjnej charakterystyki postaci, z którą skądinąd wolałbym się nie zaprzyjaźniać. Przypuszczam bowiem, że politykami prawicy zostają właśnie ci, którzy od dzieciństwa „wszędzie wchodzili pierwsi".

Ja tam mam swoje ulubione wprowadzenie postaci epizodycznej: oto w „Pożegnaniu jesieni" Witkacego na chwilę zagląda przez drzwi „Jan Hluś, niegdyś wyga i gaduła pierwszej klasy – dziś na wpół zidiociały starzec-bydlę".

Mamy część dotyczącą dialogów, Wood przytacza ich kilogramy całe, ale czyni to w ramach akademickiej poprawności, ja zaś uwielbiam dialogi nikczemne albo nieprzyzwoite, jak ten, zarazem zmysłowy i buńczuczny, który wysłyszałem niedawno w czarnym thrillerze Ethana Coena „Honey Don't!". Po skończonym cunnilingus dziewczyna mówi do swojej kochanki: „Zostawiłam ci trochę szminki". „Noszę ją tylko tam", słyszy w odpowiedzi.

Mamy u Wooda sporo o rodzajach narracji, o języku, formie, ale nawet tak wytrawny filolog omija opisy przyrody, mnie tymczasem one wystarczają ostatnio za całą literaturę, rzekłbym nawet, że przyroda sama mi wystarcza, wolę czytać ją niż książki. „Literatura jest dla darmozjadów, ludzie pracy nie mają czasu na czytanie książek", rzekł kiedyś pan-od-pralek, zerkając na moje regały. Może było w tym apodyktycznym usprawiedliwieniu bibliofobii nieco przesady, podobnie jak będzie w moim twierdzeniu, że niechęć do opisów przyrody wynika z faktu, że lektura jest sprawą mieszczan. Ludzie nie jadą przecież do lasu, żeby się z książką wyłożyć w chaszczach, raczej zapadają się w lekturze w miękkim fotelu lub zasiadają przy kawiarnianym stoliku, tudzież w środku komunikacji zbiorowej.

Teraz jest wiosna i oddaję się jej czytaniu; idę ścieżką wśród łanów czosnku niedźwiedziego, idę przez zagajnik, czytam nogami, idę oczami, życie jest właśnie tu i teraz, nigdzie indziej.

Pośród pisarzy włóczęgostwo przyrodnicze uprawia mniejszość, a żeby pisać o dzikiej przyrodzie, trzeba ze swojej nory wychynąć i zapuścić się w parowy i wykroty.

Owóż, lekturę Wooda polecam, jak każdą inną zresztą, tylko wtedy, gdy pogoda pod psem. Teraz jest wiosna i oddaję się jej czytaniu; idę np. ścieżką wśród łanów czosnku niedźwiedziego, pani zrywa liście do koszyka, bo dobre na trawienie, „Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają", idę przez zagajnik, który aż kipi od nazw, wyczytuję zawilce, fiołki, ziarnopłony, pierwiosnki, szczawiki zajęcze, czytam nogami, idę oczami, życie jest właśnie tu i teraz, nigdzie indziej. ■

eprasa.pl c473d62a4b

Dziennik prof. Piotra Kwiatkowskiego z czasów epidemii koronawirusa

Niedawno zwróciliśmy się do Czytelników z prośbą o wspomnienia z czasu epidemii koronawirusa. Kiedy się zaczęła, prof. Piotr Kwiatkowski, socjolog z Uniwersytetu SWPS zaczął prowadzić dziennik. Drukujemy jego fragmenty, opisujące pierwszy rok pandemii.



2020.03.22, niedziela

Rano chłodno, ok. 3 stopni. Słonecznie. Dwugodzinny spacer przez puste ulice Wierzbna. Mija tydzień od wprowadzenia przez rząd restrykcji związanych z epidemią – kontroli na granicach, zamknięcia lokali, centrów handlowych, kin, teatrów, szkół i uczelni. W Polsce liczba zakażonych wirusem przekroczyła pół tysiąca, w Europie 150 tys., zmarły 7802 osoby. To sprawia, że Europa jest kontynentem najbardziej dotkniętym pandemią, w Chinach do tej pory odnotowano ponad 96 tys. przypadków zakażenia, z czego niemal 3,5 tys. osób zmarło.

2020.03.31, wtorek

Zabłysnął znowu ks. Tadeusz Guz – dyżurny katolicki profesor. W telewizji rydzykowej mówił o „cudzie przychodzącego Boga" i stwierdził: „Niektórzy się obawiali, że kapłan, który koncelebruje mszę i udziela komunii do ust, może zarażać. Kapłan ma, po pierwsze, konsekrowane dłonie, po drugie, kapłan jako jedyna osoba w zgromadzeniu liturgicznym ma umywane dłonie przy Lavabo". KUL od bredni Guza odciął się półgębkiem: „Według naszej wiedzy ks. prof. T. Guz nie posiada kwalifikacji naukowych, aby wypowiadać się na tematy dotyczące medycznych aspektów epidemii, w szczególności na temat sposobu rozprzestrzeniania się koronawirusa i rozwijania się epidemii". Biskup lubelski wypowiedział się wprost: „»Wypowiedzi ks. prof. Guza na antenie TV Trwam stoją w sprzeczności z katolicką nauką o przeistoczeniu oraz stanowiskiem Episkopatu Polski. (…) Ksiądz arcybiskup wzywa ks. prof. Guza, aby jak najszybciej sprostował wypowiedzi niezgodne z katolicką nauką o Eucharystii«, napisał ks. dr Adam Jaszcz, rzecznik archidiecezji lubelskiej".

2020.04.04, sobota

Wczoraj w Aleksandrowie zmarł pierwszy pacjent zarażony koronawirusem. Dobry ogólny stan zdrowia, ok. 60 lat, niepalący, nie pił alkoholu. Rozmawiałem ze Stefanem w niedzielę. Wspomniał, że ma 10 pacjentów na oddziale zakaźnym, ale nie było żadnego poważnego problemu. W ciągu kilku godzin stan jednego z chorych gwałtownie się pogorszył.

– Organizm nie reagował na żadne formy pomocy medycznej – opowiadał S. – zagotowały mu się płuca. Pracuję 35 lat. Nigdy jeszcze nie widziałem tak gwałtownego, fatalnego ataku choroby u człowieka, który nie był obciążony żadnymi przewlekłymi chorobami, nie doznał urazu.

Jego córka – brak zakażenia, zięć – przechodzi infekcję bezobjawowo. Wiele wskazuje na to, że zmarły zaraził się w kościele, wirusem zarażony jest wikary z Łabuń, który leży w szpitalu w Lublinie. „Ksiądz mógł zakazić wiernych. Sanepid w Zamościu szuka osób, które uczestniczyły we mszach świętych w Łabuniach", czytam w „Kurierze Lubelskim".

2020.04.05, niedziela

Epidemia w województwie lubelskim przebiega dość łagodnie. Widzę cztery czynniki: relatywnie mała gęstość zaludnienia. Populacja licząca ok. 2,1 mln zamieszkuje ok. 25 tys. km kw. 19 większych miast Konurbacji Górnośląskiej to ok. 2,1 mln na powierzchni ok. 1,5 tys. km kw. (…) Z kolei aglomeracja warszawska według jednego z wyliczeń ma 2,6 mln mieszkańców na obszarze 2,7 tys. km kw. (…) Województwo lubelskie ma w przybliżeniu dziesięciokrotnie mniejszą gęstość zaludnienia w porównaniu z największymi polskimi strefami miejskimi. Czynnik drugi to typ zabudowy. Większość mieszkańców Lubelszczyzny zamieszkuje w relatywnie małych blokach bez wind oraz w domach indywidualnych. To powoduje zwiększanie fizycznych dystansów między ludźmi. (…) Słowem – warunki demograficzne i typ zabudowy w tym wypadku pomagają chronić mieszkańców województwa.

2020.04.06, poniedziałek

Premier rządu brytyjskiego Boris Johnson zarażony koronawirusem, ciężko przechodzi chorobę. Ten pajac, który niedawno lekceważył pandemię i naśmiewał się z kontynentalnej Europy, znalazł się na oddziale intensywnej terapii.

•

Jeszcze na początku marca, a nawet dwa tygodnie temu dyżurnym wesołym sanitariuszem był niejaki Włodzimierz Gut. Twierdził on, że za bardzo panikujemy, „wirusy się pojawiają i dalej będą się pojawiały", a koronawirus za bardzo „wszedł w nasze życie codzienne". Ta radosna walka z „bajkami" o epidemii była paliwem dla prawicowych mediów uważających epidemię za wymysł lewacki i domagających się pełnej swobody praktyk religijnych.

eprasa.pl c473d62a4b



W namiotach przed szpitalami wstępnie badano pacjentów, oceniając ryzyko zakażenia covidem.

W ostatnich dniach Gut przestał jednak podśmiewać się z panikarzy i w radiu ogłosił: „Możemy uniknąć nowej fali zachorowań, jeśli zdyscyplinujemy się na święta (…). Nadal jesteśmy na etapie wzrostu zachorowań. Problem polega na tym, że nie jesteśmy w stanie odwrócić trendu. Możemy jedynie przerywać łańcuch zakażeń poprzez pozostanie w domu".

2020.04.13, poniedziałek

W wierszu „wyklętym" (bo opublikowanym w 1955 r.) Szymborska pisała: „Tyle wiemy o sobie, / ile nas sprawdzono. / Mówię to wam / ze swego nieznanego serca". Epidemia, choć trudno ją pod względem grozy porównać z wojnami XX w. czy choćby hiszpanką z lat 1918-1920, jest zjawiskiem, które nas sprawdza – wydobywa z ludzi ich prawdziwe charaktery. Znany ksiądz wyciągający ręce po pieniądze i straszący, że jak ich nie dostanie, to się obudzimy w „lewicowym świecie", dygnitarze ostentacyjnie łamiący zasady, które sami ustalają, biznesmeni szukający okazji do zarobku, politycy knujący, jak wykorzystać epidemię do wzmocnienia swojej władzy. A z drugiej strony tysiące ludzi, zwykle pozostających w cieniu, którzy pomagają innym. Stowarzyszenia twórcze wspierające swoich członków seniorów, firmy, które choć mają kłopoty, podrzucają kombinezony pielęgniarkom i lekarzom z oddziału zakaźnego miejscowego szpitala. Postarajmy się zapamiętać tych spośród nas, którzy w czasie próby sprawdzili się. A pamięć mamy dobrą, szkoda, że krótką.

•

Myślałem dzisiaj o nadchodzącej suszy, gdy ok. 6 rano wybrałem się na krótki spacer do lasu obok domu w Wierzbnie. Było bardzo wcześnie, rześko i całkiem pusto. Początek wiosny, a pobliski strumień jest całkiem wyschnięty. W miejscach, które pamiętam jako mokre i błotniste – tylko suche liście. Wróciłem i miałem całe buty pokryte szarym kurzem. Suszę widać i słychać, gdy idziemy w kwietniu po wysuszonej ścieżce.

2020.04.21, wtorek

(…) Od kilku dni internet powtarza te same historie. Zamieszczający je twierdzą: pewne źródło/mój znajomy/znajomy mojego kolegi etc. A potem opowieść o tym, że ludzie boją się pracowników służby zdrowia, o lekarce, którą chcą usunąć z jej własnego mieszkania, pielęgniarce wyrzuconej ze sklepu. Jakaś epidemia braku odpowiedzialności, wirus przenoszenia fake news. Po pierwsze, to nie średniowiecze, kiedy lekarze nosili maski w kształcie ptasich dziobów, czarne kapelusze i peleryny. Dzisiaj nikt nie ma na czole pieczątki, że pracuje w służbie zdrowia. Po drugie, prawdopodobieństwo, że zarażeni są lekarz czy pielęgniarka, nie jest większe niż w przypadku kierowcy autobusu, babci zasuwającej regularnie do spowiedzi, sprzedawcy w sklepie, pracownika na budowie, taksówkarza. Po trzecie, jeśli wejdziecie do niewielkiego osiedlowego sklepu, to zobaczycie, że jest tam zwykle duży luz i zero tłoku. Świąteczne szaleństwo minęło. Podobnie w większych sklepach. Nikt nikogo nie wyrzuca z kolejek, bo tych zwyczajnie nie ma. W polityce mamy dość konfliktowania ludzi, dużo jadu przelewa się przez media, w tym publiczne, których misją są podobno rzetelność i powaga. Napisałem na FB: „Ludzie, ludziska!

Epidemia obnaża słabość polskiej służby zdrowia, pokazuje, że ostatnie miesiące rząd zmarnował.

Przyjmijmy zasadę: widziałam osobiście, zdarzyło się w miejscu, w którym byłem, obserwowałam, żadne: »wiem z pewnego źródła«, »znajomy, godny zaufania, powiedział«. Gdy będziecie postępować zgodnie z tą zasadą, zmniejszycie falę głupot w sieci".

2020.04.28, wtorek

Rozmowa ze Stef., który znosi ataki prawicowych radnych i starosty. Na szczęście ma wsparcie władz wojewódzkich. Trudno uwierzyć. Wojewoda wie, że jak trwa pożar, to się nie kopie strażaka gaszącego ogień.

Dwa zgony: zakonnica – 88 lat, uczestniczka sławnej drogi krzyżowej w Łabuniach, wydawało się, że uda się jej wyjść z choroby, było coraz lepiej, aż nagle wszystko się załamało. Podobnie z mężczyzną – 90 lat, przeszedł

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl c473d62a4b

wiele chorób, wirus okazał się ciosem, którego nie wytrzymał. Ale spora grupka zarażonych pacjentów DPS spod Zamościa – wygląda, że oni pokonają wirusa.

2020.05.11, poniedziałek

Życie na odległość kwitnie. Coraz więcej zebrań, spotkań, koncertów. Dla mnie dużo siedzenia przed komputerem: rady wydziałów, obrony prac magisterskich, pod koniec maja pierwsza zdalna obrona pracy doktorskiej.

2020.05.17, niedziela

Kazik wrócił w wielkim stylu. Pierwszy singiel z nadchodzącego albumu „Twój ból jest lepszy niż mój". Nawiązuje do zachowania Jarosława Kaczyńskiego, który 10 kwietnia samochodem wjechał na Powązki. Utwór błyskawicznie stał się sławny dzięki YouTube'owi. Jak dotąd prawie 3 mln odsłon. Sławę piosenki wzmocniła radiowa Trójka. Kiedy Kazik dostał się na szczyt listy przebojów, kierownictwo (programu, a może radia publicznego) unieważniło głosowanie: „Dokonano manipulacji przy liczeniu głosów, co zafałszowało wynik końcowy", oświadczył szef PR3, niejaki Tomasz Kowalczewski. Rytmiczna, wpadająca w ucho piosenka, fragmenty w stylu rap i mocny refren: „Bo Twój ból jest lepszy niż mój / Ból ukoić możesz Ty jeden".

2020.05.25, poniedziałek

Wiem, brzmi to okropnie, ale czuję, że zaraza pomaga mi się odbudować. Od połowy lat 80. poprzedniego wieku byłem w ciągłym ruchu. Ostatnia dekada – kierowanie firmą, cztery lata trudnego biznesu w niesprzyjającym otoczeniu. Początek 2016 – zmiana pracy, później projekt badawczy, raport, pierwsza książka, po niej fantastyczna praca z W. i M., dużo dydaktyki, kolejny projekt. Ciekawy, ale wymagał jazdy po całej Polsce, wielu rozmów, kolejne raporty. Nagle – zatrzymanie. Skupienie, długie spacery. Pisał kiedyś Miłosz:

Dużo śpię i czytam Tomasza z Akwinu
albo „Śmierć Boga" (takie protestanckie dzieło),
Na prawo zatoka jak odlana z cyny,
za tą zatoką miasto, za miastem ocean,
za oceanem ocean, aż do Japonii.

Ja nie czytam może traktatów teologicznych, ale wróciłem do literatury pięknej, oglądam seriale, a po wyjściu z domu widzę las. I zwykle nikogo dookoła. I sny tak wyraziste, jakbym przeżywał alternatywne życie. Po przebudzeniu zawsze przez chwilę brak pewności, gdzie się znajduję, co jest prawdziwe. Różni ludzie przychodzą. Czasem śni mi się dawna praca, badania, dyskusje i problemy biznesowe.

2020.06.11, czwartek

Boże Ciało – w całej Polsce procesje. Matka nie wytrzymała i na godzinę 9.00 poszła, bo „zawsze w Boże Ciało…". Na szczęście na ranną mszę przyszła garstka ludzi, bo wszyscy szykowali się na późniejszą mszę główną zakończoną procesją. Przed południem spacer po lesie – 9,5 km. Po pierwszych suchych miesiącach wiosennych maj i pierwsza dekada czerwca są dość wilgotne. Las zgęstniał, ścieżki przestały być suche, po spacerze nie widać kurzu, który kiedyś osiadał na butach i na ubraniu. (…)

2020.07.01, środa

Ostatnie zajęcia w semestrze. Tuwim mówił: „Radio to wspaniały wynalazek. Wystarczy raz przekręcić i już nic nie słychać". Podobnie z zajęciami zdalnymi. Wystarczy raz nacisnąć i cisza, pustka. Pół roku spotkań z grupą liczącą 20 osób. I nie zostaje żadne zmysłowe doświadczenie, wspomnienie twarzy, głosu, sposobu ubierania się i poruszania. Cisza.

2020.07.02, czwartek

Ojciec Marysi, wzorowy urzędnik, od wielu lat pracuje w Instytucji Państwowej. Jesienią osiągnie wiek emerytalny. Mógłby jeszcze pracować, ale zamierza jak najszybciej przejść na emeryturę. Przeraża go zmiana tej instytucji w narzędzie rządowej polityki, nie chce brać udziału w działaniach tuszujących afery polityków sprawujących władzę. (...)

2020.07.05, niedziela

Rano udany spacer, dobre tętno. Później przeglądam wybór utworów Andrzejewskiego wydany w klasycznej, „złotej serii" PIW. Jeden z tomów to „Miazga" – co za nuda! Może jestem niesprawiedliwy, ale sądzę, że ta powieść beznadziejnie się zestarzała. „Miazga" – nomen omen. Rozpierducha literacka, rozsypane wszystko nijak się nie zbiera w logiczną opowieść. Dziesiątki stron osobistych notatek, narcystycznych i mało odkrywczych, jakieś dawno zardzewiałe klucze polityczno-towarzyskie, zwietrzałe problemy. Rzecz, która kilkadziesiąt lat temu elektryzowała czytelników, powodowała interwencje cenzury, wywoływała dyskusje. Dzisiaj wydaje się zabytkiem muzealnym, bardziej chyba martwym niż „Nad Niemnem" Orzeszkowej. Ale niektóre fragmenty w tym rumowisku wciąż żyją. Fragmenty nawiązujące do prawdziwych ludzi i zdarzeń. Przenikliwe strony dziennika dotyczące procesu „taterników" czy relacja z pogrzebu Pawła Jasienicy. Z ciekawością czytałem też niektóre noty biograficzne, zwięzłe życiorysy bohaterów.

W tym smutnym czasie rośnie znaczenie drobnych gestów przyjaźni i małych przyjemności.

•

Wieczór w Warszawie. Głosowałem, zawiozłem duszone kurki, późnym wieczorem Paweł zadzwonił, żeby powiedzieć, że bardzo mu smakowały. W tym smutnym czasie rośnie znaczenie drobnych gestów przyjaźni i małych przyjemności.

2020.07.31, piątek

„Republikanin Herman Cain, wpływowy zwolennik prezydenta Donalda Trumpa, który stanowczo odmawiał noszenia maseczki w czasie pandemii koronawirusa,

eprasa.pl c473d62a4b

zmarł po zakażeniu się COVID-19". Polityk 2 lipca triumfalnie obwieścił na Twitterze, że maski nie będą obowiązkowe podczas partyjnego wiecu, w którym weźmie udział Trump. „LUDZIE MAJĄ TEGO DOŚĆ!", napisał. Republikanie odmowę noszenia maseczek traktują w kategoriach politycznych, uważają ją za wyraz poparcia dla starych, dobrych czasów, konserwatywnych wartości i uświęconego tradycją postrzegania świata. Tak jak w Polsce radykalni katolicy i notoryczni idioci.

2020.10.10, sobota

W Polsce pobity został kolejny rekord zakażeń – 5,3 tys. przypadków w kraju. Epidemia obnaża słabość polskiej służby zdrowia, pokazuje, że ostatnie miesiące rząd zmarnował. Ważne były przepychanki na górze, a szpitale w walce z pandemią już nie dają rady, zapchały się. Kończą się leki, środki ochrony, brakuje sprzętu. Pacjenci z koronawirusem są coraz częściej leczeni na tych samych oddziałach co pozostali chorzy, łóżek i respiratorów mniej niż w oficjalnych rządowych raportach, a wielu mówi, że to dopiero początek, następne tygodnie przyniosą epidemiczne tsunami. (…)

Na dziś, 10 października, w 50 miastach w Polsce zapowiedziano demonstracje przeciwników ograniczeń związanych z pandemią, domagających się zniesienia obowiązku noszenia maseczek czy kwarantanny. Akcję „Marsz o wolność!" rozkręcają antyszczepionkowcy – Ogólnopolskie Stowarzyszenie Wiedzy o Szczepieniach STOP NOP, wspomagają ich działacze Konfederacji. Wszędzie biel i czerwień, narodowe flagi, na marszach po kilkaset osób.

W Białymstoku przez centrum przemaszerowało niemal pół tysiąca denialistów, skandując: „Obudź się!", „WHO samo zło", „Pandemia to ściema", „Precz z nowym porządkiem!", „Zdejmij maskę!", „Wolni ludzie!" czy znane z innych manifestacji: „Precz z Kaczorem dyktatorem!". Co do ostatniego hasła to jestem zdziwiony, bo zawsze sądziłem, że jest on Pierwszym Antypandemistą RP. Kilka dni temu podczas wręczania nominacji nowym członkom rządu wymógł, aby Duda zdjął rękawiczki.

Białostocki przemarsz został zarejestrowany jako zgromadzenie „przeciw globalistycznym zapędom rządu". W Lublinie byli, rzecz jasna, aktywiści Konfederacji, antyszczepionkowcy. Na wiecu zabłysnął kolejny profesor KUL Ryszard Zajączkowski, historyk literatury, który nawiązał do Norwida i stylem strzelistym mówił: „Razem stanowimy wielką siłę. Jesteśmy suwerenem w tym kraju. Nie musimy się słuchać marionetkowych polityków, sprzedajnych naukowców i terrorystów medialnych, którzy nazywają siebie dziennikarzami. Ci, którzy mówią dzisiaj do nas przez media, odwołują się tylko do strachu i ignorancji. Nie mają żadnych rzeczowych argumentów. Po naszej stronie jest prawda i dobro. Wygramy".

2020.10.19, poniedziałek

Zmarł Wojciech Pszoniak – wydaje się niemożliwe. Był zawsze, odkąd zacząłem interesować się kulturą. Po raz pierwszy widziałem go w Teatrze Powszechnym w 1975 r. – grał w inscenizacji „Sprawy Dantona". Smutne uczucie, powoli dobiega końca nasz czas.

2020.12.25, piątek

Wigilia w Wierzbnie. Zrobiłem spore zakupy, ugotowałem gar rosołu, skroiłem warzywa na sałatkę i sos tatarski. Paweł w restauracji U Rysia zamówił (jak co roku) bardzo smaczne ryby. W nocy nawiało trochę śniegu, więc w Boże Narodzenie mieliśmy zimowy widok z okna.

•

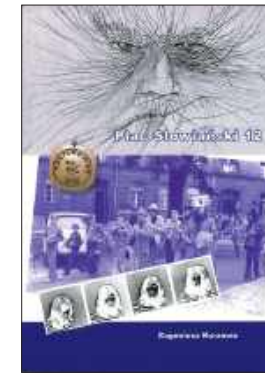
Asia spędziła wigilię na dyżurze w szpitalu. W nocy wezwano ją na oddział urologii, trzeba było stamtąd przewieźć pacjenta, u którego zdiagnozowano ostre objawy zarażenia koronawirusem. Zespół prowadził szpitalny wózek przez dziedziniec, w ciemności, zza ogrodzenia słyszeli głos: „Trzymaj się, tato!". Chory odcięty od rodziny, z gorączką, ścisnął rękę Asi. Aż do wjazdu na oddział intensywnej opieki trzymał dłoń młodej lekarki w potrójnej rękawiczce lateksowej. Ale nawet takie dotknięcie na chwilkę dawało ciężko choremu człowiekowi poczucie bliskości drugiej, życzliwej osoby.

Piotr Kwiatkowski

KSIĄŻKI

Plac Słowiański 12

Tego świata, w którym Eugeniusz Kurzawa mógł studiować, nie mając grosza przy duszy, już dawno nie ma. A dla tych, którzy teraz studiują, jego wspomnienia z lat 70. są czymś z gatunku science fiction. No bo jak ci młodzi współcześni mogą uwierzyć, że socjalistyczna ojczyzna zapewniała studentom stypendia (standardowo 1250 zł miesięcznie, a podwyższone – 1850 zł). Za akademik płacono 120 zł. Szału nie było, bo w pokoju mieszkało trzech-czterech studentów. Ale na lokum stać było nawet najbiedniejszych. Studenci mieli jeszcze bony żywnościowe (250-400 zł). A także całkowicie darmowe i przebogate życie kulturalne. Eugeniusz Kurzawa, studiując w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze, był w centrum tego życia. Nie mogło być inaczej, skoro wiele pomysłów było jego autorstwa. Pisał artykuły, wiersze, tworzył gazetki uczelniane, organizował koncerty, spektakle teatralne, pokazy filmowe i konkursy. I tak można by jeszcze długo wymieniać, ale odebrałoby to przyjemność z czytania wspomnień Kurzawy. Wielu czytelników odnajdzie w nich atmosferę i przygody z własnego życia. Bierzcie przykład z tego oryginalnego i barwnego entuzjasty kultury. Warto pisać i zostawiać trwałe ślady. Po sobie. „Plac Słowiański 12" to druga część wspomnień Kurzawy, rozpoczętych „Rynkiem 11".



(Jed)

Eugeniusz Kurzawa, *Plac Słowiański 12*, Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, 2026

eprasa.pl c473d62a4b



W nocy z 21 na 22 marca 1936 r. do Semperitu wkroczyła policja i brutalnie rozbiła protest pracownic fabryki.

Krakowska krwawa wiosna

Po 1989 r. pamięć o ciemnych kartach II RP została wyciszona

Bohdan Piętka

Jedną z ciemnych kart historii II Rzeczypospolitej były wydarzenia, do których doszło w marcu 1936 r. w Krakowie, a miesiąc później we Lwowie. Krwawe tłumienie strajków w międzywojennej Polsce nie należało do rzadkości, jednak krakowska krwawa wiosna, a następnie krwawy czwartek lwowski wyróżniały się brutalnością działań policji na tle podobnych wydarzeń. Brutalność ta wynikała z polityki gabinetu płk. Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego, który objął tekę premiera 13 października 1935 r. Kościałkowski był wcześniej (od czerwca 1934 r.) ministrem spraw wewnętrznych, współodpowiedzialnym za utworzenie obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Należał w tzw. grupie pułkowników, czyli w ścisłym kręgu władzy obozu sanacyjnego, do zwolenników rządów twardej ręki.

Rząd Kościałkowskiego borykał się ze skutkami światowego kryzysu gospodarczego (1929-1933), który w Polsce trwał o kilka lat dłużej. Odpowiedzialny za politykę gospodarczą w tym gabinecie Eugeniusz Kwiatkowski podniósł podatki, wprowadził duże oszczędności budżetowe i utrzymywał kurs złotego na stałym poziomie. Taka polityka skutkowała zmniejszeniem deficytu budżetowego kosztem osłabienia tempa produkcji i spadku obrotów handlowych. Prowadziło to do pogłębienia pauperyzacji świata pracy, trwającej przez lata kryzysu gospodarczego.

„Nieustannym moim wysiłkiem – zadeklarował Kościałkowski u progu swoich rządów – będzie budować stosunek zaufania i bliskości rządzonych do rządzących (...). Wszystko, co temu stanie na przeszkodzie, i wszystko to, co jako przeszkoda wypływać może z niewłaściwego stosunku administracji do ludności (...), będzie bezwzględnie tępione".

Niestety, słowa te całkowicie rozminęły się z rzeczywistością. Nie zlikwidowano obozu w Berezie Kartuskiej, nie złagodzono stosowania cenzury wobec prasy opozycyjnej, nie podjęto dialogu społecznego ze związkami zawodowymi, a na wybuchające strajki odpowiedziano brutalną siłą.

Pierwsze strajki

Bezpośrednią przyczyną strajków, które od początku 1936 r. wybuchały w różnych częściach Polski, było wprowadzenie podatku dochodowego. Jako pierwsi do akcji strajkowej przystąpili pracownicy państwowego monopolu spirytusowego i tytoniowego. Od 22 stycznia 1936 r. pracownicy tego sektora codziennie przerywali pracę na godzinę, a potem na dwie godziny. Przeciwko tej akcji opowiedział się prorządowy Związek Związków Zawodowych, w wyniku czego całkowicie stracił poparcie społeczne.

W Krakowie pracownicy monopolu tytoniowego zaczęli od 4 lutego urządzać podczas przerw w pracy także wiece. Mimo że przerwy w pracy były krótkie, produkcja szybko

eprasa.pl c473d62a4b

spadła o połowę. Taka sytuacja zmusiła Ministerstwo Skarbu do obniżenia pracownikom monopolu tytoniowego wymiaru podatku dochodowego (dla najmniej zarabiających nawet o dwie trzecie). Równocześnie władze województwa krakowskiego, przewidując kolejne strajki, podjęły przygotowania do ich siłowego stłumienia.

2 marca 1936 r. rozpoczął się strajk okupacyjny w Polsko-Szwajcarskiej Fabryce Czekolady Suchard SA. Jego przyczyną były tragiczne warunki pracy i płacy. Pracowników w tej fabryce zatrudniano tylko na trzy dni w tygodniu za stawkę 20-30 gr za godzinę. W lutym 1936 r. części pracowników obniżono płace, a część zwolniono. Strajk solidarnościowy z fabryką Suchard podjęli pracownicy innych krakowskich fabryk. W Polskich Zakładach Gumowych Semperit zaczął się strajk okupacyjny.

Wojewoda krakowski, płk Kazimierz Świtalski, podjął decyzję o stłumieniu strajków. Na jego rozkaz w nocy z 21 na 22 marca do Semperitu wkroczyła policja i brutalnie rozbiła protest pracownic tej fabryki. Padła pierwsza ofiara śmiertelna – 22-letnia Janina Krasicka. Jej śmierć spowodowała nasilenie protestów. Okręgowy Komitet Robotniczy PPS i Rada Wojewódzka Związku Stowarzyszeń Zawodowych podjęły decyzję o zorganizowaniu 23 marca 1936 r. jednodniowego strajku powszechnego.

Strajk ten rozpoczął się wiecem z udziałem ok. 10 tys. osób w ogrodzie Związku Zawodowego Kolejarzy przy ulicy Warszawskiej. Następnie protestujący, mimo braku zezwolenia władz, ruszyli pochodem w kierunku Rynku Głównego. Liczbę uczestników manifestacji szacowano na ok. 20 tys. osób. Byli wśród nich nie tylko pracownicy krakowskich zakładów przemysłowych, ale również bezrobotni. Na ulicy Basztowej, w pobliżu Urzędu Wojewódzkiego, manifestantom zagrodził drogę kordon policji. Doszło do starć i prób wznoszenia barykad na ulicach Floriańskiej i Sławkowskiej. Policja użyła broni z ostrą amunicją, zabijając siedem osób. Byli to: Józef Cieślik, Jan Jędrygas, Andrzej Proc, Jan Szwed, Jan Szybiak, Piotr Wrona i Antoni Żłobiński. Rannych zostało ok. 20 manifestantów i 26 policjantów. Aresztowano ok. 40 osób. Łącznie z pierwszą ofiarą, która zginęła 21 marca, z rąk policji życie straciło osiem osób.

Oficjalny komunikat Polskiej Agencji Telegraficznej głosił: „Dnia 23 marca br. doszło w Krakowie do 3-krotnego użycia broni przez policję. Użycie broni w każdym wypadku nastąpiło na skutek agresywności tłumu, w którym elementy przestępcze i prowokujące starcie z policją odegrały widoczną i decydującą rolę". W ten sposób propaganda rządowa wyszła z tezą o „komunistycznej prowokacji" jako przyczynie masakry semperitowców. Tezę tę po 1989 r. rozpropagowały środowiska prawicowe.

25 marca odbył się pogrzeb ofiar na Cmentarzu Rakowickim z udziałem kilkudziesięciu tysięcy osób. Każdą trumnę – pomalowaną na czarno, z wielkim, białym krzyżem na wieku – nieśli ulicami Krakowa towarzysze pracy zabitego, otoczeni przez sześciu robotników z płonącymi pochodniami. Po pogrzebie odbyła się akademia żałobna w Domu Górnika przy Alei Krasińskiego. Jednym z recytujących wiersze rewolucyjne był aktor Edward Rączkowski. Dekoracje wykonali Maria Jaremianka i Jonasz Stern.



KRONIKA KRAKOWSKA.

Uspokojenie w Krakowie po zajściach poniedziałkowych.

Kraków, 24 marca.

Po poniedziałkowych zajściach w Krakowie pauzuje we wtorek spokój. Organizatorzy wczorajszego strajku generalnego odwołali strajk i robotnicy powrócili w znacznej większości do pracy.

Mimo to budowach, gdzie przystąpiono do pracy, pojawili się agitatorzy, którzy poczęli wzywać robotników do dalszego trwania w strajku. Robotnicy poczęli opuszczać budowy.

Strajkują nadal szewcy, którzy rozpoczęli strajk już stosunkowo dawno. Strajk trwa w Wieliczce. Ponadto strajkuje część robotników w Borku Fałęckim.

Wozy tramwajowe, które uległy wczoraj znacznym uszkodzeniom, wyjechały dziś na miasto dopiero po południu, a to dlatego, że nie zdążano na czas naprawić tych uszkodzeń. W szczególności nie udało się wprawić polityczny szyb. Wiadomość o strajku w elektrowni i tramwajach są nieprawdziwe.

Wobec pogodnego dnia, w mieście, zwłaszcza na Plantach i odleglejszych częściach ulic, gromadzą się duże grupy przechodniów, które komentują żywo wczorajsze wypadki. Wśród przechodniów widać to i ówdzie większe skupienia robotników i bezrobotnych, które jednak zachowują się całkiem spokojnie.

Poza małym incydentem w fabryce tytoniu na Podgórzu, wiadzie w wtorek niemały powiedz do żadnej interwencji.

* * *

Robotnicy miejscy przystąpili do naprawy uszkodzonych na placówkach tramwajów i t. p. Przystąpili do pracy również i ostatnie. Jeszcze w poniedziałek wieczorem funkcjonowało miejscy pobrali nowe lampy na ulicy Długiej i okolicy. Kurs tramwajowy, który został przerwany w południe w poniedziałek, podjęto w wtorek o godzinie 11-tej. Tymczasem w remizach tramwajowych oczekiwano do wprowadzenia szyb wybitych podczas zajść w wozach tramwajowych.

Koniec strajku w „Sempericie"

Kraków, 24 marca (PAT). Trwający od kilku dni strajk robotników fabryki „Semperit", który pośrednio stał się powodem zajść w Krakowie, został zlikwidowany urzędowo.

Po dłuższych pertraktacjach pomiędzy zarządem fabryki a przedstawicielami robotników, obie strony zgodziły się na arbitrat [illegible]

Zabici i ranni.

Według urzędowego komunikatu, lista ofiar tragicznych zajść poniedziałkowych w Krakowie przedstawia się następująco:

Zmarli:

1) Prof. Andrzej lat 27, robotnik, Berek Fal, rana postrzałowa brzucha, wypadnie cie nie, operowany. 2) Jodczyna Jan, bliższych danych brak. 3) Kasicka Janina lat 22, robotnica, Berek Fal, rana postrzałowa w okolicy serca. 4) Cieślik Józef lat 26, robotnik, rana postrzałowa w okolicy prawej pachwiny. 5) Szybiak Jan lat 46, bezrobotny, Berek Fal, rana postrzałowa brzucha. 6) Zbikiński Andrzej lat 27, robotnik, Zabłocie 13, rany w brzuch (przedśmiertny trupek). 7) Szwed Jan lat 27, robotnik, Liberalne, rana postrzałowa obu podudzi i złamanie. 8) Niemany nieżyjąc — zabity na miejscu.

Ranni, przebywający w szpitalu św. Łazarza:

1) Malyer Stanisław, lat 27, ul. Feliciańska 14, rana postrzałowa uda, i podudzia prawego — stan ciężki. 2) Kostech Józef, lat 15, przypuszczalnie uczeń gimn., ul. Skałeczna 3, rana postrzałowa prawego przedramienia — stan ciężki. 3) Grzesik Henryk, portjer hotelu Francuskiego, lat 26, ul. Siemiradzkiego 19 — rana postrzałowa prawego uda — stan ciężki. 4) Wojtek Jan, lat 29, szewc, ul. Św. Gertrudy 12 — rana postrzałowa lewego uda — stan ciężki. 6) Marsel Marian, lat 25, ślusarz, Jarosław, ul. Świętańska 7 — rana postrzałowa w okolicy lewego pośladka — stan średni. 7) Ruseckl Piotr, lat 36, wyrobnik, ul. Barnacka 28 — rana postrzałowa głowy — stan średni. 8) Kolinski Jan, lat 28, handlowiec, Robotnicza 6 — rana postrzałowa lewego uda — stan ciężki. 9) Mola Franciszek, lat 64, ogrodnik, Lewkowicza 2 — rana postrzałowa prawego uda — stan ciężki. 10) Chodorowski Wincenty, lat 21, robotnik, Stare Rakowice 12 — rana postrzałowa lewego ramienia — stan średni. 11) Zdarko Tadeusz, lat 17, praktykant, Sienkiewicza 14 — rana postrzałowa i złamanie prawego uda — stan ciężki. 12) Strzuniński Tadeusz, lat 19, wyrobnik, Wola Duch, — rana postrzałowa prawego uda, operowany — stan średni. 13) Matusik Franciszek, lat 30, dozorca, Łagiewniki 149 — rana postrzałowa brzucha, wypadzienie [illegible] operowany — stan ciężki. 14) Paul Stanisław, lat 19, elektrotechnik, Długa 42 — rana postrzałowa brzucha, wypadzienie [illegible] operowany — stan ciężki. 15) Szelar Stanisław, lat 21, robotnik, Rzemieślnicza 29 — rana postrzałowa głowy — stan ciężki. 16) Tomczyk Helena, lat 21, robotnica „Semperit", Rzemieślnicza 29 — rana postrzałowa głowy — stan ciężki. 17) Garguł Stefanja, lat 28, obiekwiarka, ul. Chodkiewicza 7 — rana postrzałowa — stan ciężki.

Po opatrzeniu – odeszli do domu:

1) Banda Stanisław — lat 26, ul. Pekarja

O wydarzeniach krakowskich informowała prasa.

Manifestacja na pogrzebie

Nie ulega wątpliwości, że główna odpowiedzialność za masakrę semperitowców spoczywa na wojewodzie krakowskim Kazimierzu Świtalskim (1886-1962), należącym do grupy tzw. pułkowników. Wydany przez niego rozkaz siłowego stłumienia strajku w Sempericie uruchomił tragiczną sekwencję wydarzeń zakończonych uliczną masakrą. To jest istotne, a nie to, czy policja była prowokowana zachowaniem tłumu, czy nie.

Tragiczne wypadki z 23 marca 1936 r. skomentował arcybiskup (późniejszy kardynał) książę Adam Sapieha w orędziu, które odczytano w krakowskich kościołach pod koniec marca: „W kraju szerzy się okropna nędza. Robotnik, wieśniak, bezrobotny inteligent i zubożały rękodzielnik przymierają z głodu i niedostatku. Spychamy ten stan na tzw. kryzys. Wiemy dobrze, że on dotknął dziś i pracodawców, i pracujących, ale czy zawsze w równej mierze? Czy jednak w wielu wypadkach niepohamowana chęć zysku, zbyt wysokie wynagrodzenia jednych, nie powodują nieuczciwego wyzysku biedy? Ze wstydem przyznać musimy, że tak jest, a krwawe wypadki w Krakowie i gdzie indziej są tego jaskrawym dowodem". W przeciwieństwie do propagandy sanacyjnej, powielanej po 1989 r. przez prawicę, zwierzchnik

FOT. DOMENA PUBLICZNA, POLONA.PL

eprasa.pl c473d62a4b

krakowskiego Kościoła wskazał bezbłędnie rzeczywiste przyczyny krakowskiej krwawej wiosny.

Niecały miesiąc po masakrze semperitowców miały miejsce krwawe zajścia we Lwowie. Ich przyczyną była śmierć Władysława Kozaka, który zginął 14 kwietnia 1936 r. od policyjnej kuli podczas demonstracji bezrobotnych. Pogrzeb Kozaka dwa dni później zamienił się w antyrządową manifestację z udziałem 8 tys. osób. W wyniku starć z policją zginęło 19 osób. Był to tzw. krwawy czwartek. Odpowiedzialny za tę masakrę wojewoda lwowski Władysław Belina-Prażmowski (1888-1938), także należący do grupy pułkowników, w tym samym roku, w którym zmarł, został uhonorowany aleją w Krakowie. W okresie PRL aleja ta nosiła nazwę Juliana Marchlewskiego. W 1990 r. bezrefleksyjnie przywrócono nazwę Beliny-Prażmowskiego.

Kłamstwo historyczne

Pamięć o ofiarach krakowskiej krwawej wiosny była żywa w okresie PRL. Upamiętniono je w Krakowie w trzech miejscach – na Cmentarzu Rakowickim, przy Pomniku Czynu Zbrojnego Proletariatu Krakowa i na Plantach. W 1951 r. w kwaterze LIV wschodniej Cmentarza Rakowickiego odsłonięto na grobach poległych semperitowców pomnik autorstwa malarki i rzeźbiarki Marii Jaremianki (1908-1958). Ma on postać kamiennego bloku z inskrypcją: „Życie przemija. Wieczny jest lud i jego sprawa. Robotnikom poległym 23 marca 1936 w miłości i wdzięczności grobowiec ten wznosi proletariat Krakowa. Poległym za sprawę klasy robotniczej 1936-1951” oraz medalionem, na którym widnieje logo Polskiej Partii Socjalistycznej (ręce trzymające młotek i napis PPS). Po lewej stronie umieszczono osiem, wznoszących się ku centralnej części, schodków z nazwiskami poległych w strajku.

Na odsłoniętym w 1986 r. przy Alei Ignacego Daszyńskiego Pomniku Czynu Zbrojnego Proletariatu Krakowa autorstwa Antoniego Hajdeckiego widnieje inskrypcja: „W 50. rocznicę wydarzeń 1936” oraz daty: 1880, 1892, 1918, 1923 i 1936. Daty te nawiązują kolejno do procesu krakowskiego Ludwika Waryńskiego i towarzyszy, utworzenia PPS, odzyskania niepodległości przez Polskę, krwawego wtorku w Krakowie (6 listopada 1923 r.) i masakry semperitowców.

Natomiast na Plantach przy ulicy Basztowej, w miejscu masakry z 23 marca 1936 r., umieszczono obelisk z nazwiskami ofiar i napisem: „Pamięci robotników Krakowa, uczestników manifestacji zorganizowanej przez związki zawodowe, poległych w starciu z policją w dniu 23 marca 1936 roku. Społeczeństwo i Rada Miasta Krakowa”. Na początku lat 90. przed tym obeliskiem umieszczono wysoki krzyż z napisem na poprzecznej belce: „Ofiarom komunistycznej prowokacji”. Krzyż ten stanął tam prawdopodobnie z inicjatywy krakowskich działaczy KPN.

Bezpośrednią przyczyną strajków, które od początku 1936 r. wybuchały w różnych częściach Polski, było wprowadzenie podatku dochodowego.

Tak w przestrzeni publicznej Krakowa zaczęło po 1989 r. funkcjonować kłamstwo historyczne, ponieważ propagandowej tezy o komunistycznej prowokacji jako przyczynie masakry z 23 marca 1936 r. nikt źródłowo nie udowodnił. Autorzy tego kłamstwa na dodatek posłużyli się krzyżem, zapewne w przekonaniu, że krzyża nikt nie ruszy, ponieważ symbol ten jest otaczany w Polsce szacunkiem nie tylko przez wierzących. Sprawa ta pokazuje, że siermiężna polityka historyczna, kojarzona głównie z IPN i rządami Zjednoczonej Prawicy, pojawiła się już na początku lat 90.

Po 1989 r. pamięć o ciemnych kartach II RP została w ramach tej polityki historycznej wyciszona. O ofiarach krakowskiej krwawej wiosny przypomniała jedynie partia Razem w 2016 r., organizując duże uroczystości rocznicowe, w tym przemarsz szlakiem tragicznie zakończonej manifestacji z 23 marca 1936 r.

Bohdan Piętka

KSIĄŻKI

Zredukowani, znaczy niepotrzebni



Kamil Piskała, *Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu*, Muzeum Historii Polski, Warszawa 2025

Światowy kryzys (1929-1933) dosięgnął II Rzeczpospolitą i mocno się odcisnął na życiu i zasobach Polaków. Spowodował, że w wielu regionach kraju aż 20-30% ludzi straciło zatrudnienie (w niektórych miastach i branżach nawet ponad 50%), zarówno na terenach zurbanizowanych, jak i typowo rolniczych. Bieda dotknęła całe rodziny, które niekiedy przemieszczały się dziesiątki, a wręcz setki kilometrów w poszukiwaniu zajęcia i jakiegokolwiek zarobku, by przeżyć choć na minimalnym poziomie.

Przedstawiony przez Kamila Piskałę obraz w wielu fragmentach przeraża opisem zrozpaczonych ludzi. Zredukowanych, a w zasadzie niepotrzebnych. Okazywana im pomoc – państwa, organizacji społecznych, kościołów – była wysoce niewystarczająca. W kolejce po nią ludzie stali pod urzędami całe dnie, często odchodząc z niczym. Utrata zatrudnienia, ale i rosnące koszty utrzymania prowadziły do bezdomności, przymusowych eksmisji do miejsc, które trudno było nazwać nawet barakami.

Wielki kryzys, choć w znacznym stopniu osłabiony traumą wojenną, tkwił w świadomości Polaków. I właśnie pamięć o nim, o czasach „zredukowania”, musiała też wpłynąć na ich postawę społeczno-polityczną po wojnie. W większości zaakceptowali zmiany ustrojowe i reformy gospodarcze, które postulowały nie tylko środowiska radykalne, ale i ugrupowania obozu londyńskiego.

Paweł Dybicz

eprasa.pl c473d62a4b



Tysiące ludzi demonstrowało w obronie AfD i kandydatury Alice Weidel na urząd kanclerza. Aschaffenburg, 22 lutego 2025 r.

Tak, ale nie u nas

Alternatywa dla Niemiec oskarża uchodźców o nadużywanie niemieckiej gościnności

Łukasz Grajewski

Michaił Glinnik dostaje 460 euro miesięcznie i wreszcie może kupić w supermarkecie, co tylko chce. To luksus, o którym ten emeryt spod Berdiańska w swojej ojczyźnie mógł tylko pomarzyć.

– Nigdy wcześniej nie miałem w ręce tylu pieniędzy – mówi tak, jakby wciąż w to nie wierzył.

Rozmawiamy w jednym z punktów pomocy dla Ukraińców na zachodzie Hanoweru.

– Rosjanie chodzili od domu do domu i bili kolbami tych, których przesłuchiwali – wspomina 45 dni okupacji wsi, w której mieszkał.

Widząc, jak na jego ziemi panoszy się russkij mir, podjął decyzję o ucieczce. Przez Krym i Rosję dotarł do Polski. Gdy w polskiej firmie budowlanej, w której dorabiał, nie było już dla niego pracy, ruszył dalej, do Niemiec.

Teraz mieszka w Sehnde pod Hanowerem, w hotelu przerobionym na ośrodek dla uchodźców. Wspomniane 460 euro miesięcznie to wsparcie od państwa niemieckiego. Rząd Scholza podjął decyzję, że Ukraińcy będą dostawać taki sam zasiłek dla bezrobotnych jak niemieccy obywatele. To znacznie więcej niż – w przeliczeniu – 65 euro, które Glinnik otrzymywał w ojczyźnie w ramach emerytury. Nic dziwnego, że za Odrą czuje się niemal bogaczem.

– Nigdy nie miałem tylu pieniędzy naraz – podkreśla jeszcze raz.

W Polsce niemal wszyscy uciekający przed wojną szybko podjęli pracę. W Niemczech po roku na rynku pracy odnalazło się ledwie kilkanaście procent Ukraińców. Różnica wynika z systemu. Niemieckie urzędy podsuwały przybyszom formularze, dzięki którym mogli oni uzyskać świadczenie socjalne. Uchodźcy słyszeli, że najpierw muszą złożyć stos wniosków o zasiłki i dodatki, zapisać się na kurs niemieckiego i odbyć dwuletnie szkolenie, a dopiero potem urząd pomoże im szukać pracy. Szok następował, gdy na konta

Aż 84% pytanych przez „Der Spiegel" uważa, że do Niemiec przyjeżdża za dużo ludzi.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c473d62a4b

uciekających przed wojną wpływały pierwsze przelewy – samotna matka z dzieckiem dostawała ok. 800 euro miesięcznie. Na Ukrainie nawet pełnoetatowa pensja wynosiła ledwie połowę tej sumy. Dodatkowo państwo niemieckie w pełni pokrywało koszty czynszu i ogrzewania. Wielu szybko straciło więc zapał do szukania pracy.

AfD (skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec – przyp. red.) pierwsza wyłamuje się z głównego nurtu mówienia tylko dobrze o ukraińskich uchodźcach i wspierania Kijowa. Jesienią 2023 r. Tino Chrupalla (jeden z dwóch przewodniczących partii – przyp. red.) głośno domaga się zmiany kursu wobec Rosji, a na wiecach obiecuje szybką naprawę gazociągu Nord Stream, który nazywa „arterią życia naszej gospodarki".

W retoryce Alternatywy początkowa empatia wobec uchodźców ustępuje miejsca oskarżeniom o nadużywanie niemieckiej gościnności.

17 października 2023 r. René Springer, jeden z posłów AfD, oznajmia: „Tylko 18% uchodźców z Ukrainy pracuje. Reszta żyje z Bürgergeld, a wysokie świadczenia działają jak magnes na kolejnych migrantów. Domagamy się cofnięcia tej decyzji [dotyczącej przyznania przez rząd Olafa Scholza ukraińskim uchodźcom tych samych przywilejów, które przysługują bezrobotnym obywatelom Niemiec]. Ukraińscy uchodźcy powinni trafiać do systemu zasiłków dla azylantów, a nie do Bürgergeld".

Od tego momentu Alternatywa dla Niemiec coraz głośniej domaga się odebrania tych przywilejów.

Do Niemiec prócz Ukraińców masowo docierają też ludzie z innych zakątków świata. W rządzie Olafa Scholza to przede wszystkim Zieloni dbają o to, aby nie zmieniać liberalnej polityki migracyjnej. Granice pozostają otwarte. Każdy, kto wypowie słowo „azyl", zostaje przyjęty i poddany weryfikacji. Sytuacja zaczyna ponownie przypominać lata 2015–2016.

To, jak nowi przybysze wpływają na otoczenie, widać choćby w Bielefeld. Owo leżące na zachodzie miasto nie cieszy się w kraju najlepszą renomą. Uważa się, że pozbawione jest charakteru. Wbrew stereotypom natrafić tam można jednak na piękne zakątki. Jednym z nich jest Dzielnica Muzyków (niem. Musikerviertel).

Przechadzając się ulicą Beethovena, po obu stronach podziwiać można bogato zdobione wille z przełomu XIX i XX w. Na ścianach wielu budynków przymocowano tabliczki informujące o zawodach wykonywanych przez mieszkańców. Nie brakuje architektów, są też lekarze. Ale na początku 2023 r. do dzielnicy tej wprowadzają się też uchodźcy.

Miasto udostępnia szukającym azylu szereg domów, w których wcześniej mieszkali brytyjscy żołnierze stacjonujący w Bielefeld po II wojnie światowej. Budynki przy ulicy Haydna łatwo odnaleźć. W listopadowe przedpołudnie tylko tam można napotkać ludzi. Od dziesiątej rano trwa wydawanie cotygodniowego kieszonkowego, więc za jednym z gmachów ustawia się spora kolejka. Czekają głównie młodzi mężczyźni, ale jest także kilka kobiet z dziećmi.



eprasa.pl c473d62a4b

Po pieniądze zjawia się również Muharem Kamberovski.

– Zaraz wrócę i pokażę nasz pokój – mówi.

To „zaraz" trwa blisko godzinę. Tyle trzeba odczekać, aby dostać 30 euro na członka rodziny. Kamberovski przyjechał do Niemiec z żoną i trzema synami. Najpierw trafił do Akwizgranu, gdzie ma znajomych. Tamtejszy urząd kazał mu się jednak zarejestrować i złożyć wniosek o azyl w Bochum. Tam z kolei urzędnicy wysłali go do Bielefeld, najpierw do innego ośrodka, a po paru dniach do Dzielnicy Muzyków.

Ale choć Kamberovski mieszka w ośrodku dla uchodźców, to uchodźcą nie jest. Tak stwierdził oficjalnie Federalny Urząd do spraw Migracji i Uchodźców. 30-letni mężczyzna jest macedońskim Romem. Pytany o powody wyjazdu z kraju opowiada o problemach z mafijną strukturą klanową w rodzinnym mieście oraz o rasizmie. W szkole jego synów wytykano palcami i wyzywano od „Cyganów". Tyle że ubóstwo, dyskryminacja i problemy osobiste nie są wystarczającymi powodami, aby otrzymać w Niemczech ochronę.

Macedonia Północna jest uznawana za bezpieczny kraj i wnioski o azyl składane przez jego mieszkańców są w zdecydowanej większość odrzucane. Tak też się stało z wnioskiem Kamberovskiego. Kręcące się po dzielnicy starsze małżeństwo z Albanii również nie ma co liczyć na litość urzędników, podobnie jak młoda para z Algierii, mężczyzna z Maroka czy kilku młodych Tadżyków.

Jednak odmowna decyzja urzędu wcale nie kończy problemów żadnej ze stron. Pobyt Kamberovskiego w kraju jest „tolerowany" do lutego 2024 r. Taki status przyznaje się przy braku dokumentów albo gdy chce się wyjaśnić sytuację pozostałych członków rodziny.

Choć mężczyzna zarzeka się, że jest murarzem i że najchętniej od razu poszedłby do pracy, prawnie nie ma takiej możliwości. Musi się natomiast liczyć z tym, że wkrótce otrzyma termin deportacji. Osób, których wnioski zostały w Niemczech odrzucone albo które są „tolerowane", jest pod koniec 2023 r. ponad ćwierć miliona. Ich sprawy ciągną się miesiącami, a nawet latami.

Tymczasem każdy dzień pobytu ćwierci miliona ludzi generuje olbrzymie koszty.

Dzielnica Muzyków to z pewnością nie miejsce, w którym głosuje się na AfD. Mieszkańcy wybierają raczej popularnych wśród miejskiej klasy średniej Zielonych, może liberałów, ewentualnie chadeków. Przeciwko kolejnym napływającym do kraju imigrantom nic nie mają, przynajmniej w teorii.

Enklawa uchodźców niemal w centrum mieszczańskiej okolicy to nie jest pomysł, który zdobywa poparcie miejscowych. Z czasem zawiązuje się inicjatywa, której członkowie w sierpniu 2023 r. wysyłają list do lokalnych władz. Jego sygnatariusze domagają się zlikwidowania ośrodka. Wśród licznych argumentów podają awantury, hałas, śmieci i ogólny brak bezpieczeństwa.

„Niestosowne zachowanie niektórych osób ubiegających się o azyl doprowadziło do ogromnego pogorszenia jakości życia w tej niegdyś idyllicznej okolicy", brzmi fragment listu opublikowany w lokalnej prasie.

Petycja podpisana przez 128 mieszkańców Dzielnicy Muzyków odnosi skutek. W styczniu 2024 r. ośrodek zostaje zamknięty. W sumie w ciągu niespełna roku działalności zakwaterowano w nim prawie 5 tys. obywateli 52 krajów. Miasto wystawia budynki na sprzedaż. Starający się o azyl ludzie z całego świata, którzy choć na chwilę trafili do Dzielnicy Muzyków, będą mogli kiedyś wspominać, że mieszkali w najlepszej dzielnicy w mieście.

Zdarzenia w Bielefeld nie są w tym czasie żadnym wyjątkiem. Miasto leży w Nadrenii Północnej-Westfalii. To najludniejszy kraj związkowy – mieszka tu ponad 18 mln ludzi. To też najczęstszy cel tych, którzy chcą złożyć w Niemczech wniosek o azyl. W 2023 r. z ponad 350 tys. takich próśb niemal co piąta rozpatrywana jest w tym właśnie landzie. Wszystkich tych ludzi trzeba zakwaterować, utrzymać i przeprowadzić w związku z ich pobytem szereg żmudnych biurokratycznych procedur. Tymczasem otwarcie nowego ośrodka graniczy z cudem. Podobne jak w Bielefeld protesty i trudności z zakwaterowaniem pojawiają się w wielu regionach Niemiec. I to nierzadko w bogatych, zamieszkanych przez liberałów dzielnicach. Ich mieszkańcy modyfikują hasło „Refugees welcome", dodając małym drukiem: „But not in my backyard".

Niemcy nie chcą dłużej tolerować systemu, w którym każdy przybysz może się podać za dowolną osobę i złożyć wniosek o azyl.

Protesty są odzwierciedleniem wielkiego pesymizmu niemieckiego społeczeństwa w kwestii imigracji. Aż 64% respondentów biorących pod koniec 2023 r. udział w przeprowadzanym co miesiąc na zlecenie publicznej telewizji badaniu Deutschland Trend jest zdania, że imigracja to źródło problemów dla kraju. Aż 84% pytanych przez magazyn „Der Spiegel" uważa, że do Niemiec przyjeżdża za dużo ludzi.

Niemcy nie chcą dłużej tolerować systemu, w którym każdy przybysz może się podać za dowolną osobę i złożyć wniosek o azyl. W którym proces sprawdzania wniosków o azyl ciągnie się latami, bo ich weryfikacja często jest niemożliwa. W którym nikt tak naprawdę nie zajmuje się ludźmi czekającymi na decyzję, przez co ośrodki dla azylantów, zamiast integrować, stają się często miejscami radykalizacji i przemocy, w znacznym stopniu o kryminalnym charakterze.



Fragment książki Łukasza Grajewskiego *Alternatywa dla Niemiec czy zagrożenie dla świata? Kulisy marszu AfD po władzę*, Szczeliny, Kraków 2026

eprasa.pl c473d62a4b

Bawarskie arcydzieło

Fantastyczne ćwierćfinały Ligi Mistrzów

Wojciech Kuczok

Dla takich widowisk stworzono Champions League. Znam fanatycznych przeciwników wielkich pieniędzy w wielkiej piłce, którzy namiętnie podróżują na boiska A-klasowe, aby do swojej korony stadionów świata dołączać obiekty małe i najmniejsze. Ogłaszają w mediach społecznościowych swoją obecność na derbach LZS Kogutkowo Dolne z Kurnikiem Kogutkowo Wyżne, a oficjalnie bojkotują Ligę Mistrzów, bo to dla nich rozgrywki bez duszy, sprzedanej za hajs. Współczułbym im, gdybym im wierzył – prawdziwy kibic poczuje bowiem zapach futbolowego arcydzieła nawet przez wyłączony telewizor, nawet gdyby zablokował we wtorkowe i środowe wieczory telefon, żeby go nie nękano wiadomościami o tym, co właśnie traci. Można się zżymać na horrendalną komercjalizację sportu, można być szalikowcem ruchu AMF (Against Modern Football), ale nawet najbardziej zbuntowany miłośnik piłki nożnej musi ulec sile meczu doskonałego, choćby go śledził kątem oka, z udawanym obrzydzeniem.

Takim dziełem sztuki futbolu było rewanżowe spotkanie Bayernu z Realem, zwłaszcza pierwsza jego połowa, po której obie drużyny wyszły na drugą jakby nieco oszołomione tym, czego dokonały. Doskonałość nie wynika z bezbłędności, nie jest li tylko półtoragodzinnym pokazem fajerwerków, to byłoby nudne, choć taki piłkarski wrestling też jest w cenie (w weekend zabieram synka na Stadion Śląski, żeby na własne oczy zobaczył żywe legendy, takie jak Ronaldinho, Totti, Davids i Saviola – przednia zabawa dla oldboyów, a dla dzieciaków okazja zobaczenia mistrzów, którymi jarali się ich rodzice).

Na mecz doskonały w moim przekonaniu składa się kilka czynników niezbędnych: oprócz najwyższych umiejętności obu drużyn i liczby goli majstersztyków kluczowe są stawka i dramaturgia. Owóż, w Monachium stanęli naprzeciw siebie klubowi giganci, nastrzelali siedem bramek w ćwierćfinale najważniejszego pucharu Europy, każda zmiana wyniku oznaczała także zmianę w kwestii awansu, w dodatku językiem u wagi okazały się kardynalne błędy – czynnik ludzki, niedoskonałość, rysa na wizerunku tytana, a w przypadku pomyłki sędziowskiej goryczkowy posmak niesprawiedliwości.

Jan Bednarek w czwartek przyczynił się do odpadnięcia FC Porto z Ligi Europy, już po kilku minutach gry wylatując z boiska za brutalny faul.

Ktoś przecież ostatecznie musi przegrać, a kiedy przegrywają nasi, zawsze czujemy się pokrzywdzeni – krzywda musi mieć adresata, łatwiej zatem obwiniać arbitra niż ślepy los. Sędzią monachijskiego meczu był Slavko Vinčić, który w oczach polskich kibiców przed kilkoma tygodniami dołączył do grona największych złoczyńców z gwizdkiem w gębie, do nazwisk przeklętych: Pădureanu (Stara Zagora, 1972, mecz Bułgaria-Polska, karny z kapelusza i czerwona kartka dla Lubańskiego za ponoć grzeczne wyrażenie wątpliwości) i Webba (Wiedeń, 2008, mecz Austria-Polska, karny z kapelusza w ostatniej minucie).

Pisałem już o tym, żeśmy przegrali w Sztokholmie z powodu przesadzonej wiary w umiejętności naszych defensorów, skądinąd Jan Bednarek w czwartek przyczynił się do odpadnięcia FC Porto z Ligi Europy, już po kilku minutach gry wylatując z boiska za brutalny faul, zaczyna więc również w swoim klubie potwierdzać, że z jego formą jest kiepsko. Vinčić mylił się częściej na korzyść Szwedów, ale wyniku meczu nie wypaczył.

W środę w Monachium także nie on był winien, że Galacticos kończyli mecz w osłabieniu – odruchowo dał żółtą kartkę Camavindze za próbę gry na czas, dopiero po chwili zorientował się, że to już drugie żółtko francuskiego pomocnika. Teraz wiesza się w Madrycie psy na arbitrze, ale przecież Real niejednokroć wychodził z cięższych opresji niż dowiezienie korzystnego wyniku mimo osłabienia na kilka minut przed końcem meczu. Do dwóch fenomenalnych uderzeń, które w końcówce dały awans Bawarczykom, pewnie i tak by doszło, Camavinga nieprzypadkowo spędził na boisku zaledwie 24 nieszczęsne minuty, od dawna uchodzi za najsłabsze ogniwo Galacticos, jego brak na boisku to najmniejsze z możliwych osłabień.

Skoro już zacząłem historię tego kosmicznego meczu od końca, zwrócę uwagę, że wisienka na torcie była tym razem wyjątkowo dojrzała, bo w doliczonym czasie gry, kiedy Bayernowi wystarczyło utrzymać się przy piłce, aby zakończyć bitwę zwycięskim remisem, Michael Olise, zamiast zbiec do narożnika i „robić Smolarka", postanowił zwieńczyć dzieło – zdecydował się na samotną szarżę i genialny strzał w samo okienko. Zdmuchnął wątpliwości, kto tego wieczoru zasłużył na wygraną.

Rzeczoną niepewność zagwarantował od pierwszej minuty bohater pierwszego meczu, Manuel Neuer, nieodpowiedzialnie podając

eprasa.pl c473d62a4b



Harry Kane z Bayernu walczy o piłkę z Jude'em Bellinghamem z Realu podczas ćwierćfinałowego meczu rewanżowego Ligi Mistrzów. Monachium, 15 kwietnia 2026 r.

piłkę w pierwszej akcji pod nogi Ardy Gülera, młodej gwiazdy tureckiej piłki. To był jedyny gol, za który winę ponosi Neuer, niespełna pół godziny później Güler uderzył idealnie z rzutu wolnego, a przed przerwą swoje trafienie nie do obrony dołożył Mbappé. W kwestii obsady bramki reprezentacji Niemiec śmiem twierdzić, że Manuel Neuer wciąż zasługuje na nią jako najlepszy niemiecki golkiper, a selekcjoner Nagelsmann powinien przez resztę tygodni, które zostały do mundialu, błagać Manu, by zdecydował się wznowić karierę w kadrze narodowej. Z Oliverem Baumannem między słupkami Niemcy nie zagoszczą w Ameryce długo.

Bayern dwukrotnie wyrównywał, aby w końcówce wygrać 4:3, mecz toczył się w tempie zabójczym. Przy tak wyrównanym poziomie 15 celnych strzałów dowodzi, że to był futbol na sterydach, mecz zjawiskowy, mecz sezonu, roku, oby tylko do następnej odsłony, bo w półfinale, a raczej w kolejnym przedwczesnym finale, znowu czeka nas szaleństwo: Bayern trafia na PSG.

Paryżanie dwukrotnie ograli Liverpool bez szczególnego wysiłku, tym razem dublet ustrzelił Ousmane Dembélé, od grudnia najlepszy piłkarz świata wedle plebiscytu „France Football", jeden z moich ulubionych graczy, bo najbardziej w piłkarzach cenię nieprzewidywalność. Dembélé czasem huknie od niechcenia z woleja pod poprzeczkę, czasem przedrybluje całą obronę i wjedzie do bramki, czasem dołoży głowę gdzie trzeba, ale wszystko czyni instynktownie, jakby sam nie wiedział, co za chwilę zrobi, jego geniusz go przerasta. Tym różni się od Lamine'a Yamala, fenomenalnego młodziaka z Barcelony, który jednak przy swoich niebotycznych możliwościach hołduje pewnym wypracowanym schematom. Wiadomo, że najchętniej ścina ze skrzydła do środka, by uderzyć lewą nogą, albo kapitalnie podaje zewniakiem, swoje mistrzowskie tricki wykonuje zawsze tak samo, a ich perfekcja bywa nużąca.

Choć w rewanżu z Atlético otworzył wynik, a Barcelona z iście „epicką furią" rychło go podwyższyła i zdawało się, że wyklepie Los Colchoneros na kotlet, ostatecznie to Diego Simeone, przez cały mecz nakazujący swoim graczom zachować spokój, dopiął swego. Wystarczyła jedna idealna kontra z genialnym podaniem Antoine'a Griezmanna z pierwszej piłki, aby nigeryjski snajper Ademola Lookman przymierzył w pełnym biegu. Potem Atléti mogli już grać to, co lubią najbardziej jako mistrzowie destrukcji – bronić swego, wybijać rywali z rytmu, doprowadzać ich do szału żelazną defensywą i czasem próbować się odgryzać.

Barcelona 10 minut przed końcem znowu straciła zawodnika po bliźniaczo podobnej sytuacji jak w pierwszym meczu – bardzo dyskusyjny faul Cubarsiego na wychodzącym na czystą pozycję Simeonem, skoro już został odgwizdany, musiał implikować czerwoną kartkę dla stopera Barcy. I znowu: zarząd zgłosił oficjalny protest do UEFA, kibice mają śmiertelnego wroga w arbitrze, lecz przecież to piłkarze przez niemal 80 minut nie potrafili dopiąć swego i w porę dobić rannego przeciwnika.

Demonizowanie sędziowskich błędów to ostatnio popularna rozrywka mas. Dla polskich fanów Barcelony ten mecz był smutny w dwójnasób – Katalończycy odpadli, a w ich barwach najpewniej ostatni swój mecz w Lidze Mistrzów zagrał Robert Lewandowski. Czy ostatni swój mecz w Champions League w ogóle – czas pokaże. Jeśli Lewy obierze kierunek włoski i zgodnie z tym, co mediolańskie wróble ćwierkają, przywdzieje barwy Rossonerich, pewnie jeszcze sobie w najważniejszym z pucharów postrzela. AC Milan od lat stanowi luksusową przystań dla podstarzałych gwiazd – kończył w nim karierę Zlatan Ibrahimović, teraz kończy Luka Modrić. Lewandowski w tę politykę ściągania gwiazd mocno dojrzałych wpisuje się doskonale. ■

Demonizowanie sędziowskich błędów to ostatnio popularna rozrywka mas.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c473d62a4b



NAMORZYNY W TARAPATACH

BAGNA NAMORZYNOWE
NAZWANO NAJWAŻNIEJSZYM EKOSYSTEMEM ZIEMI

Annie Proulx

Namorzyny są morskimi drzewami. Rosną w wodach słonawych i słonych wzdłuż południowych i tropikalnych wybrzeży, a ich rozłożyste korzenie przypominają „klatki", na których wspierały się wiktoriańskie krynoliny. Jak przystało na rośliny bagienne, namorzyny tworzą torf. Specjalizują się w środowisku słonym bądź słonawym, śmierdzącym i błotnistym.

Istnieje ok. 60 gatunków namorzynów, większość występuje w Azji, a najokazalsze lasy złożone są z wielu gatunków. Bagna namorzynowe nazwano najważniejszym ekosystemem Ziemi, ponieważ tworzą kolczasty mur stabilizujący brzeg lądu i chronią wybrzeża przed huraganami i erozją, są miejscami rozrodu i ochronnymi „żłobkami" dla tysięcy gatunków, w tym młodych barakud, tarponów, krabów, krewetek, skorupiaków.

William Mitsch, specjalista do spraw wody, zwięźle opisuje las namorzynowy jako miejsce „niesławne, znane z nieprzeniknionego labiryntu drzewiastej roślinności, luźnego torfu, który zdaje się bezdenny, oraz licznych przystosowań do radzenia sobie z podwójną dawką stresu: tego wynikającego z zalewania oraz z wysokiego zasolenia". Drzewa amortyzują natarcie większości burz i huraganów – choć nie zawsze. W 2017 r. huragan Irma uderzył w namorzyny Big Pine Key na Florydzie. Drzewa i krzewy po pewnym czasie odrosły, ale namorzyny nie, przypuszczalnie dlatego, że fala sztormowa oblepiła ich życiodajne korzenie powietrzne warstewką bardzo drobnego osadu, która po wyschnięciu zamieniła się w twardą powłokę i zatkała kanaliki korzeni.

•

Obumarłe liście namorzynów opadają do wody i w miarę rozkładu stają się podstawą złożonej sieci pokarmowej, z której korzystają glony, bezkręgowce oraz organizmy, które się nimi żywią, takie jak meduzy, ukwiały, różnorodne robaki, gąbki i ptaki.

Torf tworzony przez namorzyny jest wyjątkowo miękki i głęboki, idealny dla małży, ślimaków, krabów i krewetek. Korzenie tych drzew odfiltrowują szkodliwe zanieczyszczenia azotanowe i fosforanowe, a ich splątane nad wodą gałęzie oferują bezpieczne schronienie dosłownie tysiącom gatunków, w tym owadom przyciągającym ptaki. Gałęzie stanowią miejsca odpoczynku ptaków migrujących oraz lęgowiska zimorodków i czapli. Buszują między nimi w poszukiwaniu zdobyczy warany, makaki i łaskuny.

eprasa.pl c473d62a4b

Poniżej lustra wody sploty korzeni chronią drobne ryby przed żarłocznymi paszczami tych większych – nawet manaty i delfiny znajdują tam schronienie. Namorzyny współdziałają z rafą koralową, zatrzymując muliste osady, które mogłyby ją zdusić, podczas gdy przybrzeżna rafa chroni namorzyny i łąki traw morskich przed miażdżącymi falami. Namorzyny tworzą ogromny żywopłot, sięgający w dół do wody i wysoko ponad nią. Pełnią istotną funkcję w złożonym układzie pochłaniającym CO_2 (magazynującym „niebieski węgiel"), w którego skład wchodzą słone bagna, łąki traw morskich, lasy brunatnicowe i inne wodorostowe zarośla.

Przy wszystkich tych zaletach można by sądzić, że namorzyny to najbardziej cenione drzewa na świecie. Niestety tak nie jest. Choć badacze klimatu postrzegają bagna namorzynowe jako pierwszą linię obrony przed podnoszącym się poziomem morza, a także znakomity pochłaniacz CO_2 – pięciokrotnie wydajniejszy niż lasy tropikalne – to namorzyny wpędzono w poważne tarapaty. Ich wrogami są przemysłowe farmy krewetek i głodni atrakcyjnych gruntów deweloperzy, a w Meksyku, gdzie rośnie ich sporo, lasy namorzynowe wycina się z polecenia prezydenta Andrésa Manuela Lópeza Obradora (pełnił urząd do września 2024 r., przegrał w wyborach z obecną prezydentką, Claudią Sheinbaum Pardo), aby zrobić miejsce pod budowę dużej rafinerii ropy naftowej spółki Pemex. Cynicy (do których się zaliczam) zauważają, że Meksyk podpisał paryskie porozumienie klimatyczne.

Ok. 137 tys. km kw. lasów namorzynowych chroniących wybrzeża Ziemi naliczono w 2010 r. Ale sześć lat później 3,5 tys. km kw. zniknęło – głównie wskutek zakładania plantacji oleju palmowego i ryżu oraz przez powstające akwakultury krewetek. Część lasów po prostu wykarczowano pod stawy krewetkowe; w innych przypadkach zbiorniki budowano nieco dalej, jednak odprowadzane z nich ścieki i zanieczyszczenia zmieniały zasolenie wody, zaburzając zdolność drzew do pobierania składników odżywczych. Efektem była powolna śmierć namorzynów.

Indonezja zmaga się z utratą namorzynów jeszcze bardziej niż z wylesianiem swoich lasów tropikalnych. Wraz z obumieraniem namorzynów lokalne populacje ryb załamują się, łowiska pustoszeją, nadbrzeżna gleba szybciej eroduje, coraz więcej CO_2 i metanu wymyka się pochłanianiu i wraca do atmosfery. Świadoma tych problemów Indonezja powołała do życia Agencję ds. Odtwarzania Torfowisk i Namorzynów, która przy wsparciu World Resources Institute i Banku Światowego stara się odnowić zdegradowane przybrzeżne lasy namorzynowe i rafy koralowe.

Z rekultywacją namorzynów mierzyło się już także wiele innych krajów, z różnym skutkiem. Kluczowy okazuje się wybór odpowiedniego miejsca i korzystnej mieszanki gatunków. Niektórzy rekultywatorzy, mając

Namorzyny tworzą kolczasty mur stabilizujący brzeg lądu i chronią wybrzeża przed huraganami i erozją.

jak najlepsze chęci, sadzili wyhodowane w szklarniach sadzonki jednego gatunku na mulistych równiach pływowych, narażonych na erozję i silne fale, lub też nigdy wcześniej nieskolonizowanych przez namorzyny. Jako że tego typu równiny są zawsze mokre, pozostają ubogie w tlen, a namorzyny muszą przecież czymś oddychać.

Kosztowny projekt zrealizowany w latach 80. na Filipinach, sfinansowany przez Bank Światowy, nie uniknął tych błędów; po 15 latach przy życiu pozostało mniej niż 20% drzew.

Najskuteczniejsze podejście opracował florydzki biolog, ichtiolog i ekolog terenów podmokłych Roy „Robin" Lewis III (1952-2018), który rozpracował najważniejsze warunki pozwalające zwiększyć populację tych drzew. „Wśród namorzynów spędziłem dekadę, zanim zacząłem je rozumieć", powtarzał. Zauważył, że kiedy w ramach naturalnego cyklu drzewo namorzynowe obumiera, na jego miejsce napływają liczne nasiona z pobliskich zdrowych drzew i szybko się zakorzeniają. Kluczowa jest jednak lokalizacja oraz odpowiedni przepływ wody: namorzyny muszą być mokre przez około jedną trzecią doby, a suche przez pozostałą jej część. „Doświadczają krótkiego okresu wilgoci, po którym następuje dłuższy okres suchości, i tak to się codziennie przeplata (…). Oto cały sekret: trzeba im odtworzyć tę naprzemienność". Równie ważny jest udział lokalnej społeczności, która zna „zwyczaje" i potrzeby namorzynów.

Teoria Lewisa została sprawdzona po raz pierwszy w 1986 r. nieopodal Fort Lauderdale, na ponad 500 ha porośniętych uszkodzonymi i martwymi namorzynami, częściowo stłamszonymi ziemią i chwastami. Płaski teren charakteryzował się niekorzystną hydrologią i stojącą w wielu miejscach wodą. Po kilku latach badań i eksperymentów, we współpracy z hydrologami i przy użyciu ciężkiego sprzętu, Lewis stworzył łagodny spadek pozwalający wodom pływowym swobodnie podnosić się i odpływać. Później już tylko czekał. Pływy przyniosły nasiona, które się zakorzeniły, a po pięciu latach rosły tam już trzy lokalne gatunki namorzynów; wśród ich korzeni pojawiły się ryby, a po rybach ptaki. Ani jednej sadzonki nie posadzono ręcznie – wszystkie nowe drzewa wyrosły z nasion przyniesionych przez wodę.

Metoda Lewisa – praca z naturą poprzez obserwację, planowanie i cierpliwe czekanie – stała się złotym standardem rekultywacji namorzynów. Mimo to wiele organizacji i rządów nadal sadzi szklarniowe sadzonki w niewłaściwych miejscach, licząc na szybkie efekty – i patrzy, jak rośliny giną.



Fragmenty książki Annie Proulx *Bagna, mokradła, torfowiska*, tłum. Szymon Drobniak, Copernicus Center Press, Kraków 2026

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c473d62a4b

Giuliano Marinetti



SZCZERY JAK **KOT**

Kocia komunikacja jest niemal zawsze jednoznaczna, bezpośrednia i bardzo skuteczna

Niewiele stworzeń potrafi tak skutecznie zakomunikować swoje potrzeby i dopilnować, żebyśmy je zaspokoili. Nawet jeśli koty musiały uciec się w tym celu do własnej wersji *baby talk*. W książce „How to Speak Cat: A Guide to Decoding Cat Language" Gary Weitzman i Aline Alexander Newman piszą: „Tak umiejętnie z nami rozmawiają, ponieważ pojęły już, że ludzie nic nie rozumieją z subtelnych ruchów uszu czy ogona". Trudno się z tym nie zgodzić.

W repertuarze kocich odgłosów są jednak nie tylko miauknięcia. Już w 1944 r. badaczka Mildred Moelk opublikowała artykuł, w którym opisała dźwięki wydawane przez koty. Podzieliła je na 16 typów i trzy kategorie: wokalizacje z zamkniętym pyszczkiem, z otwartym pyszczkiem oraz te wymagające otwierania i zamykania pyszczka na zmianę. W jej zestawieniu – poszerzonym później o wyniki kolejnych badań – znalazły się m.in. cmokanie, kwilenie, ćwierkanie i szczebiotanie (prawdę mówiąc, trochę się rozczarowałem – sądziłem, że chodzi o naśladowanie ptaków, by zwabić je w pułapkę). Czy wreszcie pieśń godowa, która moim zdaniem niewiele ma wspólnego ze śpiewem, a według poety Shikiego Masaoki jest w stanie zburzyć twierdzę z kamienia. I oczywiście odstraszające przeciwnika syczenie: groźba kota, że zaatakuje. Jeśli zostanie właściwie zrozumiana, zapobiega otwartej konfrontacji.

Krótko mówiąc, nie bez powodu kot to (według niektórych badaczy) mięsożerca o najszerszym spektrum wokalnym. Przy czym jego zwyczaje społeczne (lub raczej aspołeczne: w naturze koty są zwykle samotnymi myśliwymi) sprawiają, że jest bardziej milczący niż psy, ptaki albo ci goście siedzący obok mnie w pociągu i w kółko gadający przez telefon (ich pogaduszki słyszy chyba nawet maszynista).

A skoro już mowa o sugestywnym kocim języku, to w swoim opowiadaniu „Psy i koty" Jerome K. Jerome opisuje przeuroczą małą kotkę Tittums „wielkości bułki za pensa", która „grzbiet wyginała w łuk i przeklinała jak student medycyny".

Zagadka mruczenia

Pomijając przekleństwa kocic, najbardziej fascynującym i charakterystycznym spośród kocich dźwięków jest mruczenie. Które zresztą długo owiane było tajemnicą. Jak koty to robią? I dlaczego? Przynajmniej na pierwsze pytanie znamy już odpowiedź: mruczenie powstaje w sposób ciągły, zarówno na wdechu, jak i na wydechu, wskutek naprzemiennych skurczów przepony i fałdów głosowych (od 20 do 30 na sekundę). Co do powodów zaś – tu teorii jest wiele. Na pewno dźwięki te – wydawane przez kocie matki i oseski podczas karmienia – wiążą się z pozytywnymi emocjami. Ale dorosłym osobnikom zdarza się mruczeć także wtedy, gdy coś je boli albo gdy czują się zagrożone – być może próbują w ten sposób rozładować napięcie albo powstrzymać napastnika. Niektórzy twierdzą, że wibracje kociego mruczenia przyśpieszają zrastanie się kości. I oczywiście mają zbawienny wpływ na nas, ludzi: napełniają nas spokojem, sprawiają, że robi nam się ciepło na sercu. Wywołują też nieprzepartą potrzebę odwzajemnienia się kotu pieszczotą. Jak zwięźle to ujął niemiecki dziennikarz i pisarz Eugen Skasa-Weiß: szczęście to kot, który mruczy.

Wszystko prawda. Ja jednak wypracowałem sobie własną teorię – a wywodzę ją z własnego doświadczenia i z obserwacji, która zawsze dawała te same rezultaty.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl c473d62a4b

Otóż w mruczeniu jest też coś z szachrajstwa i nabijania się z człowieka. A przynajmniej w mruczeniu niektórych kotów. Już tłumaczę.

Baronessa to jedna z najbardziej rozmruczanych kotek, jakie kiedykolwiek spotkałem. Mruczy na dobrą sprawę bez przerwy: kiedy wraca z obchodu terytorium, przestępuje próg i idzie mi naprzeciw; kiedy ociera się o moje nogi; kiedy patrzy na mnie nieruchomo niczym sfinks, domagając się jedzenia. A gdy uporczywe, ciężkie od oskarżycielskiego milczenia spojrzenie podrywa mnie w końcu z kanapy, mruczy dalej nad napełnianą miską („Alleluja, człowieku, to nie było takie trudne, prawda?"). I oczywiście mruczy, kiedy kładzie się przy mnie – nie nazbyt blisko: z dala od osobliwych, bezwłosych kończyn dwunoga. Zwija się w kłębek, bo przyszedł czas na zasłużony odpoczynek, i nadal mruczy: wręcz natarczywie, zapraszająco.

Nie sposób oprzeć się tym dźwiękom, zwłaszcza że koteczka ma rozanieloną minę, łebek obejmuje łapkami, pokazuje brzuszek. To tak rozczulający widok, że ręka sama wyciąga się do głaskania. Kotka zaledwie poczuje najlżejszy ruch powietrza – o dotyku jeszcze nie ma mowy! – wydaje jedno ze swoich zadziwiających miau, aprobujących i ponaglających, potem przez chwilę wydaje się zadowolona z pieszczoty, mruczy coraz głośniej, nawet przysuwa się o parę milimetrów, jakby mówiła: „No, człowieku, przyłóżże się, co to za mizerne mizianie…". Gdy wtem! Pułapka się zatrzaskuje. Z bezbrzeżną radością wypisaną na pyszczku kocica – pach! – strzela mnie łapą (bez pazurów – pazury trzeba oszczędzać na drapanie fotela) albo leciutko gryzie. A jak się wtedy cieszy i puszy, patrzy na mnie z triumfem półprzymkniętymi oczami, jak gdyby chciała powiedzieć: „Aha! Mam cię, człowieku! Znowu cię przechytrzyłam. Ależ ty jesteś przewidywalny…". Lecz w gruncie rzeczy to jeszcze jedna lekcja obcego języka.

Sztuka komunikacji

Poza tym małym divertissement, na które część kotów pozwala sobie od czasu do czasu, kocia komunikacja jest niemal zawsze jednoznaczna, bezpośrednia i bardzo skuteczna. A nawet bezceremonialna, gdy zajdzie potrzeba. I oczywiście, że mam na myśli kategoryczne, monotonnie miarowe miauczenie pod drzwiami, kiedy Baronessa chce, żebym ją wypuścił. Wiadomo, że nie zazna spokoju – i nie pozwoli, bym ja go zaznał – póki nie wysłucham wszystkiego, co ma mi do powiedzenia.

Kot to mięsożerca o najszerszym spektrum wokalnym, ale jego zwyczaje społeczne sprawiają, że jest bardziej milczący niż psy czy ptaki.

A zatem koty z jednej strony uciekają się do swojego dziecięcego języka, żeby stworzyć z nami płaszczyznę porozumienia, z drugiej zaś jedno krótkie miau pozwala im wyrazić wszystko, co najistotniejsze. Rację mieli E.T.A. Hoffmann i kot Mruczysław wypowiadający te słowa:

„Jakaż to zaleta, jakiż cudowny dar niebios móc dźwiękiem i gestem wyrazić wewnętrzne zadowolenie fizyczne! Najpierw mruczałem, potem przyswoiłem sobie ów niedający się naśladować talent wyginania ogona w wymyślne koła, a wreszcie posiadłem wspaniały dar, by jednym jedynym słówkiem miau wyrażać radość, ból, rozkosz i zachwyt, strach i rozpacz, krótko mówiąc, wszystkie uczucia i namiętności w ich najróżnorodniejszych gradacjach. Czymże jest język ludzki wobec tego najprostszego z prostych sposobu wypowiadania się?!".

My, ludzie, słów mamy aż nadto, ale co z tego, skoro nie słuchamy. A nawet jeśli słuchamy, to nie słyszymy. Nie czynimy wysiłków, by otworzyć się na porozumienie. Ani z kotami – czy miauczą, czy mruczą, czy syczą – ani z kimkolwiek innym.

Joseph Wood Krutch, amerykański pisarz, krytyk i przyrodnik, powiedział: „Koty najwyraźniej trzymają się zasady, że żądać tego, czego się pragnie, nigdy nie jest błędem". Bo jakże moglibyśmy zarzucić im błąd? My, ludzie, bez przerwy komplikujemy sobie życie niedomówieniami, zawoalowanymi aluzjami, szpilkami, które wbijamy niemal zawsze niecelnie, a które kosztują nas tyle emocji… To wyczerpujące dla naszej psychiki – traktować komunikację, jakby była szermierką, ciągłą wymianą ciosów, nieustającym nacieraniem i odpieraniem ataków.

Koty z niedużego stada, które postanowiło adoptować mnie i moją towarzyszkę życia, przypomniały mi, że komunikacja jest nade wszystko mostem między dwoma światami. Mostem, który musimy budować z cierpliwością, oddaniem i niewzruszoną wytrwałością, jeśli chcemy, aby światy naprawdę się spotkały. To praca, która wymaga dobrej woli, otwarcia na porozumienie, chęci znalezienia wspólnego języka, a czasem nawet badań nad znaczeniem miau. W zamian ofiarowuje nam jeden z największych cudów: spotkanie z innym.

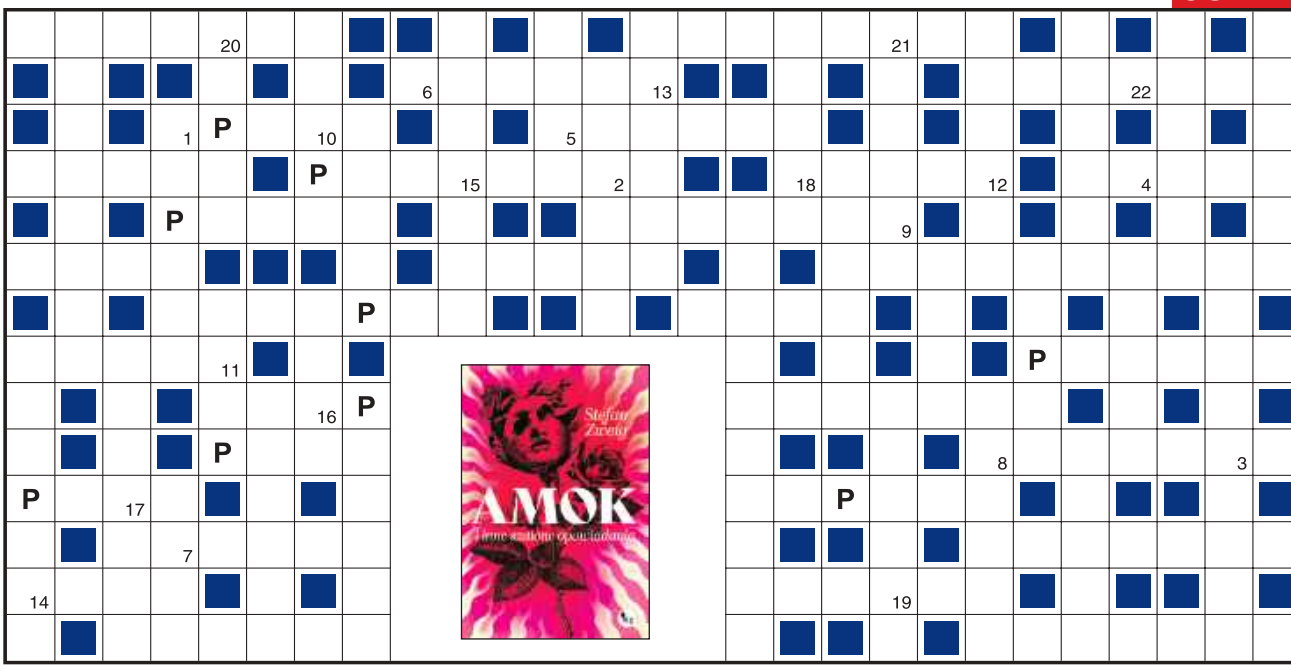
Koty trzymają się zasady, że nigdy nie jest błędem żądać tego, czego się pragnie.



Fragmenty książki Giuliana Marinettiego *Vita Felix. Kocia droga do szczęścia*, tłum. Joanna Wajs, Znak Koncept, Kraków 2026

eprasa.pl c473d62a4b

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10

11	12	13	14	15	16

17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery P ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- gimnastyka cyrkowa
- odpowiada za jakość dźwięku
- hiszpański odpowiednik burmistrza
- wędkarska przynęta podobna do rybki
- dwie nóżki do kreślenia kółek
- jagody, borówki inaczej
- pojazd z lufą
- nimfy żyjące w drzewach
- pruski… – bezwzględne szkolenie żołnierzy
- pani ze słuchowiska grana przez Martę Lipińską
- powolne niszczenie skał lub zaufania czy wiary
- komórki rozrodcze
- mały chłopiec, smyk
- frywolny taniec kabaretowy
- tołstojowski Aleksiej, mąż Anny
- pudełko z taśmą magnetyczną
- stadionowi zadymiarze
- zakładana do aparatu fotograficznego
- produkty pielęgnujące i upiększające
- nosem, głową albo kłamanie
- Krajewski śpiewał o bezpańskiej, co wnet osiągnie dno
- cytrynowy do dżemów lub ekosprzątania
- kłamczuch, krętacz
- specjalistka od zdrowotnego ugniatania
- chiński jeleń Davida
- ciemność lub zło, negatywna strona
- szara… – osóbka cichutka i niepozorna
- oficjalne upomnienie
- chroniące żołnierzy umocnienie ziemne
- skórzany futerał na pistolet kawaleryjski
- gaz do wyjaławiania wody pitnej
- przestrzeń ładunkowa ciężarówki
- Słowacki lub Kopernik dla szkoły
- płaszcz podbity futrem
- Wielki od Środy Popielcowej
- pierwiastek o symbolu K
- wydawanie przez silnik urywanych dźwięków
- smakowita rzadkość
- do ukrycia czegoś lub na bagaż w samolocie
- nazwisko Andrzeja, imię Krajewskiego
- rosyjski polarnik i największy żaglowiec szkolny świata
- Kujawski, a w Warszawie graniczy z Powiślem
- gatunek, jakość czegoś
- podpora stropu wyrobiska w kopalni
- z warzywami w dzień targowy
- hałas chodaków, kół wagonu
- wzorzysty papier na ścianę
- przybytek Melpomeny
- …Mankiewiczówna, aktorka, piosenkarka
- pocisk w pełnym zanurzeniu
- do przyrumieniania kromek
- pies może go podjąć
- …Nachalnik, przestępca, potem pisarz
- Julian… Niemcewicz
- dzieło literackie albo muzyczne
- lasowane lub gaszone
- nie każdy dzwoniący do babci prawdziwy
- wywierany dobry lub zły
- szyjka wiecznego pióra
- występ na krawędzi deszczułki łączonej z drugą
- szczyt owocowania
- ubiór szlachcica, o kroju długiej sukni

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1270”. Do rozlosowania książki „Amok i inne szalone opowiadania” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 kwietnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1267” z nr. 14: *Czas stracony nie wraca*.
Nagrody otrzymują: Teresa Leśniewska z Kaliszan, Danuta Morawska z Gorzowa Wielkopolskiego, Przemysław Owczarzak z Mieleszyna.

eprasa.pl c473d62a4b

Made in USA

Frak ambasadora musi mocno uwierać Toma Rose'a, bo co chwilę wyskakuje z jakimiś komentarzami dotyczącymi polskiej polityki. Tak było w ubiegłym tygodniu, gdy ze zgrozą pisał na platformie X o marszałku Sejmu Włodzimierzu Czarzastym: „Ten człowiek jest zagrożeniem! Celem jego zapalczywej retoryki obrażającej prezydenta USA Donalda Trumpa może być jedynie zaszkodzenie stosunkom amerykańsko-polskim i osłabienie własnego kraju". A pisał dlatego, że Czarzasty w wywiadzie dla „Financial Timesa" powiedział, że Trump to lider chaosu.

Ale już parę dni później Rose chwalił Czarzastego i pisał: „Brawo dla niego!". To po tym, jak marszałek Sejmu złożył w prokuraturze zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez posła Konrada Berkowicza. Mamy więc ambasadora komentatora. I to zapatrzonego w swojego prezydenta.

Jego poprzednik, Mark Brzezinski, również zaznaczał swoją obecność, ale robił to nieco inaczej. Znana jest sprawa z 15 listopada 2022 r., gdy w Przewodowie na Lubelszczyźnie spadła ukraińska rakieta obrony przeciwlotniczej, w wyniku czego śmierć poniosło dwóch Polaków. To był szok, polskie władze musiały reagować, ale początkowo nie wiedziały, czyja to rakieta, czy to uderzenie przypadkowe itd. I wtedy do gry wszedł Mark Brzezinski. Wysłał do polskiego ministra spraw zagranicznych Zbigniewa Raua kilka SMS-ów o treści: „Don't do anything without consultation". Nic nie rób bez konsultacji. Czyli – bez konsultacji z Brzezinskim. Wtedy Rau dostał szału i nazwał ambasadora USA Repninem. A kiedy emocje opadły, zaczął Brzezinskiego nazywać naszym drogim Repninem…

Były też inne sytuacje. 6 marca 2023 r. TVN 24 wyemitowała dokument „Bielmo. Franciszkańska 3" o kard. Karolu Wojtyle, autorstwa Marcina Gutowskiego. I wtedy się zaczęło! Ówczesna władza wpadła w furię. Szef KRRiT Maciej Świrski nałożył na stację karę w wysokości 550 tys. zł. A do MSZ wezwany został Brzezinski. „Ambasador Mark Brzezinski został zaproszony do MSZ, aby wyjaśnić pewne problemy w relacjach polsko-amerykańskich, związane z działalnością jednej ze stacji telewizyjnych posiadającej kapitał amerykański. Chcemy zapobiec temu, aby były podejmowane przez polskie media działania o charakterze wojny hybrydowej", komentował wówczas rzecznik MSZ. Co ciekawe, w pierwszej wersji komunikat MSZ wzywał ambasadora, w drugiej – zapraszał. W pierwszej informowano, że przedstawione mu zostanie stanowisko, w drugiej – że będzie to rozmowa przyjaciół i sojuszników.

A jeśli już jesteśmy przy TVN, to warto przypomnieć sobie, jak w roku 2018 zareagowała ówczesna ambasador Georgette Mosbacher, gdy premier i szef MSWiA zaatakowali stację po reportażu o neonazistach. „Wierzę, że członkowie twojego rządu powstrzymają się od atakowania, nie mówiąc już o ściganiu niezależnych dziennikarzy, którzy wyrażają interes publiczny i wzmacniają nasze społeczeństwa", napisała w liście do premiera Mateusza Morawieckiego. Z adnotacją: „Musimy tę sprawę załatwić, bo blokuje ona sprawy ważniejsze".

Tak wygląda życie ambasadorów USA w Warszawie…

Attaché



Na głosowanie – odświętnie. Mieszkanki oddalonego o 30 km od Budapesztu Veresegyház udały się na wybory parlamentarne w tradycyjnych węgierskich strojach. 12 kwietnia 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c473d62a4b







AKRAM BELKAÏD,
REDAKTOR NACZELNY

Państwa arabskie nie przyjdą Gazie z pomocą. Żadne z nich nie podjęło żadnych liczących się działań dyplomatycznych, aby zapobiec ponownej okupacji enklawy i położyć kres izraelskiej burzy ognia i stali, której doświadcza ona od ponad dwóch lat. Mimo przerażających strat ludzkich (70 tys. ofiar śmiertelnych, z czego 70% to kobiety i dzieci) i głodu godnego najgorszych średniowiecznych oblężeń żadna stolica Maghrebu ani Maszreku nie domaga się sankcji wobec Tel Awiwu ani nie grozi swoim zachodnim partnerom środkami odwetowymi za ich niezachwiane poparcie dla Beniamina Netanjahu i jego rządu.

PROF. KRYSTIAN MARKIEWICZ,
SĘDZIA TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

Nigdy nie słyszałem, by moje orzeczenia były polityczne. Mogę zapewnić, że będzie tak i teraz. Sędzią się jest i pewne rzeczy ma się już we krwi – obojętne, czy zasiadasz w sądzie rejonowym, Najwyższym czy w Trybunale. Kiedy sędzia wchodzi do TK, to za drzwiami pozostawia swoje poglądy. Chciałbym takiego Trybunału, byśmy do końca nie wiedzieli, jaki będzie wydany wyrok. Niestety, przez ostatnie lata wszyscy wiedzieliśmy, jaka będzie treść orzeczenia. Mieliśmy bardziej do czynienia z organem, który poświadcza pewne oczekiwania skarżących, niż rozstrzyga i wymierza sprawiedliwość. Chciałbym Trybunału, który wróci do rodziny sądów konstytucyjnych na poziomie europejskim, i zrobię wszystko, żeby tak rzeczywiście było.

ANNA PETELENZ,
ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO

I choć człowiek z marmuru to Birkut, dla mnie „Człowiek z marmuru" to przede wszystkim Agnieszka. Bohaterka, którą pokochałam od pierwszych chwil. Jej łapczywe zaciąganie się papierosem, nerwowy syk „na jaki statyw", rzucony w magazynie nad pomnikiem Birkuta. Czas na emocję, dynamikę i przejęcie władzy. Kamerę bierze więc do ręki Agnieszka – czas na jej spojrzenie, własne decyzje i niezależność. Imponowały mi jej luźne, dżinsowe spodnie, torba, w której chowała notesy, fajki, z którymi nie musiała się kryć, i siła, która nie pozwalała wątpić we własne działania. Chciałam chodzić jak ona i walczyć o swoje – jak ona.

RENATA PRZEMYK,
WOKALISTKA

Pierwszy raz w życiu zakochałam się, mając 43 lata. Człowiek nie wie, że to jest to, dopóki tego nie poczuje. Od kiedy pamiętam, w relacjach towarzyszył mi jakiś rodzaj napięcia. Przekonanie, że to ja muszę się starać, ja muszę zasłużyć, ja muszę być wystarczająco dobra, a najczęściej najlepsza, żeby w ogóle zostać zauważona. Dopiero przy tym pierwszym zakochaniu poczułam akceptację ciała i harmonię wszystkich zmysłów z tą drugą osobą. Nie da się tego opowiedzieć. Nie poczujesz smaku, dotyku, zapachu z czyichś opowieści. Musisz to przeżyć. Ale jak przeżyjesz, to już potem wiesz.

FOT. AMEM, BEZ RÓŻOWYCH OKULARÓW, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl c473d62a4b

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 JAZ + KAC =	3 RANA + WIT =	5 TRAK + WINO =
2 JAR + GAZ =	4 CENT + ROK =	6 OGAR + GOLF =

ROZWIĄZANIA: CZAJKA, ZGRAJA, WARIANT, KONCERT, RATOWNIK, GRAFOLOG



Aby język giętki…

STEFAN CHWIN O DONALDZIE TUSKU

Zaletą Tuska jest jego elastyczność ideowa. Strzeżmy się sztywnych doktrynerów. Więcej z nich szkody niż pożytku.

ŁUKASZ SZURMIŃSKI O MEDIACH PUBLICZNYCH

Zbrodnią poprzedniej ekipy politycznej jest całkowite zniszczenie wizerunku telewizji publicznej, Polskiego Radia i Polskiej Agencji Prasowej.

ANDRZEJ WOLF O MARIANIE TURSKIM

Widzowie oglądający nasz film zobaczą bezimienną ofiarę koszmarnej zbrodni i może coś więcej zrozumieją.

JERZY RADZIWIŁOWICZ O JĘZYKU LITERATURY POLSKIEJ

Coraz większą trudność sprawia odbiorcy już XIX-wieczny język naszych największych poetów romantycznych.

ZBIGNIEW PREISNER O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

W sztuce jednak liczy się coś innego. Potrzebna jest wyobraźnia, doświadczenie, emocje.

CVETA DIMITROVA O MIŁOŚCI

Być może miłość nie polega na pełnym zrozumieniu, lecz na gotowości, by nie unieważniać cudzej odrębności tylko dlatego, że rani ona nasze własne wyobrażenie o tym, co się zdarzyło.

FELIKS FALK O MAŁŻEŃSTWIE

Sedno tkwi w odpowiedniej dawce kompromisu i odpuszczaniu sobie nawzajem. Im częściej bywałem poza domem, tym chętniej wracałem.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

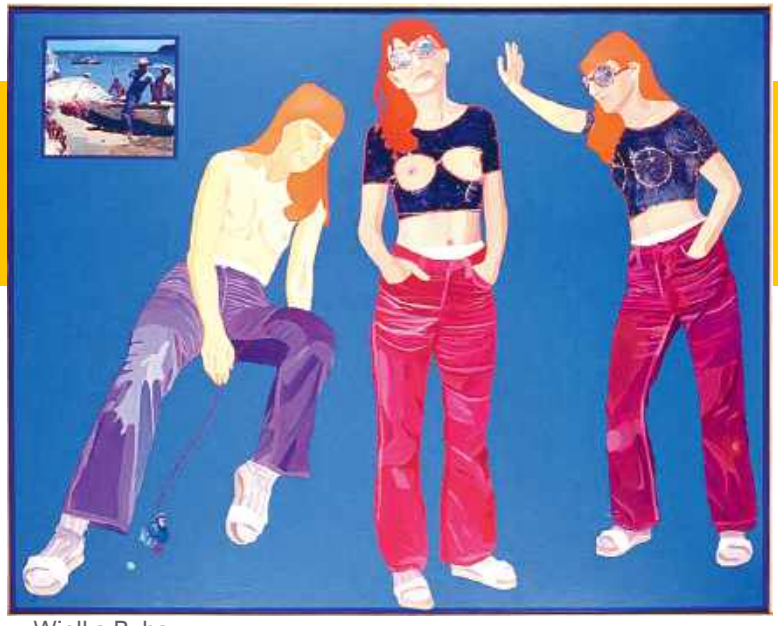
Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl c473d62a4b

Ewa Kuryluk

Kangór w operze



Wielka Ryba

Wystawa dokumentuje późniejszy etap twórczości Ewy Kuryluk, związany z wątkami autobiograficznymi. Portrety i autoportrety ukazują osobiste doświadczenia artystki oraz krąg jej bliskich. Dopełnieniem ekspozycji jest wybór nowojorskich instalacji z lat 1981-1995, w których zamiast płótna wykorzystane zostały delikatne tkaniny. Minimalistyczne przedstawienia ciała i detalu tworzą intymną narrację o pamięci, tożsamości i obecności. Zestawienie obu cykli podkreśla ciągłość poszukiwań twórczych.

Teatr Wielki-Opera Narodowa Galeria Opera Warszawa, Plac Teatralny 1
do 30 czerwca



Salome Warszawianka



Pszczoły i świerszcze. Autoportret



Maszyna do pisania

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c473d62a4b

TORI AMOS

IN TIMES OF DRAGONS

UK & EUROPE
TOUR
2026



12 MAJA
WARSZAWA
COS TORWAR

SUPPORT
ISAAC LEVI

BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

TORIAMOS.COM

LIVE NATION

epiasa.pl c473d62a4b

Elegancki
PLAYLIST

Balsam dla duszy
SCREENDAILY

Zachwycająca Paula Beer
Hollywood Reporter

Arcydzieło
The Guardian

MIROIRS III.
BARKA NA OCEANIE

REŻYSERIA **CHRISTIAN PETZOLD**

PRZEJMUJĄCA OPOWIEŚĆ
O PRÓBIE ZNALEZIENIA UKOJENIA PO BOLESNEJ STRACIE



LEFFEST19
LISBOA FILM FESTIVAL
JURY AWARD

SEMINCI
Semana Internacional de Cine Valladolid
International Film Festival
konkurs główny

SYDNEY FILM FESTIVAL

QUINZAINE DES CINÉASTES
CANNES

german films

AURORA

W KINACH OD 24 KWIETNIA

eprasa.pl c473d62a4b